

W niedzielę
o godz. 21 wieczór
wyborczy na żywo
na **Wyborcza.pl**

WOLNA
SOBOTA

**IZRAEL NA WOJNIE
Z HAMASEM**
Wróciły terroryzm i strach
– czy konflikt rozleje się na
cały Bliski Wschód?



**WYSOKIE
OBCASY**
Rebecca Makkai:
Pisarze szybko
wpadają w tarapaty

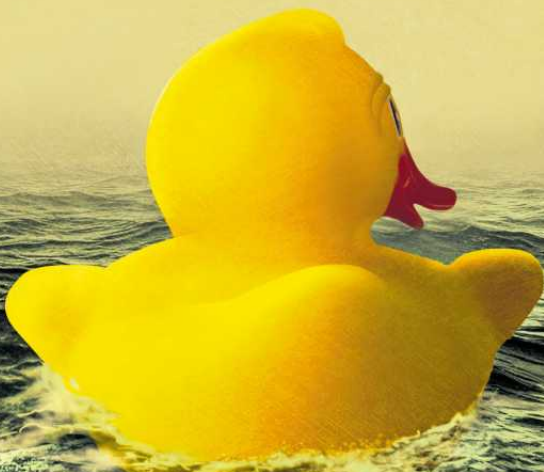


GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



GŁOSUJ!

RYŚ: IGOR MORSE

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

4 1>

9 770860 908167

Sobota-niedziela, 14-15 października 2023 | Redaktor prowadzący **Marcin Kącki** | Cena gazety **9,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 240.10432, 2 Nakład 103 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

34280456

targi książki
11-24 października 2023

- setki targowych okazji
- spotkania z autorami
- premiery i nowości

empik #75

Czy dogonimy Rosję Putina

Rosyjscy propagandyści są sprawniejsi

Bieliaszyn



„Chcecie, żeby było u nas jak w Europie?”. To pytanie podczas publicznych wystąpień bardzo często zadaje Rosjanom Putin. Kontekst zawsze wyraźnie wskazuje, że nie ma żadnych wątpliwości: każdy człowiek z przekonaniem powinien odpowiedzieć „nie!”.

Słowa „człowiek” używam nieprzypadkowo. Bo mowa nie tylko o zagorzałych zwolennikach prezydenta, miłych, zajętych troskami codziennego życia i wiązaniem końca z końcem Rosjanach z prowincji, którzy bardzo często

nie tylko Europy, ale też Moskwy nigdy nie widzieli na oczy. Putin uważa – chyba szczerze – że wystarczy być po prostu człowiekiem, który nie postradał zmysłów, by mieć pewność, że za nic w świecie nie zamieniłoby się Rosji na Szwecję, Francję czy Niemcy.

Nie trzeba być przy tym wcale fanem partii władzy czy przywódcy, bo nawet ci obywatele, którzy wyrażają sceptycyzm wobec Kremla, a politykom zarzucają korupcję i kłamstwa, dobrze wiedzą, że akurat w tej kwestii prezydent ma rację.

No bo jakie inne zdanie można mieć na temat tej zachodniej mody na zmianę płci u dzieci? Jak pogodzić się ze zmuszaniem ludzi przez tę Unię do jedzenia świerszczy i innych insektów? Albo zaakceptować tę agresywną promocję ideologii LGBTQ? I to

wysmiewanie tradycji, rodziny, wartości? Jak można przytykać oczy na przyzwalanie przez te ich rządy, tak głośno deklarujące otwartość na różnorodność i przywiązanie do swobód obywatelskich, by Europę nie tylko zalewali Arabowie czy inni Afrykanie, ale również zaprowadzali w niej własne porządki? Jak tu ufać Zachodowi, skoro próbuje wykorzystywać tych Rosjan, którym słowo „patriotyzm” jest obce, by – za ogromne pieniądze – realizowali obcą politykę w kraju? „Zachód

Znając putinowską telewizję, z pewną ulgą oglądam kątem oka to, co Polakom oferują nasze państwowe media

stał się ofiarą złe zrozumianej, wypaczonej wolności słowa”, kwitują takie wywody w telewizji rosyjscy eksperci.

Odwracanie pojęć, manipulacja obrazem i synonimami, odpowiedni dobór związków frazeologicznych, imienia dyskredytacja tych, którzy stanowią choćby cień wyimaginowanego zagrożenia dla Kremla, to sztuka, którą rosyjscy propagandyści opanowali do perfekcji. Ci zwykli, szeregowi nie uciekają się wcale do znanego nam w Polsce aż za dobrze szczucia i lżenia wrogów wprost. Jedynie niewinnie zwracają uwagę na ich obecność, nieśmiało wskazują palcem. Z koronkową precyzją od lat odziera ją przy tym słowa z ich pierwotnych znaczeń, pozostawiając widzów nie tyle z wiarą, że władze są nieomyłne – bo w to uwierzyć są w stanie

tylko najbardziej zaimpregnowani – co z przekonaniem, że w wielu kwestiach mają rację. – Rosyjską propagandę tworzą bardzo inteligentni ludzie. Niestety – mówiły mi i wybitna reporterka Jelena Kostiučenko, i była pracownica państwowej telewizji Marina Owsiannikowa.

Z pewną ulgą oglądam więc kątem oka to, co Polakom oferują nasze państwowe media: toporność, jednostronny przekaz, prymitywne manipulacje, nieskrywane ataki. Problem polega na tym, że praktyka czyni mistrza. I z czasem ci, którzy dzisiaj próbują wmówić nam, że czarne jest białe, zorientują się, że o wiele bardziej przekonująco będzie to brzmiało, jeśli powiedzą, że zgodnie z zasadami fizyki czarnego w ogóle nie ma. ●

Wiktorija Bieliaszyn

Prawdziwa stawka tych wyborów

Pozbądź się nienawiści

Kublik



Było tak. On – wysoki, ze 2 m wzrostu (a może to przez ten kapelusz, tetson w kolorze karmelowym), potężny, ale nie gruby. Ona – mała, góra 160 cm, długie włosy w strąkach wokół przestraszzonej buzi, typ szarej myszki, co przeprasza, że jest.

Miejsce akcji – Warszawa, supermarket, półki z szalikami. Ona spogląda na szale. On: „Ani mi się k... waż!”.

Ona kuli się jeszcze bardziej, mija półkę.

On – powarkuje zadowolony, że ona nawet sekundę się nie zawahała i posłusznie poszła dalej.

Zmroziło mnie. To nie był dowcip, to było na serio – rozkaz chłama do natychmiastowego wykonania. A ofiara była posłuszna. To była przymoc werbalna, psychiczna i ekonomiczna w czystej postaci. Chciałam interweniować, ale poczułam, że za moją chwilowe zwycięstwo ona zapłaci w domu.

To było w praktyce to, o czym teoretyzują tzw. prawdziwi Polacy i tzw. prawdziwi mężczyźni. Ci, dla których traktowanie kobiet jako „części dobytku” jest czymś naturalnym i których zdaniem „kobiety były częścią gospodarstwa domowego o statusie

wyższym niż zwierzęta czy dobytek ruchomy, ale mimo wszystko nieuczestniczącym na równych prawach w procesach decyzyjnych”. Którzy objaśniają świat jako „układ patriarchalny i esencjonalny, w którym dbamy o dobro należących do siebie kobiet, ale traktujemy je nie jako partnerów, ale jako część dobytku”.

Ale w tę niedzielę chodzi o godność nie tylko kobiet. Chodzi o godność wszystkich tych, którym obiecywano ją po 2015 roku. Najślabszych, porzuconych, tych żyjących daleko od metaforycz-

On powiedział do niej: „Ani mi się k... waż”. Głosuję po to, żeby to się nie powtórzyło

nej głównej szosy, którzy – jak analizowali i do dziś analizują socjologowie – dostali wreszcie poczucie (czy raczej jego obietnicę) godności. Obietnicę, że zostaną usłyszani i zaopiekowani. Tyle że w pakiecie było przyzwolenie na to, by dawać „lepszym”, a pogardzać „tamtymi”.

Podziało. Tak skutecznie, że zawołanie „pogonimy elity” rozlało się na całą Polskę, na wszystkie dziedziny, na nas wszystkich. Przez kolejne lata do hejtowanej „elity” awansowali nauczyciele, pielęgniarki, osoby niepełnosprawne i ich bliscy, niebinarne dzieciaki, obrońcy przyrody, samotne matki i kobie-

ty w ogóle, artyści, naukowcy, drobni przedsiębiorcy, cudzoziemcy...

A z każdą kolejną grupą, której odbierano godność, pojawiała się taka, której na cudzą godność pozwolono lub kazano nastawać. Dziś czujemy się zagrożeni – jako obywatele i po prostu ludzie – w szkole, w sądzie, u lekarza, na policji, u prokuratora, w mediach...

To, czego byłam świadkiem w sklepie, to nie anegdota, tylko groźne zjawisko polityczne. Na imię mu neopatriotyzm. Socjologowie opisują je jako taki typ władzy, w której wódz buduje więź z elektoratem, dając ludziom możliwość spychania innych na margines. To bezcenny prezent. Dla obdarowanych, bo mają poczucie sprawczości i choć przez chwilę mogą się poczuć lepsi. Dla obdarowującego, bo nie musi się wysilić, wykoshować, żeby realnie polepszyć los poddanych. Więcej zostanie dla swoich.

W czasie protestów przeciwko wyrokowi Trybunału Przylębskiej zaostrożnemu prawo antyaborcyjne pod pewnym nieprzypadkowym domem na warszawskim Żoliborzu stała dziewczyna z kawalkiem tektury. Na nim wypisała: „Nienawidzę was za to, że nauczyciel nas nienawidzi”.

Ktoś zabrał jej godność, a dał nienawiść. I oto chodzi w tych wyborach. O pozbycie się nienawiści jako naszej codziennej emocji narodowej. ●

Agnieszka Kublik

Dzień nauczyciela Wpuśćmy świeże powietrze do pokoju nauczycielskiego

Każdy z nas potrzebuje jeść, pić i mieć gdzie mieszkać. Kiedy te potrzeby są zaspokojone, możemy robić więcej. Dlatego życzę nauczycielom, żeby godnie zarabiali. Nauczyciel zabiegany, starający się wiązać koniec z końcem skupia się na przetrwaniu. A my chcemy być uważnymi, wdzięcznymi towarzyszami naszych uczniów.

Nie mam czasu często zaglądać do pokoju nauczycielskiego. Ale atmosfera jest taka jak wszędzie indziej. Na szczęście my mamy fajny zespół, grupę, która się wspiera. Bo zdarza się, że ktoś ma dość.

Ostatnio przyszedł do nas fajny człowiek. Młody, po trzydziestce. Więc to nie tak, że nie udaje się nikogo znaleźć, że ludzie tylko odchodzą z zawodu.

W edukacji przeżyłem 26 lat reform: wprowadzenie gimnazjów, likwidację gimnazjów, zmianę w zmianną w prawie oświatowym. Wiem, jak to odbiera człowiek myślący o sensownej karierze, gdy dowiadu-

je się, ile może dostać na starcie: „totalnie niepewny rynek i kupa nerwów za 2,8 tysiąca na rękę?”.

A jednak pojawiają się nowi młodzi nauczyciele. I to tacy, którzy dojeżdżają do Warszawy (bo ceny mieszkań...). Mamy kolegę z Siedlec, to 80 kilometrów codziennie, rano i po południu. To pokazuje naszą determinację i poczucie misji.

Trzymamy się też dlatego, że ludzie coraz lepiej nas rozumieją. Już nie zdarza nam się słyszeć od rodziców: „Nieroby, dwa miesiące wakacji, ferie i jeszcze żądają”.

A więc: żyćce koleżankom i kolegom, byśmy byli wolni. Bo nauczyciel, który ma poczucie sprawstwa i wolności, nie potrzebuje podręcznika czy nie wiadomo jakiego sprzętu. I bez nich będzie wiedział, czego jego uczeń potrzebuje i jak może mu to dać.

Radosław Potrac
pedagog specjalny, nauczyciel historii z warszawskiej Pragi, wybrany Nauczycielem Roku 2023
Wysłuchała **Karolina Słowik**

Wieczór wyborczy „Czas decyzji” w TVN 24 i TVN

Na wieczór wyborczy 15 października dziennikarze TVN 24 i „Faktów” przygotowali specjalne wydanie programu „Czas decyzji”. Rozpocznie się o godz. 20 w TVN 24, a od 20.30 także w TVN. Internauci będą mogli oglądać transmisję w aplikacji TVN24 GO i na platformie Player.

Wśród prowadzących będą m.in. Anita Werner, Grzegorz

Kajdanowicz, Diana Rudnik, Monika Olejnik, Konrad Piasecki, Piotr Kraśko, Małgorzata Łaszczyńska. Podczas całego wieczoru wyborczego najważniejsze wypowiedzi polityków, emocje w sztabach będzie prezentować Anna Jędrzejowska.

Dokładnie o godz. 21 prowadzący zaprezentują sondażowe wyniki wyborcze i jak te wyniki przełożą się na mandaty oraz rozkład sił w Sejmie. ●

Nowy rodzaj wojny

Nasz wkład w te i inne zbrodnie

Rosjanom i Hamasowi wcale nie chodzi o terytorium, zasoby. Nawet nie o zwycięstwo

Applebaum



„Oparty na zasadach porządek świata” to system norm i wartości, które opisują, jak świat powinien działać, nie jak faktycznie działa. Ten aspiracyjny ład jest zakorzeniony w idealistycznym pokłosiu II wojny światowej i zapisany w takich dokumentach jak Karta Narodów Zjednoczonych, Powszechna Deklaracja Praw Człowieka, konwencja ONZ o ludobójstwie i konwencje genewskie.

Przez następnych siedem dekad dokumenty te były często ignorowane. Konwencja ONZ w sprawie ludobójstwa nie zapobiegła ludobójstwu w Rwandzie. Konwencje genewskie nie powstrzymały Wietnamczyków przed torturowaniem amerykańskich jeńców, nie powstrzymały Amerykanów w Abu Ghraib przed torturowaniem irackich jeńców i nie powstrzymały dziś Rosjan przed torturowaniem ukraińskich jeńców. Wśród sygnatariuszy Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka znajdują się państwa regularnie łamiące prawa człowieka, w tym Chiny, Kuba, Iran i Wenezuela. Komisja Praw Człowieka ONZ od lat jest parodią.

Niemniej jednak dokumenty te miały wpływ na rzeczywistość. Radzieccy dysydenci zwykli zawstydzają swój rząd językiem praw człowieka zawartym w traktatach, które Kreml podpisał, ale ich nie przestrzegał. Państwa, które podpisały układy regulujące zachowania w trakcie konfliktów zbrojnych, albo usiłowały ich przestrzegać – na przykład starając się unikać ofiar cywilnych – albo przynajmniej wyrażały skruchę, gdy im się to nie udawało. Amerykanie, którzy źle traktowali irackich jeńców, stanęli przed sądem wojskowym, zostali uznani za winnych i osadzeni w armijnych więzieniach. Brytyjczycy wciąż zadręczają się postępowaniem swoich żołnierzy w Irlandii Północnej, a Francuzi – w Algierii.

Rosyjska inwazja na Ukrainę i atak Hamasu na izraelskich cywilów to jednocześnie jawne odrzucenie opartego na zasadach porządku świata i zwiastun czegoś nowego. Obaj agresorzy zastosowali wyrafinowaną, zmilitaryzowaną, nowoczesną formę terroryzmu i wcale nie uważają, żeby mieli się z tego powodu wstydzić lub za coś przepraszać.

Terroryści z definicji nie prowadzą konwencjonalnych wojen i nie przestrzegają prawa wojennego, tylko celowo wywołują strach i chaos wśród ludności cywilnej. Chociaż taktyki terrorystyczne są zwykle kojarzone z małymi ruchami rewolucyjnymi lub tajnymi grupami, terroryzm jest dziś po prostu częścią rosyjskiego stylu prowadzenia wojny.

Rosja, która jest suwerennym państwem i stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ, po raz pierwszy zaczęła celowo uderzać w cele cywilne w Syrii w 2015 roku. Były wśród nich elektrownie, szpitale i placówki me-

dyczne. Rosyjskie rakiety trafiły 25 takich obiektów tylko w ciągu jednego miesiąca w 2019 r. Ataki te były bez wątpienia zbrodniami wojennymi, a ci, którzy wybierali cele, świetnie o tym wiedzieli. Niektóre szpitale wręcz udostępniły swoje współrzędne ONZ, aby uniknąć trafienia: rosyjskie i syryjskie siły rządowe wykorzystały te informacje, by je namierzyć.

W Ukrainie Rosja po raz kolejny użyła artylerii, pocisków manewrujących i dronów, także irańskich, aby uderzyć w jeszcze szerszy zakres celów cywilnych: domy, budynki mieszkalne, kościoły, restauracje, porty, silosy zbożowe. W zeszłym tygodniu rakiety spadły na sklep i kawiarnię w małej wiosce Horza, zabijając ponad 50 osób. Atak nie miał żadnego konwencjonalnego militarnego uzasadnienia. Jego celem było wyłącznie wywołanie cierpienia, spowodowanie śmierci cywilów i sianie zamętu.

Demokracje, ze Stanami Zjednoczonymi na czele, ponoszą sporą część winy – za odmowę egzekwowania zasad, kiedy jeszcze mogły to robić, i za łamanie zasad

A rosyjscy propagandyści chwalą te działania i wzywają do kolejnych: „Powinniśmy poczekać na odpowiedni moment i wywołać w Europie kryzys migracyjny poprzez napływ nowych rzesz Ukraińców” – powiedział jeden w telewizyjnym talk-show.

Hamas nie jest suwerennym państwem, ale ma pełne wsparcie Iranu oraz finansowanie z Kataru, a oba są suwerennymi państwami. Od 2006 r. Hamas jest również partią faktycznie sprawującą władzę w Strefie Gazy, która od czasu wycofania się Izraela rok wcześniej jest samorządnym terytorium.

Hamas nie uważa się jednak za część jakiegokolwiek porządku. W sobotę przeprowadził świetnie zaplanowany atak, którego celem było szerzenie terroru wśród izraelskiej ludności i wywołanie chaosu. Zastosował pociski raketowe i drony – w tym drony kamikadze podobne do używanych w Rosji i Ukrainie – a także oddziały uzbrojonych mężczyzn. Napastnicy uderzyli co prawda w kilka posterunków wojskowych, ale przede wszystkim zabili też ponad 200 uczestników muzycznego festiwalu, ścigali dzieci i osoby starsze, chodzili od domu do domu, szukając ludzi, których mogliby zamordować. Porywali też młode kobiety, bili do nieprzytomności i przetrzucali przez granicę, co jest zbrodnią wojenną tak starą jak „Iliada”.

Terroryści z Hamasu nie zwracają uwagi na żadne współczesne prawa wojenne czy na jakiegokolwiek inne normy. Podobnie jak Rosjanie, Hamas i jego irańscy poplecznicy – którzy również są sojusznikami Rosji – zarządzają nihilistycznymi reżimami, których celem jest zniszczenie resztek opartego na zasadach porządku świata i wprowadzenie w jego miejsce anarchii. Nie ukrywają też swoich zbrodni wojen-

nych – przeciwnie, sfilmowali je i rozpowszechnili w internecie. Ich celem nie było zdobycie terytorium czy starcie z wojskiem, tylko wywołanie cierpienia i gniewu.

Co im się też udało – i to nie tylko w Izraelu. Hamas musiał się spodziewać masowego odwetu Izraela na Strefie Gazy. Do ofiar tego ataku dołączyła setki, jeśli nie tysiące palestyńskich cywilów.

Aby wyjaśnić, dlaczego stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ i quasi-państwo zachowują się w ten sposób, można zacząć od natury ich własnych totalitarnych reżimów. Winnych jest jednak więcej: oparty na zasadach porządek, od początku raczej wątły, umiera bowiem od dłuższego czasu. Autokracje – z Chinami na czele – od lat starają się osłabić lub wręcz usunąć język praw człowieka i rządów prawa z międzynarodowych gremiów, zastępując go językiem „suwerenności”. Nie jest to zresztą wyłącznie kwestia języka: Chińczycy przez lata dopuszczali się zbrodni wobec Ujgurów, jak dotąd bezkarnie, i przeprowadzili otwarty atak na prawa mieszkańców Hongkongu.

Przeciwnicy opartego na zasadach porządku pozwalali sobie również na świadomie prowokacyjne zachowania, które miały skompromitować rządy prawa w innych krajach. Białorusi uszło na sucho zmuszenie irlandzkiego samolotu do lądowania w Mińsku, a następnie porwanie znajdującego się na jego pokładzie przeciwnika reżimu. Rosja zorganizowała morderstwa swoich obywateli w Londynie, Waszyngtonie i Berlinie.

Demokracje, ze Stanami Zjednoczonymi na czele, również ponoszą sporą część winy – zarówno za odmowę egzekwowania czegokolwiek przypominającego ów porządek, kiedy jeszcze mogły to robić, jak i za łamanie zasad. George W. Bush przyzwalał na tajne więzienia CIA i tortury podczas wojny z terroryzmem. Obama oskarżył syryjski reżim o użycie broni chemicznej, a następnie nie zrobił nic, by go powstrzymać. Trump zrobił wszystko, by ułatwić amerykańskim zbrodniarzom wojennych i nadal opowiada się za pozasądowymi morderstwami – sugerował na przykład, że były przewodniczący Połączonych Szefów Sztabów zasługuje na egzekucję. Premier Izraela Benjamin Netanjahu pobraża najbardziej ekstremalnym głosom w izraelskiej polityce: politykom, którzy nie kryją się z zamiarem zlikwidowania niezależnego sądownictwa i praworządności, oraz partiom, których członkowie otwarcie opowiadają się za masowym wydalaniem Arabów z kraju. Jeden z członków jego własnej partii Likud powtórzył to samo wezwanie w niedzielę.

Przypominając o odpowiedzialności Netanjahu czy o tym, że Izraelczycy również bezkarnie zabijali palestyńskich cywilów, a teraz robią to ponownie, nie usprawiedliwiam sobotniego ataku, tylko opisuję wkład Izraela w pogorszenie norm, które jeszcze obowiązują. Dodajmy do tego ONZ, które wydaje się programowo wybierać słabych przywódców, i Unię Europejską, która wciąż nie ma jasnej polityki bezpieczeństwa, a zaczniemy widzieć szerszy

obraz: wkraczamy w erę, w której nie będzie żadnego porządku opartego na zasadach czy jakiegokolwiek innego.

Aspiracyjny, oparty na zasadach porządek świata i wspierająca go społeczność międzynarodowa bywały często wyśmiewane, i słusznie. Krokodylę lży mężów stanu, którzy wyrażali „głębokie zaniepokojenie”, gdy te nieegzekwowane zasady były łamane, owszem, bywały nie do zniesienia, podobnie jak ich hipokryzja, gdy wypowiadali się na temat odległych konfliktów. W sobotę wiceminister obrony Rosji sparodiował takie wypowiedzi, wzywając do „pokoju” między Izraelem a Hamasem na podstawie „uznanych porozumień” – tak jakby Rosja akceptowała jakiegokolwiek „uznane porozumienia” jako podstawę „pokoju” w Ukrainie.

Możemy jednak jeszcze zatęsknić za konwencjami genewskimi, gdy te przestaną obowiązywać – podobnie jak za równie przestarzałym Pax Americana, czyli oczekiwaniem, że Stany Zjednoczone włączą się w rozwiązywanie każdego konfliktu, które towarzyszyło opartemu na zasadach porządkowi światowemu. Otwarta brutalność w konfliktach międzynarodowych jest bowiem znów modna i może minąć dużo czasu, zanim cokolwiek ją zastąpi. ● **Anne Applebaum**
Przełożyła Katarzyna Wężyk.
Tytuł i lead od redakcji

● © 2023 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic”
All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency
Anne Applebaum jest stałą autorką magazynu „The Atlantic”, wykładowczynią SNF Agora Institute na Uniwersytecie Johns Hopkinsa oraz autorką wielu bestsellerowych książek. Najnowsza to „Zmierzch demokracji. Zwodniczy powab autorytaryzmu”, o tym, dlaczego elity w demokracjach na całym świecie zwracają się w stronę nacjonalizmu i autorytaryzmu. Książka dostępna na KulturalnymSklepie.pl i w formie e-booka na Publio.pl.

Kod dostępu do Wyborcza.pl





Niezależnie od tego, jaka flaga by powiewała nad tym półpustynnym, siekanym wichrem kawałkiem ziemi, urodzić się na nim – to przegrać los na loterii

GAZA TO KRZYWDA

Konstanty Gebert

Ponad dwa miliony ludzi gnieźdzą się na 365 kilometrach kwadratowych piasku, co czyni z Gazy trzecie pod względem gęstości zaludnienia miejsce na ziemi.

Jeszcze na początku wieku było ich o połowę mniej, ale każda gazańska kobieta rodzi przeciętnie 4,4 dziecka. To zaś oznacza, że ponad połowa mieszkańców ma 18 lat lub mniej. Wyrastają na splachetku, który w normalnych warunkach mógłby żywić 150 tysięcy i na którym dla nikogo więcej nie ma pracy: bezrobocie sięga 67 proc. Zdumiewa właściwie, że jedynie połowa młodych Gazańczyków pragnie wyemigrować: liczba ta nie odbiega od średniej w całym świecie arabskim.

Powodem tak niskiego wskaźnika może być to, że nie warto zapewne marzyć o tym, co nieosiągalne. Z papierami wystawionymi przez hamasowską administrację można wyjechać co najwyżej do Egiptu lub do Izraela. O ile oczywiście nie trwa akurat wojna

i przejścia są otwarte. O ile przez te otwarte przejścia akurat hamasowcy wypuszczają, nie wymyślają nowych pretekstów, by zarobić na łapówkę, dodatkową, oprócz tej, którą i tak trzeba było zapłacić, żeby papiery dostać. Nawet jeśli hamasowcy wypuszczają, to Izraelczycy lub Egipcjanie musieliby jeszcze wpuścić. Izraelczycy wymagają albo niemal nieosiągalnego zezwolenia na pracę – ze 150 tysięcy wystawionych Palestyńczykom tylko około 20 tysięcy przypada na Gazę – albo medycznej dokumentacji udowadniającej, że terapia w Izraelu jest sprawą życia lub śmierci. Zgody na udanie się do Izraela na leczenie są wydawane, korzystają z nich nawet członkowie rodzin przywódców Hamasu – ale bardzo niechętnie.

Jeszcze bardziej niechętnie zgody na wjazd wydaje Egipt. Chodzi – jak powiedział agencji Reuters anonimowy funkcjonariusz egipskich służb bezpieczeństwa – o „ochronę prawa Palestyńczyków do trwania przy swej sprawie i ziemi”. Innymi słowy o to, by Gazańczycy nie przeprowadzali się do Egiptu – biednego, przeludnionego, którego prezydent toczy bezpardonową wojnę z Bractwem Muzułmańskim. Bractwem, którego Hamas jest gazańską filią.

Izraelsko-egipska blokada Strefy trwa od 2007 r. Jej celem jest niedopuszczenie, by do Gazy trafiały surowce i towary, które mogą zostać użyte do celów terrorystycznych, samej Gazy zaś nie opuszczają osoby, które mogłyby się terroryzmu dopuścić. Powody są oczywiste – odkąd Izrael opuścił Strefę w 2005 r., ewakuując zeń siłą wszystkich obywateli mieszkających w założonych tam osiedlach, z Gazy odpalono ku Izraelowi dziesiątki tysięcy rakiet. Do Egiptu z kolei tunelami przemytniczymi trafiały broń przeznaczona dla terrorystów islamskich oraz ludzie umiejący i chcący się nią posługiwać. Egipt zbombardował tunele, likwidując zarazem lukratywny przemyt, z którego żyły tysiące ludzi i który reżim hamasowski całkiem otwarcie opodatkował.

Izrael z reguły tonował reakcję, tym bardziej że większość pocisków zestrzeliwały antyrakiety systemu Żelazna Kopuła – ale już czterokrotnie, w odpowiedzi na zmasowany ostrzał czy próby przedarcia się uzbrojonych hamasowców przez otaczającą Strefę barierę, odpowiadał zmasowanym ostrzałem z powietrza lub lądową inwazją. Obecna konfrontacja niewątpliwie będzie najkrwawsza. Potrwa długo i zginą w niej tysiące Pa-

lestyńczyków, w tym cywilów. I dziesiątki, być może setki, umundurowanych i cywilnych Izraelczyków.

Jak to tego doszło?

Jak to często na Bliskim Wschodzie bywa, granice Strefy powstały przypadkiem. W 1922 r. Liga Narodów, przyznając Wielkiej Brytanii mandat nad Palestyną, zdobytą przez Londyn na Turkach pięć lat wcześniej, uznała wytyczoną przez Brytyjczyków granicę między mandatową Palestyną a świeżo niepodległym królestwem Egiptu. To ona stanowi dziś granicę między republikańskim obecnie Egiptem a Strefą, wówczas niewyodrębnioną częścią terytorium mandatu. Gdy po II wojnie Brytyjczycy mandatu się zrzekli, ONZ – sukcesorka Ligi – uchwaliła w rezolucji Zgromadzenia Ogólnego podział mandatu na dwa państwa – arabskie i żydowskie; Strefa miała wejść w skład arabskiego. Rezolucje ZO nie mają mocy prawa międzynarodowego – to przysługuje jedynie rezolucjom Rady Bezpieczeństwa – ale reprezentująca palestyńskich Żydów Agencja Żydowska ją zaakceptowała, mimo że proponowane granice były dla Żydów

skrajnie niekorzystne. Odrzuciły ją natomiast wszystkie państwa arabskie i gdy 14 maja 1948 r. Izrael ogłosił niepodległość, armie czterech z nich wkroczyły na terytorium byłego mandatu.

Armia egipska wkroczyła przez Gazę, gdyż tam znajdowała się jedyna zdalna do użytku szosa, i ruszyła na Tel Awiw. Za cenę gigantycznych i krwawych wysiłków Egipcjanie zostali powstrzymani. Egipcjanie zawrócili do Gazy, z której Izraelczykom nie udało się już ich wyprzeć. I tak na bazie przypadkowej linii zawieszenia ognia powstała granica między nowo utworzoną Strefą Gazy a od niedawna niepodległym Izraelem. Mógłby tam powstać kawałek arabskiego państwa palestyńskiego, ale nie powstał: Kair objął Strefę administracją wojskową, zabraniając mieszkańcom jej opuszczanie, szkoląc ich za to w terroryzmie. Drugą część mającego powstać państwa – Zachodniego Brzegu Jordanu – przyłączyła natomiast Jordania, która przynajmniej nadała jego mieszkańcom obywatelstwo. Państwo arabskie nie powstało więc z powodu państw arabskich lasych na jego ziemie.

Z Gazy palestyńscy bojownicy – fedaini – przenikali do Izraela, siali śmierć i zniszczenie. Ale wraz z nimi przenikali też zwykli uchodźcy, pragnący powrócić do swych wiosek i ziem, z których uciekli – lub zostali wygnani przez Izraelczyków. Lecz Izrael, który musiał przyjąć 650 tysięcy uchodźców żydowskich wypędzonych z krajów arabskich, nie godził się na jakiegokolwiek powroty do czasu konferencji pokojowej, która rozstrzygnęłaby kompleksowo prawa wszystkich uchodźców do zamieszkania i do ziemi. Uchodźcy stanowili znaczną część mieszkańców Gazy; dziś ONZ, która w odniesieniu do Palestyńczyków przyjęła zasadę nieobowiązującą wobec jakiegokolwiek innej grupy uchodźczej – że status uchodźcy się dziedziczy – uznaje za takowych około miliona mieszkańców Strefy.

W 1956 r. Mosze Dajan przemawiał w kibucu Nahal Oz na granicy z Gazą na pogrzebie Roja Rotberga. 21-letni Rotberg przeniósł się tam z Tel Awiwu, by zostać szefem bezpieczeństwa kibucu. Wpadł w arabską zasadzkę. Głównodowodzący Dajan powiedział:

„Nie obwiniajmy morderców. Dlaczego mielibyśmy się uskarżać na ich nienawiść do nas? Od ośmiu lat siedzą w obozach uchodźców i na własne oczy widzą, jak zrobiliśmy sobie ojczyznę w ziemi i w wioskach, w których ongiś oni i ich przodkowie mieszkali. Jesteśmy pokoleniem osadnictwa i bez stalowego hełmu i paszczęki armatniej nie zaszczymy drzewa ani nie zbudujemy domu. Nasze dzieci nie będą miały swojego życia, jeśli nie zbudujemy schronów, a bez drutu kolczastego i karabinu maszynowego nie będziemy mieli ścieżki czy drążyli do wody. Miliony Żydów, unicestwionych bez ziemi, spoglądają na nas z popiołów żydowskiej historii i nakazują nam zasiedlić i odbudować ziemię dla naszego ludu. Ale za brudzą znającą granicę leży wzburzone morze nienawiści i odwetu, spragnione dnia, w którym spokój stępi naszą czujność, dnia, w którym wysłuchamy posłańców spiskującej obłudy, którzy wzywają nas, byśmy złożyli broń”.

Izrael na krótko okupował Strefę podczas wojny synajskiej w 1956 r. i ponownie zajął ją po wojnie sześciodniowej w roku 1967. Na izraelskie propozycje negocjacji pokojowych Liga Arabska odpowiedziała słynnymi trzema nie: nie dla negocjacji, nie dla pokoju, nie dla uznania Izraela – i sprawa ugrzęzła w martwym punkcie. Nie pchnął jej naprzód zawarty w 1979 pokój izraelsko-egipski. W latach 70. i 80. zaś Izrael musiał walczyć z groźnym terroryzmem Organizacji Wyzwolenia Palestyny i by osłabić jej poparcie, jął wspierać silny w Gazie Muzułmański Ruch Oporu – w skrócie Hamas. Izraelscy politycy zlekceważyli Kartę tego ugrupowania, która mówi wprost:

Artykuł 11.: Muzułmański Ruch Oporu uznaje ziemię Palestyny za muzułmańską spuściznę, poświęconą dla przyszłych pokoleń muzułmanów aż do Dnia Sądu. Ani ona,

ani żadna jej część nie powinny zostać roztrwonione, ani jej, ani żadnej jej części nie można się zrzec. Ani żadne pojedyncze państwo arabskie, ani wszystkie państwa arabskie, ani żaden pojedynczy król czy prezydent, ani wszyscy królowie i prezydenci razem wzięci, choćby byli Palestyńczykami i Arabami, nie mają prawa tego dokonać.

Artykuł 15.: W dniu, w którym wrogowie zawłaszczają sobie część ziemi muzułmańskiej, dżihad staje się obowiązkiem każdego muzułmanina.

■ W 2005 r. Izraelczycy wyprowadzili wojska i osadników z Gazy. Pozostawili nietkniętą infrastrukturę mieszkaniową i gospodarczą, która natychmiast została przez Gazańczyków zdemolowana jako nieczysta spuścizna okupacji

Artykuł 28.: Syjonistyczna inwazja to zjadliwa inwazja. Wielce polega na swych operacjach infiltracyjnych i szpiegowskich, na tajnych organizacjach, które spłodziła, takich jak masoni, kluby Lions i Rotary, i innych grupach sabotażowych. Wszystkie te organizacje, czy to jawne, czy tajne, działają w interesie syjonizmu i zgodnie z jego instrukcjami. Dążą do podminowania społeczeństwa, niszcząc wartości, korumpując sumienia, psując charaktery i niszcząc islam. Ona stoi za wszelkiego rodzaju handlem narkotykami i alkoholizmem, by ułatwić sobie kontrolę i ekspansję. Nie możemy zapomnieć o przypominaniu każdemu muzułmaninowi, że gdy Żydzi podbili w 1967 r. Święte Miasto, stanęli na progu [meczetu] Al-Aksa i ogłosili, że „Mahomet jest martwy a jego potomkowie są kobietami”.

Hamas – zdelegalizowany w końcu w Izraelu w 1989 r. – postanowił z tych „kobiet” zrobić ponownie mężczyzn. Jego zwolennicy wysadzali się na ulicach izraelskich miast. Czynili tak zwłaszcza po podpisaniu przez Jerozolimę z OWP w 1993 r. porozumień z Oslo, stwarzających perspektywę powstania w Gazie i na Zachodnim Brzegu państwa palestyńskiego w ciągu pięciu lat.

To oczywiście stanowiło naruszenie art. 11. Karty. W ciągu tych pięciu lat w zamachach zginęło ponad tysiąc Izraelczyków i proces pokojowy utracił wiarygodność. W 2005 r. w obliczu impasu premier Ariel Szaron wyprowadził wojska i osadników z Gazy. Pozostawili nietkniętą infrastrukturę mieszkaniową i gospodarczą, która natychmiast została przez Gazańczyków zdemolowana jako nieczysta spuścizna okupacji. Rok później demokratyczne wybory wygrał Hamas – i rządzi nadal, bo nigdy więcej już nie dopuścił do takich ekscesów. Wkrótce zbrojnie wypędził z Gazy OWP i odtąd rządzi bez konkurencji. Tych, którzy to krytykują, zrzucało publicznie z wysokich budynków; krytyka ustala.

Połowa Gazańczyków urodziła się już po tych wydarzeniach. Nie pamiętają ani okupacji, ani wolnych wyborów, ani rozprawy z opozycją – ani czasów, gdy można było bez trudności jeździć po całym Izraelu i gdy niemal każda rodzina kogoś w Izraelu знаła. Oni już nie znają Żydów – znają wojnę. Żydzi to ci, którzy bez powodu, z „przepojonej złem i godnej pogardy” żądy mordu wysyłają bomby i rakiety. Gaza, odpalając swoje pociski, w ich oczach jedynie się broni – i pomści niewinne ofiary. Nie ma dziś gazańskiej rodziny, w której ktoś nie zginąłby czy nie został ranny podczas nalotów. Dla tych młodych ludzi jest rzeczą oczywistą, że Żydzi są samym złem.

Do spełnienia celu tak szlachetnego war to, jeśli trzeba, ponieść też śmierć samemu.

Inspiracją są szahidzi – męczennicy – którzy wysadzali się w Izraelu. Ich imiona noszą w Gazie przedszkola i szkoły, a dzieci wychowuje się od małego w nienawiści do wroga, kulcie śmierci – i w sprawnym posługiwaniu się bronią. Mordercy, którzy wdarli się z Gazy do Izraela, byli w swoim zabijaniu niezwykle skuteczni. Zaś starsi, którzy pamiętają jeszcze czasy sprzed Hamasu, nic nie mówią. Nikomu się nie uśmiecha lot z najwyższego piętra w dół.

Gaza mogłaby wyglądać inaczej. Tylko w ćwierćwieczu od podpisania porozumień z Oslo społeczność międzynarodowa przekazała Palestyńczykom ponad 40 miliardów dolarów pomocy. Wychodzi z grubsza po 500 na osobę rocznie. Niby niedużo – ale w targanej wojną Syrii, gdzie potrzeby są nieporównanie większe, to 150 dolarów. Pieniądze z pomocy idą zresztą z reguły nie na indywidualne zapomogi, lecz na projekty infrastrukturalne – gospodarcze, edukacyjne, komunikacyjne – z korzyścią dla całej społeczności. W Gazie na przykład na import cementu – bardzo potrzebnego do budowy domów dla nowych pokoleń i odbudowy zniszczeń. Tyle że priorytet ma budowa tuneli, w których mogą się chronić i którymi mogą bezpiecznie się przemieszczać hamasowcy. Wiele cementu pochłaniają też bunkry. Największy, który mieści sztab Hamasu, znajduje się pod szpitalem al-Szifra, dzięki czemu jest absolutnie bezpieczny. Inne bunkry używane jako składy broni znajdują się w meczetach czy w szkołach prowadzonych przez ONZ. Organizacja czasami protestuje, ale jej personel dobiera Hamas. Zaś cement jest dziś objęty izraelsko-egipską blokadą.

Gaza nie ma jednolitego systemu wodociągowo-kanalizacyjnego, bo odmówiła dołączenia do izraelskiej sieci wodnej, ale nie zbudowała własnej. Wodę czerpie się z setek kopanych na dziko studzienek, co powoduje opadanie lustra wód gruntowych i ich zasalanie. Rurociągi są więc priorytetem – ale z rur robi się prymitywne rakiety, osławione kassamy. Mają krótki zasięg i są niesterowalne, więc niecelne (zresztą często spadają w samej Strefie), ale zawsze istnieje nadzieja, że może trafią w jakiegoś Żyda. Rury też są objęte blokadą.

Gaza ma jedną elektrownię spalającą ropę. Surowiec trzeba przywozić z zewnątrz. Ale ropa napędza też warsztaty w zbrojowniach Hamasu, produkujących już nie tylko kassamy, ale też bardzo precyzyjne kopie irańskich rakiet bliskiego zasięgu. Ropa też jest objęta blokadą. Oprócz tego Gaza importuje prąd z Izraela, co pokrywa trójstronne porozumienie z władzami Autonomii. Ale Hamas uważa, że Autonomia każe sobie za dużo płacić, więc nie opłaca rachunków, a to powoduje, że Autonomia nie reguluje należności wobec Izraela, a ten odcina dostawy, bo dostarczać za darmo prąd tym, którzy Izrael ostrzeliwują, to byłaby lekka przesada. Więc choć blokady na prąd nie ma, to prądu też nie.

Pod izraelską okupacją szklarnie z gazańskich osiedli żydowskich eksportowały do całego Izraela warzywa i owoce. Po ewakuacji osiedli szklarnie zostały zniszczone i dziś Gaza wytwarza mniej produktów roślinnych, a nawet musi je importować. Teraz import został przerwany, bo Izrael założył pełną blokadę.

Rzecz jasna, szkodliwe absurdy rozgrywają się nie tylko po gazańskiej stronie granicy. Nikt nigdy nie wytłumaczył, dlaczego blokadą objęto na przykład cynamon – chyba że chodzi o utrudnienie sporządzania wonnego ryżu, podstawowego składnika tamtejszej kuchni. Albo czekoladki – chyba że chodzi o pozbawienie gazańskich dzieci radości. Ani dlaczego kontrola eksportowanych z Gazy warzyw i owoców trwa często tak długo, że zdążą zwiędnąć i zgnić, nim dotrą do odbiorców – chyba że chodzi o pozbawienie gazańskich chłopów dochodu i nadziei. Izraelska administracja blokady bywa bezzwrotna i – gorzej – intencjonalnie okrutna. Ale to nie Izrael sprawił, że blokada jest konieczna.

I już zupełnie nikt nie ma pomysłu, jak problem Hamasu rozwiązać. Rozwiązania politycznego nie widać: dla Hamasu umowa z Izraelem jest religijną niemożliwością, podobnie jak współpraca z „kolaborancką” Autonomią Palestyńską. Można jedynie za pośrednictwem Egiptu bądź Niemiec wynegocjować jakieś przejściowe zawieszenie broni lub wymianę jeńców. Rozwiązanie militarne nawet w najlepszych warunkach oznaczałoby ogromne straty wśród palestyńskiej ludności, bo takie są skutki walk na terenie zabudowanym. Podczas bitwy o Mosul z tzw. Państwem Islamskim w Iraku zginęły tysiące cywili. A w Gazie Hamas celowo instaluje swą infrastrukturę wojskową w obiektach cywilnych, a to liczbę ofiar jeszcze dodatkowo zwiększa.

W poprzednich starciach międzynarodowa opinia publiczna zrazu popierająca prawo Izraela do samoobrony zmieniała front i – w miarę jak przybywało palestyńskich ofiar – coraz intensywniej żądała zakończenia działań. W rezultacie izraelscy dowódcy twierdzili, że nie pozwolono im dokończyć operacji osiągnięciem zwycięstwa nad Hamasem.

Tym razem będzie inaczej. Po ponad tysiącu zabitych cywili żaden rząd izraelski nie będzie mógł zaakceptować żądania, by chronił ludność wroga bardziej niż własną.

Ale nawet jeśli Hamas zostanie rozbity, to jakie mogą być skutki zwycięstwa?

Przywrócenie okupacji oznaczałoby powrót do stanu sprzed 2005 r., tyle że w sytuacji dla obu stron nieporównanie gorszej. Strefa wyszłaby z przegranej wojny zdruzgotana, a odpowiedzialność za odbudowę i zapewnienie ludziom znoszących warunków życia spadłaby na Izrael, gdzie nienawiść do Hamasu w sposób zrozumiały sięgnęła szczytu – i gdzie niezbyt się już rozróżnia, co również zrozumiale, choć niedające się usprawiedliwić, islamskich morderców od zwykłych mieszkańców. Odbudowa Strefy wymagałaby ogromnych nakładów i środków, i dobrej woli. Trudno sobie wyobrazić, by Izrael je miał. Zaś dla młodych Gazańczyków Żydzi i tak pozostaną wcieleniem zła. Autonomia Palestyńska z trudem radzi sobie z rządzeniem Ramallah, a już w Dżeninie jej władza nie istnieje. Nawet gdyby chciała się podjąć administracji okupowanej Gazy, nie miałaby jak.

Dużo większe szanse powodzenia miałyby wprowadzenie sił międzynarodowych z dużym kontyngentem arabskim. Ale żeby taka inicjatywa mogła się powieść, a Izrael gotów był ją zaakceptować, trzon sił musiałby pochodzić z USA. Dla stojącego przed reelekcją Bidena takie posunięcie byłoby samobójcze.

Należy więc sądzić, że piąta wojna gazańska zakończy się jak cztery poprzednie: niepełnym zwycięstwem Izraela, dewastacją Strefy i śmiercią tysięcy jej mieszkańców, potwierdzeniem w oczach tych, którzy przeżyją, że Żydzi kierują się żądzą mordu i na nic innego niż mord nie zasługują. A także potwierdzeniem w oczach Izraela, że tak samo jest z mieszkańcami Strefy. Bardzo chciałoby się powiedzieć, że tysiąc ofiar hamasowskiej rzezi nie zginęło nadaremnie. Ale cóż jest powszechniejszego niż daremna śmierć? ●



Autor jest publicystą „Kultury Liberalnej”. Właśnie ukazała się jego książka „Ostateczne rozwiązania. Ludobójcy i ich dzieło”. Dostępna w dobrych księgarniach, na [Kulturalnymyklep.pl](#) i w formie e-booka na [Publio.pl](#)

N A S Z A E U R O P A

Zadna armia nie miałaby ochoty na wejście do Gazy. ALE BĘDZIE TRZEBA

– Netanjahu kończy swoją karierę jako polityk, ale wysoką cenę tego smutnego końca płacimy wszyscy.
O, jak pan słyszy, u nas znowu włączyli syreny w Tel Awiwie. To atak rakietami na lotnisko.
Strąca je Żelazna Kopuła, ale to oznacza, że na razie koniec z wszelkimi lotami

Z **SEWEREM PLOCKEREM**,
PUBLICYSTĄ I WIELOLETNIM
REDAKTOREM NAJWIĘKSZEGO
IZRAELSKIEGO DZIENNIKA
„YEDIOTH AHRONOTH”,
ROZMAWIA
ŁUKASZ GRZYMISŁAWSKI

Rozmawiamy cztery dni po rozpoczęciu przez Hamas ataku na Izrael, ataku, który w swojej skali jest bez precedensu od czasu wojny Jom Kippur sprzed 50 lat, kiedy Izrael zaatakowały armie Egiptu i Syrii. Wiadomo, że do tej pory zginęło co najmniej 900 osób. W Gazie z kolei przetrzymywanych jest ponad 150 zakładników porwanych przez Hamas, są wśród nich żołnierze, ale to głównie cywile, w tym dzieci, a także obcokrajowcy. Według Hamasu będą rozstrzeliwani w odwecie za każdy zbombardowany palestyński dom. Premier Beniamin Netanjahu ogłosił, że państwo jest w stanie wojny. Zmobilizowano 320 tys. rezerwistów i rozpoczęto blokadę Strefy Gazy – palestyńskiej enklawy zamieszkaną przez 2 mln ludzi. „Walczymy z barbarzyńcami i odpowiednio zareagujemy”, stwierdził minister obrony. Ale wiadomo, że bardzo wielu Palestyńczyków wcale nie popiera Hamasu, który rządzi w Gazie od 16 lat i w tym czasie przyjął miliardy pomocy od państw Zatoki Perskiej, zwłaszcza od Kataru, ale zamiast na budowanie sensownych struktur cywilnych przeznaczył je na ciągle zbrojenia, dywersję czy budowę tuneli do Izraela. Przebywający w Bejrucie Ali Barakeh, jeden z przywódców Hamasu, powiedział agencji AP, że sami są zdziwieni sukcesem swojej operacji, bo spodziewali się, że Izrael zareaguje szybciej i sprawniej. „Armia izraelska okazała się papierowym tygrysem”, ocenił. Owszem, armia okazała słabość, ale czy naprawdę nie jest w stanie opanować sytuacji? – Cel, który wyznaczył armii rząd, to doprowadzić do upadku siły militarnej Hamasu. Celem Izraela nie jest wkroczenie do Gazy i ponowne rządzenie strefą tak, jak próbowano to robić przed laty, do mniej więcej roku 2005. Celem jest trwale uniemożliwienie dalszych aktów terrorystycznych przeprowadza-

nych z Gazy, które trwają już od wielu lat, tak naprawdę od czasu, gdy Hamas zrobił przewrót wojskowy w Gazie, przejął kontrolę nad strefą, przy okazji mordując setki Palestyńczyków z innych organizacji, które wówczas prowadziły rozmowy z Izraelem – i od tego czasu zmienił Gazę w największą bazę terroru na Bliskim Wschodzie. Dopóki całe struktury militarne Hamasu nie zostaną zlikwidowane, dopóty Izrael będzie prowadził tę wojnę. Z tym, że w odróżnieniu od poprzednich starć z Hamasem, kiedy armia przekazywała na bieżąco dość szczegółowe dane, dziś mam do czynienia z informacyjną mgłą. Ale wzięwszy pod uwagę

lata, jakie spędził u władzy, powstrzymywał się przed pełnoskalowym wejściem do Strefy Gazy. Ale czy teraz, gdy sympatia zaszokowanego Zachodu jest przynajmniej na razie całkowicie po jego stronie, może się na to zdecydować? – To możliwe, wojsko wprawdzie nie skłania się za bardzo do tej alternatywy, bo po tym, jak już tych 15-17 tys. terrorystów, którzy wkroczyli na teren Izraela, zostało zlikwidowanych, to jednak w Gazie jeszcze pozostało przynajmniej 12-13 tys. Bitwa miejska w gęsto zaludnionej Gazie to koszmar, ponadto pozostaje pytanie: co potem? Izrael nie ma zamiaru rządzić Gazą ani

podjąć, bo współtworzą go partie ultranacjonalistyczne, wręcz me-sjanistyczne. Jeżeli nie utworzymy tymczasowego rządu jedności narodowej, to prognoza jest bardzo niedobra.

W Izraelu trwały od miesięcy masowe protesty przeciwko autorytarnym zapędom rządu Netanjahu, związanym głównie z reformą sądownictwa – teraz protesty zawieszono, rezerwiści, którzy odmawiali służby, powrócili do niej, trwa tzw. efekt flagi, czyli jednoczenie się w obliczu zagrożenia zewnętrznego. Ale jak długo to może potrwać, czy Netanjahu prze-

omal wszystkich komentatorów politycznych, nawet tych, którzy aż do soboty popierali Netanjahu.

Jak pan sobie wyobraża polityczny scenariusz w Izraelu w ciągu najbliższych tygodni lub miesięcy, zakładając, że sytuacja militarna zostanie jakoś opanowana?

– To będzie paradoksalnie trudniejsze niż podczas wojny z Egiptem w 1973 r. Egipt miał rząd, z którym można było rozmawiać, nie był państwem terrorystycznym, tylko ambitnym regionalnym graczem, i miał bardzo rozsądnego prezydenta, w końcu zamordowanego przez muzułmańskich terrorystów. Teraz nie bardzo jest z kim rozmawiać. Ponadto Netanjahu jeszcze wciąż żyje w jakiejś iluzji, że on może wygrać tę wojnę z Hamasem samodzielnie i przemeblować cały Bliski Wschód, jak powiedział w poniedziałek na spotkaniu z żołnierzami. To są jednak fantazje absolutnie nie do spełnienia. Mam nadzieję, że jego towarzysze partyjni dadzą mu do zrozumienia, tak jak inni dali do zrozumienia Goldzie Meir w 1973 r., że należy odejść. Większość komentatorów w Izraelu snuje teraz analogie do tamtych wydarzeń i wychodzi im, że znów trzeba będzie iść na wybory. Ale to jest Bliski Wschód, trudno powiedzieć, jak sprawy się potoczą.

Zakładając, że Izrael będzie wybierał już po raz szósty z kolei w przyspieszonych wyborach: czy nie istnieje ryzyko, że te partie skrajnie prawicowe, nacjonalistyczne, które pozwoliły Netanjahu ponownie rządzić, nie zyskają na tej sytuacji?

– Nie, one nie zyskają, dlatego że także mają ręce poplamione krwią tych wszystkich, którzy zginęli od ostatniej soboty. Gdyby były dziś poza koalicją, to możliwe, że miałyby szansę – ale są częścią koalicji, popierały przez ostatnie 10 miesięcy ślepą politykę, która skupiła się na oblężeniu reformie sądownictwa, a kompletnie zaniedbała bezpieczeństwo państwa. Moim zdaniem teraz będzie im trud-

• **Ciała zabitych napastników z Hamasu oraz ich ofiar przy zniszczonym w walkach posterunku policji, miasto Sderot, 11 października**

FOT. MENAHEM KAHANA AFP

1 RP

Izrael nie jest teraz gotów myśleć o negocjacjach, nawet o wymianie więźniów za porwanych. Szykujemy się tutaj na długą akcję

ten olbrzymi gniew, jaki jest teraz w Izraelu, odstępianie od odwetu jest nie do pomyślenia. Mowa jest przecież nawet o tysiącu bezbronnym ludzi, którzy zostali bestialsko wyrżnięci jak te setki młodych, których Hamas zaatakował, gdy byli na festiwalu muzycznym nie daleko granicy. Mowa jest o masowych gwałtach na kobietach i mężczyznach, mowa jest o strasznym znęcaniu się, nawet nad dziećmi, łącznie z niemowlętami. To jest coś, co może przypominać Srebrnicę w czasie wojny w Jugosławii. Są tacy, którzy porównują to do pogromów, a prezydent Biden i premier Netanjahu stwierdzili, że Hamas właściwie jest dzisiaj odmianą ISIS. Izrael nie jest gotów myśleć o negocjacjach, nawet o wymianie więźniów za porwanych. Tak więc my się szykujemy tutaj na dość długą akcję.

Netanjahu zapowiada trudną i długotrwałą wojnę, ale przez

jej „kolonizować” i w końcu będzie się musiał wycofać. Sytuacja jest taka, że trzeba walczyć wyłącznie z organizacją terrorystyczną, a nie ze wszystkimi Palestyńczykami. To jest bardzo skomplikowany proces.

Ten cały kompleks problemów, z którym nagle trzeba sobie poradzić, to oczywiście także – to muszę powiedzieć – niemała wina naszych rządów, nie tylko aktualnego, którym się wydawało, że można wbić klin między Gazą a Autonomią Palestyńską na Zachodnim Brzegu i pomagać w ten sposób Hamasowi cementować władzę, a wszelkimi sposobami gnębić tych Palestyńczyków, którzy chcą z nami dojść do porozumienia. To była szaleńcza polityka, która doprowadziła do tego, że terrorystyczne quasi-państwo Hamasu stawalo się coraz silniejsze. Ta polityka musi się zmienić o 180 stopni. Ale takiej decyzji rząd Netanjahu w tej formie, w jakiej jeszcze ciągle funkcjonuje, nie jest w stanie

trwa ten kryzys wzmocniony, czy przeciwnie, po jego zakończeniu będzie skończony jako polityk, na którego wachcie wydarzyła się katastrofa?

– Ten rząd zbankrutował. To jest chyba widoczne dla każdego, kto włącza telewizję w Izraelu i przez cały dzień widzi płaczące kobiety, płaczących mężczyzn, którzy nie wiedzą, gdzie są ich najbliżsi, czy zostali porwani, czy zostali zgwałceni, czy zostali zamordowani – to są ludzie, którzy rozliczają się z fatalnie błędną polityką Netanjahu prędzej czy później. To może trwać miesiąc, może kilka, ale moim zdaniem nie ma żadnej perspektywy na to, by ten rząd Netanjahu, a szczególnie on sam, przetrwał politycznie tę tragedię i katastrofę, jaką przeżywa Izrael od soboty. Bez względu na to, czy protesty się wznowią, czy nie, czy się utworzy jakiś tymczasowy rząd jedności narodowej, dni koalicji, na której czele stoi Netanjahu, i dni jego samego jako premiera są policzone – i to jest dziś opinia nie-

NASZA EUROPA



N A S Z A E U R O P A

no przekroczyć próg i wejść do Knesetu. Uważam, że jeżeli wybory będą w najbliższym czasie, to umiarkowane partie centrum będą mogły utworzyć rząd.

Ale sam Likud w końcu nie był nigdy partią skrajną. Był tradycyjną partią konserwatywną, ale ani mesjanistyczną, ani antydemokratyczną, na pewno nie był oparty na modelu wodzowskim jak dzisiaj Likud z Netanjahu. Nie pomoże premierowi, że jego synowie nie służą w armii, jeden siedzi sobie w Ameryce, podczas kiedy wnuki i dzieci tak wielu giną teraz na granicy. Netanjahu kończy swoją karierę jako polityk, ale cenę tego smutnego końca płacimy wszyscy.

O, jak pan słyszy, u nas znowu włączyły syreny w Tel Awiwie.

Musimy przerwać, musi pan się udać do schronu?

– Nie, mamy w mieszkaniu takie specjalne pokoje, które są uszczelnione i ze specjalnego betonu. Zresztą, na 15. piętrze jest w miarę bezpiecznie.

Możemy więc kontynuować?
– Jeżeli tylko nie przeszkadza ją syreny. I te wybuchy teraz...

To Żelazna Kopuła działa?
– Tak, system antyrakietowy, wybuchy pocisków na ziemi to inny dźwięk niż ten teraz.

Podziwiam pana stoickie podejście.
– Gdybyśmy mieli wpadać za każdym razem w panikę, nie moglibyśmy w tym kraju funkcjonować.

Atak Hamasu ma geopolityczne tło. Amerykańska prasa, powołując się na źródła w wywiadzie, już napisała, że to Iran nakazał Hamasowi ten atak. Celem ma być przede wszystkim storpedowanie układu Netanjahu z Saudami, na którym zależy Amerykanom i który docelowo radykalnie by wzmocnił pozycję Rijadu w regionie, m.in. przez zgodę na rozwój saudyjskiego programu nuklearnego. Pana zdaniem to jest jedyny powód tego ataku?

– Wszystkie izraelskie instytucje, które zajmują się tym, co dzieje się w świecie arabskim, nie za bardzo rozumieją, jaka logika była w tym rzeczywiście niezwykle brutalnym ataku i co Hamas chciał przez to osiągnąć oraz jaki ma plan na dalszy ciąg. Wszystko wskazuje na to, że Iran machał w tym palce, żeby storpedować możliwość normalizacji między Izraelem a Arabią Saudyjską i w ogóle umowę o pomocy wojskowej między Arabią Saudyjską i Stanami Zjednoczonymi. Iran zaprzecza, ale pan wspomina o „Wall Street Journal”, który za ludźmi z Mosadu, który jednak przed czymś bezskutecznie ostrzegał, twierdzi, że prawdopodobnie przygotowania trwały nawet od pół roku, ale termin ataku został wybrany w Teheranie, a nie w Gazie. I z tym się zgadzam. Także pewne osoby i technologie przyszły bezpośrednio z Teheranu.

Co jeszcze może zrobić Iran poza dalszym wspieraniem Hezbollahu w Libanie i Hamasu w Strefie Gazy?

– Iran od lat posługuje się cudzymi rękami. W Syrii nie było ich żołnierzy ani jednostek specjalnych, to byli zmobilizowani członkowie z różnych organizacji w regionie, którym zapłacono, żeby walczyli. To jest na rękę Iranowi: prowadzi taką proxy wojnę z Izraelem, jak długo się da, nekając nas, ale nie ogłosi niczego wprost, by nie dawać ostatecznego powodu do ataku. A to zależy w dużej mierze od Ameryki, od Europy. Izrael się nie spieszycy przeciw z tym, żeby bombardować Teheran – ale jeżeli nie będzie wyjścia, to w końcu trzeba będzie zabrać się do głowy szatana.

Myśli pan, że atak sił izraelskich na Iran albo jakieś punktowe ataki większe niż w przeszłości wchodzą w grę nawet bez zgody Stanów Zjednoczonych?

– Nie, moim zdaniem bez Stanów Izrael niczego nie zrobi. Nawet bez zgody Europy. Izrael nie ruszy sam na wojnę z Iranem, jeżeli nie będzie bezpośredniego zagrożenia atomowego.

Jak długo Izrael może liczyć na to bezwarunkowe wsparcie Zachodu, zwłaszcza amerykańskie?

– Na amerykańskie – bardzo długo, nawet ze strony lewego skrzydła Partii Demokratycznej. Amerykańska opinia publiczna jest naprawdę wstrząśnięta. To nie jest tym razem na pokaz, oglądam relacje CNN, tam komentatorzy płaczą, dosłownie. Wczoraj i przedwczoraj stali i płakali przed kamerami. Rzecznik Białego Domu także. Wtorkowa deklaracja Joeo Bidena była najbardziej syjonistycznym i proizraelskim wystąpieniem w historii USA. To jest głęboki szok, bo widok tych zaatakowanych miast tak bardzo kojarzy się z obrazami z czasów II wojny światowej, z czasów Zagłady – to są takie obrazy, które będą trwały długo w świadomości społeczeństwa. Poparcie więc, także znacznej części Europy, będzie. Ale od poparcia do mądrego prowadzenia wojny jest jeszcze daleko.

Jaki wpływ na opinię publiczną w samym Izraelu będzie miała ta wojna, nie tylko w sensie politycznym, ale przede wszystkim psychologicznym?

– To są najtrudniejsze dni od bardzo dawna, ludzie nie wiedzą, gdzie są ich dzieci, gdzie są wnuki, siostra czy brat, czy są porwani, czy zamordowani, czy może jeszcze gdzieś się ukrywają. Teraz, przed godziną, odkryto trzydziestu, którzy się ukrywali w jakichś zaroślach w okolicy granicy z Gazą. Jest gniew, przygnębienie, to będzie wielka trauma, na razie tłumiona, żeby dało się zmobilizować do wspólnej walki, ale to będzie olbrzymi cios w psychikę zbiorową Izraela i w psychikę osobistą każdego Izraelczyka. ●

Rozmowa powstała w ramach podcastu „8:10”

„THE NEW YORK TIMES”

Dlaczego izraelskie służby zawiodły

Są uważane za jedne z najlepszych na świecie, ale błędy operacyjne i wywiadowcze doprowadziły do fatalnego załamania izraelskiej obrony.

Ronen Bergman, Patrick Kingsley

Na krótko przed tym, jak wczesnym rankiem w sobotę napastnicy ze Strefy Gazy przeniknęli do Izraela, izraelski wywiad wykrył wzrost aktywności kilku sieci bojowników w Strefie. Dwaj wysokiej rangi izraelscy urzędnicy ds. bezpieczeństwa twierdzą, że wywiad zrozumiał, iż dzieje się coś niezwykłego, i wysłał ostrzeżenie do żołnierzy strzegących granicy z Gazą.

Ostrzeżenie nie zostało jednak podjęte: albo nie dotarło do żołnierzy, albo go nie odczytali.

Wkrótce potem Hamas wysłał drony, które wyłączyły część stacji łączności komórkowej izraelskiej armii oraz wież obserwacyjnych wzdłuż granicy, uniemożliwiając oficerom dyżurnym zdalne monitorowanie obszaru za pomocą kamer. Drony zniszczyły również zdalnie sterowane karabiny maszynowe, które Izrael zainstalował na swoich fortyfikacjach granicznych. W ten sposób najważniejsze narzędzie walki z atakiem naziemnym zostało unieszkodliwione.

To wszystko pozwoliło napastnikom podejść do ogrodzenia granicznego i wysadzenie go w kilku miejscach z zaskakującą łatwością, umożliwiając setkom zbrojnych Palestyńczyków przejście przez wyrwy.

Te operacyjne zaniedbania i porażki są tylko częścią całego szeregu logistycznych i wywiadowczych zaniedbań służb, które umożliwiły Hamasowi atak na południowy Izrael.

Brawurowe przeniknięcie do ponad 20 izraelskich miast i baz wojskowych podczas sobotniego rajdu wstrząsnęło poczuciem bezpieczeństwa narodu. Nic porównywalnego nie wydarzyło się od pół wieku. Przez wiele godzin najsilniejsza armia na Bliskim Wschodzie pozostawała bezsilna w starciu ze znacznie słabszym wrogiem. Przez większą część dnia oddziały napastników mogły robić, co chcą w pozostawionych bez obrony wioskach. Zabili ponad tysiąc Izraelczyków, w tym żołnierzy zaskoczonych w łóżkach w ich koszarach. Uprawdzili co najmniej 150 osób, opanowali co najmniej cztery obozy wojskowe i rozprzestrzenili się na 80 km kwadratowych terytorium Izraela.

Czterech wysokich rangą izraelskich urzędników, którzy wypowiadali się pod warunkiem zachowania anonimowości, stwierdziło, że sukces ataku wynikł z wielu błędów popełnionych przez wywiad i wojsko. Wśród nich są:

- zaniechanie przez wywiad monitorowania kluczowych kanałów komunikacji wykorzystywanych przez palestyńskich napastników;
- nadmierne poleganie na urzędzeniach do nadzoru granic, które napastnicy z łatwością zdołali wyłączyć;
- skupienie dowódców w jednej bazie przygranicznej, która zosta-

ła opanowana w początkowej fazie ataku – to uniemożliwiło komunikację z resztą sił zbrojnych;

- wreszcie ufnosć w zapewnienia dowódców wojskowych z Gazy, wygłaszanych na prywatnych kanałach (Palestyńczycy wiedzieli, że są one monitorowane przez Izrael), że nie szykują się do starcia.

– Wydajemy miliardy na inwigilację Hamasu – powiedział Yoel Guzansky, były członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego. – A potem, w ciągu sekund, wszystko się sypie jak kostki domina.

O pierwszej porażce można już mówić kilka miesięcy przed atakiem, kiedy to dowodzący izraelskim bezpieczeństwem przyjęli błędne założenia co do zakresu zagrożenia, jakie stanowi Hamas.

Hamas nie wziął udziału w dwóch starciach w ubiegłym roku, pozwalając Palestyńskiemu Islamskiemu Dżihadowi, mniejszej grupie zbrojnej z Gazy, aby samodzielnie walczył z Izraelczykami. W zeszłym miesiącu przywódca Hamasu zakończył również okres zamieszek wzdłuż granicy – w porozumieniu pośredniczył Katar – co zostało odebrane jako brak zamiaru eskalacji.

– Hamas jest bardzo ostrożny i rozumie konsekwencje kolejnych prowokacji – powiedział Cachi Hanegbi, izraelski doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, w wywiadzie radiowym sześć dni przed atakiem.

Kiedy funkcjonariusze wywiadu informowali w zeszłym tygodniu wyższych rangą o najpilniejszych zagrożeniach dla kraju, skupili się na niebezpieczeństwach stwarzanych przez libański Hezbollah wzdłuż północnej granicy. O zagrożeniu ze strony Hamasu wspomniano tylko mimochodem. Funkcjonariusze mieli raportować, że Hamas jest „zniechęcony”.

Wywiad podsłuchał rozmowy telefoniczne działaczy Hamasu, z których wynikało, że na razie przynajmniej starają się uniknąć kolejnej wojny z Izraelem, pomni na fatalny dla nich efekt dwutygodniowych walk w maju 2021 r. Dwaj oficerowie, z którymi rozmawialiśmy, informują, że wywiad bada teraz, czy te rozmowy były prawdziwe, czy zostały zainscenizowane.

Kolejny błąd Izraela miał charakter operacyjny. Dwóch urzędników stwierdziło, że system nadzoru granic był prawie całkowicie zależny od kamer, czujników i karabinów maszynowych, które są obsługiwane zdalnie. Z czasem izraelscy dowódcy nabrali przekonania o stuprocentowej szczelności tego systemu. Uznali, że połączenie zdalnego nadzoru i uzbrojenia, barier naziemnych i podziemnego muru blokującego Hamasowi kopanie tuneli do Izraela czyni mało prawdopodobną masową infiltrację, a więc nie ma potrzeby, aby wzdłuż linii granicznej stacjonowała istotna liczba żołnierzy.

Tak więc po wprowadzeniu systemu wojsko zaczęło zmniejszać liczbę żołnierzy, przenosząc oddziały m.in. na Zachodni Brzeg. Mówi o tym Israel Ziv, emerytowany ge-

nerał dywizji, który przez wiele lat dowodził siłami lądowymi na południu, a po sobotniej katastrofie został ponownie zwerbowany do rezerwy. – Zmniejszenie sił wydawało się rozsądne ze względu na budowę ogrodzenia i przekonanie, że jest ono nie do przejścia – powiedział.

Ale system zdalnego sterowania miał lukę: można go było zdalnie zniszczyć. Hamas wykorzystał tę słabość, wysyłając drony do ataku na wieże z nadajnikami, które przesyłały sygnały do i z systemu nadzoru. Potwierdzają to nagrania z dronów rozpoznawcze przez Hamas w sobotę.

Bez sygnału komórkowego system był bezużyteczny. Żołnierze stacjonujący za linią frontu nie otrzymywali alarmów o naruszeniu ogrodzenia oddzielającego Strefę Gazy i nie mogli zobaczyć nagrania, jak napastnicy z Hamasu rozwalają buldożerami barykady. Co więcej, bariera okazała się łatwiejsza do sforsowania, niż sądzili Izraelczycy. Pozwoliło to ponad 1,5 tys. bojowników z Gazy sforsować prawie 30 punktów wzdłuż granicy – niektórzy z nich użyli lotni, które przeleciały nad barykadami – i dotrzeć bez problemu do co najmniej czterech izraelskich baz wojskowych.

Zdjęcia nam udostępnione pokazują, że wielu izraelskich żołnierzy zostało zastrzelonych, gdy spalili w swoich akademikach.

Drugą porażką operacyjną było zgromadzenie dowódców dywizji armii w Strefie Gazy w jednym miejscu przy granicy. Według dwóch naszych rozmówców po zajęciu bazy większość wyższych rangą oficerów została zabita, ranna lub wzięta na zakładników.

Wszystko to, w połączeniu z problemami komunikacyjnymi spowodowanymi atakami dronów, uniemożliwiło skoordynowaną reakcję. W tej sytuacji nikt na granicy nie miał szans pojąć skali ataku. Nie zdawali sobie z niej sprawy również dowódcy, którzy ruszyli z innych miejsc w Izraelu z kontratakami. – Uchwycenie pełnego obrazu ataków było bardzo trudne – powiedział gen. bryg. Dan Goldfuss, dowódca, który pomógł poprowadzić kontratak. W pewnym momencie generał przypadkowo spotkał dowódcę innej brygady. Dopiero wtedy, na gorąco, obaj oficerowie ustalili, kto będzie szedł w sukurs którymś wioskom.

Wszystko to oznaczało, że także dowództwo w Tel Awiwie nie miało pełnego obrazu sytuacji, zwłaszcza na wczesnych etapach. Nikt więc nie skonstatował, że potrzebna jest natychmiastowa masowa osłona z powietrza. Nie zmieniły tego nawet pierwsze doniesienia o atakach w mediach społecznościowych. Według dwóch izraelskich urzędników i osób, które przeżyły ataki, izraelskim samolotom przybycie na miejsce zajęło wiele godzin, mimo że ich bazy znajdują się zaledwie o kilka minut lotu.

Skutki były katastrofalne: dla napadniętych Izraelczyków, ale także dla reputacji Izraela w regionie jako wiarygodnego partnera wojskowego. ●

Tłum. Bartosz Hlebowicz

Takich rzeczy nie robi się ojczyźnie

Oni dekretyją, że cisza wyborcza ma trwać nie tylko od piątku do niedzieli, ale zawsze.

Marcin Matczak



Ludzie żyjący w państwach rządzonych przez autorytarnych populistów mają często wrażenie, że ktoś ukradł im ich własny kraj. Budzą się codziennie z poczuciem strachu – co dzisiaj wymyślą? Z której strony zaatakują mnie i ważne dla mnie rzeczy?

Obywatele tych państw walczą nie tylko z cenzurą, ale też z autocenzurą – z myśleniem, że może nie warto czegoś napisać czy powiedzieć, bo znowu się przyczepią, znowu pozwą. W takich państwach ludziom przepływa przez palce czas, w którym mogliby zrobić wiele innych, cenniejszych rzeczy, a muszą walczyć o to, żeby ktoś im oddał ich własny kraj.

W takim uprowadzanym na oczach obywateli kraju jak w Wenezueli najpierw się wydaje, że chodzi tylko o łamanie zasad. Ludzi oburza to, jak bezczelnie są depetane, sprzeciwiają się więc, jak umieją, ale w pewnym momencie staje się jasne, że chodzi o więcej niż zmianę reguł – chodzi o zmianę ich pięknego kraju w niewolnicę posłuszną grupie nieudolnych nienawistników, którzy wykorzystają ją na każdy możliwy sposób dla swojej przyjemności.

Bo łamanie zasad, wydrążanie instytucji z ich funkcji, wsadzanie na stołki miernych, biernych, ale wiernych to dla autorytarnych populistów dopiero preludium, by własny kraj z poziomu, na którym się go podziwiał, sprowadzić do poziomu moralnych karłów. Tak było kiedyś z Niemcami, tak jest obecnie z Węgrami. Degradacja własnego kraju jest rozbojem. Takich rzeczy ojczyźnie nie robią ludzie, którym na niej zależy.

Są na świecie populiści, którzy kłamliwie twierdzą, że ukradziono im wybory, bo nie mogą pogodzić się z przegraną. Najczęściej jest odwrotnie: to oni kradną wybory. Biorą o wiele więcej, niż im obywatele pozwalają wziąć – bo władzę dają się pod warunkiem wykonywania jej zgodnie z zasadami, na przykład konstytucją. A populistą rozpycha się w konstytucji aż do momentu, w którym jej ograniczenia pękają. Dostał palec, bierze całą rękę. To, co robi, to szczególnie perfidna kradzież – to okradzenie kogoś, kto okazał mu zaufanie.

Po pewnym czasie do ludzi dociera, jak zniszczony moralnie jest ich własny kraj. Osoby, które były ostoją spokoju, nagle zaczynają się zachowywać w sposób nieprzewidywalny, agresja pojawia się w szkołach, sklepach, w sądach i szpitalach. Zaraza moralna zaczęła się rozprzestrzeniać.

sąd konstytucyjny zbrojnym ramieniem partii, infekują go lizusostwem i chamstwem. W efekcie zamienia się on w atrapę, zawsze przytakującą dyktatorowi.

Są wrogami państwa, bo zamiast usprawniać instytucje, wykorzystują je jako ciepłe posadki dla swoich znajomych, w efekcie niczego nie naprawiają, ale bardziej psują. Państwo staje się dla nich jak ciało dla pasożyta – jest czymś, z czego trzeba wyssać cenne substancje i co można pozostawić na zmarnowanie.

Autorytarni populiści są wrogami ludu, bo przeciw własnym obywatelom rozpętują kampanię nienawiści, wykorzystują do tego publiczne media. Oni zawsze są na wojnie, czy to z sąsiadami, czy domowej, więc potrzebują maszyny propagandy, która ogłosi, kto jest aktualnie zły, a kto dobry, kogo trzeba wielbić, kogo nienawidzić.

To, co robi autorytarny populistą, przejmując państwo, to szczególnie perfidna kradzież – to okradzenie kogoś, kto okazał mu zaufanie

Rozprzestrzenia się też kłamstwo – bo trzeba ukryć przed ludźmi, że nie umie się rządzić. Jak u Orwella ignorancja staje się siłą, wolność – niewola, a pokój zostaje utożsamiony z wojną wszystkich ze wszystkimi. Bo autorytarny populistą to narcyz, który kłamstwem musi na kogoś zrzucić winę za to, że jest nieudacznikiem.

Populiści nazywają swoich krytyków „wrogami ludu”. Aby walczyć z populistami, a na to sposobu szuka cały świat, trzeba zacząć od odkłamywania i ten epitet rzucić im w twarz: to oni są wrogami ludu.

Są, bo dają sobie prawo do decydowania, co jest zgodne z konstytucyjną umową społeczną, a co nie. Właśnie po to, jak na przykład w Rosji, autorytarni populiści czynią

Windują więc do medialnej sławy osobników małych i zawistnych, kupują za publiczne pieniądze ludzi pozbawionych kręgosłupa, a ci za odpowiednią ilość srebrników powiedzą publicznie, co trzeba.

Zamiast budować dobre relacje z innymi państwami, populiści je niszczą. Powodują, że ich kraj, jak Białoruś, zapada się w sobie jak nałogowy alkoholik w łóżko i ciągle mamrocze o tym, jaki jest wielki i groźny, choć nie potrafiłby się utrzymać na nogach.

Autorytarni populiści doprowadzają do zeszczenia wartości, którym rzekomo służą: lewicowi ostatecznie zaprzeczają równości i sprawiedliwości, prawicowi poniewierają religijność i patriotyzm – bo tak

zawsze dzieje się z wartościami, które ktoś bezczelnie wykorzystuje do realizacji politycznych celów.

Populiści odbierają ludziom ich własny kraj, bo napuszczając jednych na drugich, zamieniają normalne miejsce do życia w piekło. Nad tym miejscem jako godło wieszają portret naczelnika, kłamstwo czynią nowym językiem urzędowym i dekretyją, że cisza wyborcza ma trwać nie tylko od piątku do niedzieli, ale zawsze. Bo po pewnym czasie w państwach autorytarnych populistów wybory przestają być potrzebne.

Gdyby chciał napisać międzynarodową konwencję o zwalczaniu autorytarnego populizmu, trzeba by ją zacząć od preambuły. Napisać w niej, że na całym świecie autorytarni populiści powodują, że człowiek we własnym kraju czuje się jak obcy. Że zmusza się go do tragicznego wyboru: albo się z lotrostwem populisty zgadzasz, albo to nie jest miejsce dla ciebie.

Ta preambuła powinna uderzać w emocje. Powinna ludziom, którzy czują się okradzeni z własnej ojczyzny, mówić:

„Masz prawo tu być. Masz prawo tu żyć bez strachu, że jesteś podsłuchiwany, choć niczego złego nie zrobiłeś. Masz prawo mieć u władzy ludzi, których jedyną kompetencją nie jest posłuszeństwo wobec tych wyżej i agresja wobec tych niżej. Ty masz prawo tu żyć i tu umrzeć, ale oni nie mają prawa ci mówić, żebyś wyjeżdżał. Bo to jest twoje miejsce i władza ma obowiązek uczynić je takim, byś czuł się tu jak u siebie w domu. A jeśli autorytarna władza, która powinna ludziom służyć, mówi ci, że to z tobą coś jest nie tak, wiedz, że jest dokładnie odwrotnie. Bo autorytarni populiści zawsze kłamią – zwłaszcza wtedy, kiedy mówią ci, że jesteś wrogiem ludu. To oni nim są”. •



„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka.



„**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**” – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

REKLAMA

34280374

NIEDZIELA, GODZ. 21

Wieczór wyborczy

Na żywo na wyborcza.pl

Dorota Wysocka-Schnepf

Roman Imielski

Ifi Ude

Problemy społeczno-polityczne, z którymi pilnie trzeba się uporać: ograniczone możliwości pracy kobiet (w związku z opieką nad dziećmi), zmiany w prawie alimentacyjnym i wsparcie dla samotnych rodziców, edukacja seksualna w szkołach, zniesienie lekcji religii w szkołach, zielona polityka gospodarcza, prawa zwierząt, uznanie związków partnerskich.

Arek Jakubik (Dr Misio)

Rozdział Kościoła od państwa. Koniec finansowaniem tej instytucji. Koniec sojuszu ołtarza z tronem. Pamiętajmy jednak, że ten sojusz nie tylko zawarła aktualna władza, lecz także był na ręce wszystkim politycznym partiom, które były przy władzy po 1989 roku. Konkordat ma równo 30 lat. Marzy mi się Polska jako świeckie, tolerancyjne, obywatelskie państwo szanujące wszystkich Polaków niezależnie od światopoglądu, wiary, rasy i orientacji seksualnej. Niech każdy ma prawo do swojej Polski, bo tych Polsk może być nieskończona liczba.

Grzegorz Turnau

Śpiewać każdy może, ale nie każdy powinien, głosować każdy może i powinien, ale nie każdemu się chce. Naprawy wymaga świadomość odpowiedzialności za dobro wspólne, jakim jest wolny kraj.



fantazje

o zupełnie innej Polsce

Edukacja i prawa kobiet, niezależne sądy, a może badania psychologiczne dla polityków? Artyści mówią, jak naprawić kraj.

Jarek Szubrycht

Przed każdymi wyborami powraca dyskusja, czy artyści powinni angażować się w życie polityczne narodu. Opinie są skrajne – jedni chcieliby, by muzycy wiedli lud na barykady, jednoznacznie opowiadając się za jedną ze stron wojny polsko-polskiej, inni odmawiają im prawa do posiadania jakichkolwiek poglądów, nie mówiąc już o publicznym głoszeniu przekonań. Odmawiają im też kompetencji, bo co ta śpiewaczka i tamten grąjek mogą wiedzieć o prawdziwym życiu, czemu mieliby zabierać głos w poważnych sprawach, skoro ich zadaniem jest do-

starczanie rozrywki? A przecież artyści są, jak inni, obywatelami tego państwa, mierzą się z tymi samymi wyzwaniami co reszta społeczeństwa i nierzadko mają wiedzę, społeczną wrażliwość oraz aktywistyczny zapał, których mogliby im pozazdrościć zawodowi politycy.

Trzy tygodnie przed wyborami do 42 artystek i artystów wysłałem jedno pytanie. Zaczepiłem przedstawicieli trzech pokoleń i bardzo różnych nurtów muzycznych. Pamiętałem o parytecie, więc zagailem tylko samo kobiet co mężczyzn. Wszyscy mieli tyle samo czasu na odpowiedź, nikomu się nie przypominałem, nie namawiałem. Być może część moich maili nie dotarła do adresatów, inni pewnie byli zbyt zajęci, by odpowiedzieć, jeszcze inni mogli nie chcieć, więc zignorowali moją wiadomość. Odpowiedzi udzieliły 23 osoby.

Pytanie brzmiało:
Gdybyś kandydował(a)
do parlamentu, jaki byłby
pierwszy, najważniejszy
punkt twojego programu
wyborczego i dlaczego?

Lech Janerka

Przywrócić niezależność od jakiegokolwiek władzy sądownictwu (sic), telewizji państwowej i szeroko pojętemu dziennikarstwu (sic), a potem się zobaczy, co z konstytucją. Władzę duchową (na początek) powierzyć duchowi Herberta. A potem się zobaczy.



Daga Gregorowicz (Dagadana)

Polska może się poszczycić znakomitymi naukowcami, ekspertami, których zatrudniają międzynarodowe konsorcja. Państwo powinno znaleźć wystarczający (konkurencyjny) budżet, by korzystać z wiedzy najlepszych doradców i to właśnie im powierzać rolę zarządców w odpowiednich sektorach. Dostrzegam palącą potrzebę stosownych inwestycji w szkolnictwo (nauczyciele masowo rezygnują ze swego zawodu ze względu na skandalicznie niskie zarobki). Jako muzyk zwracam również uwagę na znikome wsparcie w nauczaniu, promowaniu i dokumentowaniu muzyki tradycyjnej, której mistrzowie odchodzą od nas i nigdy nie wrócą. Patrząc choćby na kraje Skandynawii, inwestowanie w podtrzymywanie tradycji jest jedną z najważniejszych dróg, by nie zatracić swojej tożsamości. Jednym z najważniejszych elementów rozwoju kraju jest postawienie na edukację. Szarą masą zarządzać łatwo, ale prowadzi to do powolnej destrukcji.



Krzysztof Grabowski (Dezert)



Moim punktem numer jeden byłoby wprowadzenie obowiązkowych badań psychologicznych i psychiatrycznych dla parlamentarzystów, aby wykluczyć osoby niepoczytalne, o zaburzonych cechach osobowościowych. Mam świadomość, że kłamców i cwaniaków to nie wylapie, ale byłby to pierwszy krok, by reprezentowali nas ludzie w miarę stabilni. Testów IQ bym nie wprowadzał, ponieważ zbyt wielu złych ludzi ma wysokie IQ i taki test niewiele by dał. Podsumowując, chciałbym, aby narodu nie reprezentowali w parlamencie szaleńcy i psychopaci, a mam wrażenie, że to się zdarza zbyt często.

Martyna Jakubowicz



Edukacja, świadomy wybór – uczenie obywateli, w jaki sposób są dokonywane mani-

pulacje, którymi posługują się politycy, by mącić w głowach wyborców. Świadomość i wiedza pozwolą rozróżniać, co jest prawdą, a co kłamstwem. A to z kolei spowoduje odpowiedzialny wybór przy urnach wyborczych. Za wiedzą i świadomością pójdą wymagania oraz to, jak można używać nacisku w granicach obowiązującego prawa, aby osiągnąć cel, kiedy polityk nie wywiązuje się z danych obietnic. Często ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jak dużą mają siłę. Dlatego, jak widzisz, nie mogę zajmować się polityką, bo z takim założeniem wyszłoby na to, że zakładam sobie sznur na szyję. Ja politykom nie wierzę z zasady.

Misia Furtak



W czołówce mojego programu na pewno znalazłyby się tematy apolitycznej edukacji i praw kobiet. W szkole nie ma miejsca na indoktrynację, bzdurzenie o sumieniach uczniów i uczennic czy komentowanie ich wyglądu. O jednej ze skandalicznych wypowiedzi pewnego ministra napisałam piosenkę „Na to co mówisz zważ”, tak że ten postulat został przeze mnie wyartykułowany już dwa lata temu.

Sugerowałabym też skreślenie oceny z religii ze świadectw i umieszczenie podręcznika do HiT na najbardziej ujemnym piętrze archiwum Biblioteki Narodowej. Oczywiście należałoby go od czasu do czasu wydobywać, ale tylko po to, żeby pokazywać studentom pedagogiki, jak nie pisać podręczników i jak nie uczyć. Mó-

wiąc o prawach kobiet, mam na myśli nie tylko legalną aborcję, antykoncepcję awaryjną bez recepty i likwidację klauzuli sumienia, ale też redefinicję art. 197 Kodeksu karnego i przeciwdziałanie ubóstwu menstruacyjnemu. W kontekście wyrównywania szans postulowałabym też umożliwienie wchodzenia w związki małżeńskie parom jedнопłciowym.

Mela Koteluk



W pierwszym kroku zwiększyłabym poziom finansowania edukacji publicznej – to jako podstawa podstaw. Tak samo ze służbą zdrowia, z oddziałami psychiatrii dziecięcej i młodzieżowej jako priorytetem. U podstaw moich działań leżałyby empatia i takie jakości jak poszanowanie różnorodności, nieklasyfikowanie ludzi poprzez pochodzenie, płeć, status społeczny, wyznanie, rasę czy orientację psychoseksualną. W działaniach na rzecz wszystkich stworzeń zawarłabym przebudowę systemu żywności na zrównoważony, czyli m.in. konieczne byłoby odejście od przemysłowych hodowli zwierząt. Chciałabym osiągnąć bardziej ambitne tempo dążenia do neutralności klimatycznej. Podjęcie działań na rzecz ochrony środowiska naturalnego należy traktować jako bezzwłoczne i niezbędne dla zapewnienia bezpieczeństwa ogólnego i nie jest to wymysł.

PS Gdybym prowadziła taką kampanię, jej ścieżką dźwiękową byłby album „Voices” Maxa Richtera, zainspirowany Powszechną Deklaracją Praw Człowieka!

Natalia Kwiatkowska (Cheap Tobacco)



Potrzeba nam umiejętności rozmawiania w szacunku. Słuchania w szacunku. Niezależnie od tego, kto przejmuje stółki, mam wrażenie, że wszystkim tej umiejętności brakuje. Wprowadziłabym więc obowiązkowe zajęcia z dialogu na wszystkich szczeblach edukacji. Jestem pewna, że możemy pięknie różnić się od siebie i równocześnie potrafić ze sobą rozmawiać.

Napisałam piosenkę, która miała na celu pokazanie, a nawet wytknięcie ludziom mieszkającym w Polsce te nasze „małe wojenki”. Jako naród potrafimy klócić się o wszystko. O najmniejsze drobniaczki potrafimy rozpętać wojnę. W domu, pracy, z sąsiadem, rodziną. Z obcymi ludźmi na ulicy, w sklepach, na marszach. Każda ze stron obwinia drugą i oskarża o język nienawiści, równocześnie go stosując. Nie umiemy rozmawiać spokojnie, nie umiemy w dialogu. Za dużo jest „zaciśniętych pięści, a za mało pokojowo podawanych dłoni”. Zresztą nie chodzi tylko o nas, Polaków, cały świat tonie w nienawiści, zamiast starać się rozumieć i szanować. Cały świat płonie. Dopóki nie zmienimy tego w sobie, nic się nie zmieni i historia będzie zataczać kręgi, bo duże konflikty mają swoje źródło w tych mniejszych. Eskalują i rosną, aż wybuchną. Łączy nas to, że wszyscy chcą być kochani i zrozumiani. Może wystarczy, żebyśmy potrafili słuchać siebie nawzajem z szacunkiem?



Kasia Lins

Fantazje trochę dzikie, ale dawniej ciekawym rozwiązaniem było niezależne sądownictwo, które zapewniało równowagę między władzą wykonawczą, ustawodawczą i sądowniczą. Można by ponownie sprawdzić, czy instytucja taka jak choćby Trybunał Konstytucyjny radzi sobie jako nieupolityczniony gwarant praworządności, czy jednak warto pozostać przy roli legalizatora kolejnych wyszukanych propozycji rządu.

Tomasz Organek

Najpilniejszą sprawą jest odpolitycznienie sądów. Natychmiast po wygranych wyborach powinna powstać komisja weryfikacyjna. Należy odsunąć od orzekania wadliwie wybranych sędziów oraz tych, którzy dopuścili się łamania konstytucji i prawa. Następnie powinno nastąpić ponowne rozłączenie urzędów ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego.

Cezary „CeZik” Nowak

Spoglądam na aktualną sytuację w kraju przez pryzmat moich dzieci. Zgodnie z przysłowiem „Czym skorupka za młodu...” jestem zdania, że należy skupić się przede wszystkim na przyszłych pokoleniach. Inwestowanie w system edukacji i wyrównywanie szans na rozwój powinno być priorytetem.

Artur Maćkowiak (you.Guru, Innercity Ensemble)



Wiele kwestii wymaga interwencji i naprawy, z edukacją i służbą zdrowia na czele. Nie wiem jednak, jak rozwiązywać tego typu problemy, bo nie mam wystarczających kompetencji w tych dziedzinach, w przeciwieństwie do zdecydowanej większości naszego społeczeństwa.

Najlepiej znam się na sprawach związanych z kulturą. Ta sfera jest w bardzo poważnym kryzysie i wymaga wielu napraw. Zdaję sobie sprawę z konsekwencji niedawnej pandemii, wojny w Ukrainie i galopującej inflacji. Ale to, co robi z szeroko pojętą kulturą obóz obecnej władzy, i to właściwie od początku przejęcia sterów, to bezwzględne dorzynanie jej tam, gdzie tylko jest to możliwe. Konsekwencje tych działań są widoczne na każdym kroku. Mnie najbardziej przeraża fakt, że kultura wydaje się coraz mniej istotnym elementem życia w tym kraju. Przeważającą większość społeczeństwa przestaje zajmować cokolwiek, co wykracza poza ramy przaśnej rozrywki. Myślę, że z politycznego punktu widzenia stawianie na kulturę wiąże się jednoznacznie z porażką i trudno mi sobie wyobrazić polityka, który tę kwestię uważa za jeden ze swoich priorytetów. Natomiast według mnie jest to obszar wymagający należytego potraktowania i właściwego miejsca w hierarchii potrzeb społecznych.

Katarzyna „Novika” Nowicka



Jako matka licealistki w pierwszej kolejności zajęłabym się opłakany stanem naszej edukacji. Działanie potrzebne jest na każdej płaszczyźnie, od samego programu (przestarzałego i nierzetelnego), znikomej motywacji do zaangażowania, przez złe opłacanych nauczycieli, po palącą potrzebę otwartego i specjalistycznego podejścia do bardzo niepokojącej sfery psychicznej uczniów. Brak zrozumienia, komunikacji na linii uczniowie – nauczyciele, zaburzenia psychiczne i uzależnienia w coraz młodszym wieku.

Andrzej Sikorowski



Uważam, że erozja wszystkich dziedzin naszego życia wymaga pozytywistycznej pracy od

podstaw, zatem najważniejsza dla mnie jest gruntowna, by nie powiedzieć: rewolucyjna, reforma oświaty. Dobrze nauczeni młodzi Polacy zadbać w oczywisty sposób o swobody obywatelskie, świecki charakter państwa i nasz udział w budowaniu normalnego świata.

Jorgos Skolias



Gdybym, na moje nieszczęście, kandydował do parlamentu, mój pierwszy postulat brzmiałby: wolność dla świata kultury. Nieograniczanie świadomości, wrażliwości, wyobraźni artysty. Kultura, a w niej sztuka, jest budulcem i spoiwem narodu.

Alicja Sobstyl (Artificialice, Klawo)



Jeśli chodzi o społeczne problemy, najbliższą jest mi do tematu ochrony praw kobiet. Jako młoda kobieta nie czuję się bezpieczna w swoim państwie. Boli mnie brak do-

stępu do antykoncepcji awaryjnej (tabletki „dzień po” jest dostępna wyłącznie za okazaniem recepty, a prośbienie o nią jest owiane dziwnym tabu, które powoduje zawstydzenie) oraz brak odpowiedzialnej edukacji seksualnej w szkołach państwowych. Sama jestem ofiarą nadużyć ze strony mężczyzn (często po prostu nieświadomych przekraczanych granic), niestety, mam też mnóstwo koleżanek, które również są ofiarami przemocy seksualnej. Wywołuje to we mnie ogromny sprzeciw i silną chęć zmiany systemowej. Mogłabym rozwodzić się jeszcze nad wieloma tematami, które wymagają według mnie zmiany (takimi jak np. wprowadzenie systemu ubezpieczeń dla artystów, którzy w większości pracują projektowo, bez umowy o pracę), ale emocjonalnie najbliższe jest mi do moich siostr. Nie chcemy mieć dzieci przez wzgląd na sytuację polityczną, ograniczamy rozwój swojej seksualności ze strachu, a w odpowiedzi na walkę o swoje ciała słyszymy, że jesteśmy nieodpowiedzialne i głupie, a to ostatnie co mogłabym powiedzieć o otaczających mnie niesamowicie silnych i mądrych kobietach.

Grzegorz Kwiatkowski (Trupa Trupa)



Wprowadzenie do szkół podstawowych, techników, liceów i uczelni wyższych obowiązkowych corocznych zajęć z nieprzemocowej komunikacji oraz wprowadzenie do tych jednostek obowiązku odbywania wolontariatu



DZIADKU, PRZESTAŃ MARUDZIĆ

Miłość, zdrowie, rodzina, przyjaźń. Zetki się nie buntują, nie chcą być zaskakiwane. To pokolenie świętego spokoju

Z **ZUZANNĄ SZYBISTY**, WSPÓŁAUTORKĄ RAPORTU „DEBIUTANCI '23”, ROZMAWIA **KATARZYNA WĘŻYK**

KATARZYNA WĘŻYK: W tym roku możliwość oddania głosu po raz pierwszy uzyskają trzy zetkowe roczniki, dokładnie 1 422 275 osób. Jacy są?

ZUZANNA SZYBISTY: To nie jest spójna grupa. Różnice pojawiają się przede wszystkim pomiędzy kobietami i mężczyznami, i to nie tylko wtedy, kiedy pytamy, na kogo zamierzają głosować, ale też o wartości.

U mężczyzn dosyć wysoko są bogactwo czy honor, dla kobiet prawie nie mają znaczenia. Dziewczyny są zdecydowanie bardziej progresywne. Miejsce zamieszkania nie jest już aż tak istotne – nie ma dużych różnic między aglomeracjami a wsią, co nas zaskoczyło. I ci mieszkający w wsi, i ci z miast czerpią wiedzę o świecie z tych samych źródeł.

Jakich?

– Znajomi, trochę rodzina, potem media społecznościowe. U mężczyzn ważniejszy jest YouTube, u kobiet Instagram, wszyscy korzystają z TikToka. Telewizja jako źródło informacji nie istnieje – przed telewizorem ostatni raz siedzieli, kiedy byli małymi dziećmi i oglądali kreskówki. Gazet nie czytają w ogóle. Co oczywiście ma wpływ na to, jak postrzegają rzeczywistość.

Czy można o nich powiedzieć, że są prawicowi albo lewicowi, czy te kategorie w ogóle do nich nie pasują?

– Trudno im jednoznacznie przypisać się do takich kategorii. Zapytani o postulaty partii idealnej na pierwszym miejscu wymieniali niskie podatki. Tyle że dalej chcą poprawy usług publicznych.

Ale to się nie spina. Czymś za te usługi publiczne trzeba zapłacić.

– Młodzi nie mówią, że wszyscy mają płacić niższe podatki, tylko że oni mają płacić niższe podatki.

Aha.

– To wynika z ich sytuacji ekonomicznej. Są u progu dorosłości i obawiają się, co będzie dalej. Mają poczucie, że żyją w permanentnym kryzysie, i absolutnie nie wierzą, że w najbliższej przyszłości będą mogli być finansowo samodzielnymi. Nie marzą nawet, że będzie ich stać na zakup mieszkania – martwią się, czy zdołają na studiach coś wynająć.

Oczywiście jeśli chodzi o standard życia, żyjemy w najlepszych czasach. Większość finansowo ma dużo lepiej niż rodzice czy dziadkowie. I młodzi też sobie zdają z tego sprawę. Ale nie mają już poczucia, że będzie lepiej. Jedyne, na co mogą mieć nadzieję, to że będzie równie dobrze jak teraz. I właśnie z tej niewiary w postęp wynikają bardziej libertariańskie poglądy młodych na gospodarkę. Oni chcą mieć pieniądze tu i teraz. Na dobrą sprawę starsze pokolenie w Polsce myśli podobnie – jak ktoś zarabia nieco

więcej i ma możliwość przejścia na podatek liniowy, by płacić niższe podatki, to raczej się na to decyduje.

Przy tym młodzi obyczajowo są bardzo progresywni. Nawet osoby deklarujące głosowanie na opcje skrajnie konserwatywne czy tradycjonalistyczne są za liberalizacją aborcji, małżeństwami jedнопłciowymi i za adopcją dzieci przez pary nieheteronormatywne. To im się nie wyklucza.

Nie przeszkadza im intronizowanie Chrystusa na króla Polski czy postulaty całkowitego zakazu przerywania ciąży?

– Do nich w ogóle nie docierają takie komunikaty.

A niskie podatki jakoś docierają.

– Bo numerem jeden na ich liście obaw są koszty życia, a numer dwa to osobista sytuacja finansowa. Popularność poglądów libertariańskich bierze się z obaw o bezpieczeństwo ekonomiczne. Oni się potężnie boją, że sobie nie poradzą finansowo. A są w takim wieku, że już się o tym myśli, że chce się odciąć od rodziców i usamodzielić.

Trzeba dodać, że większość ma bardzo dobre relacje z rodzicami, co niekoniecznie można powiedzieć o starszych pokoleniach. Ale to nie zmienia faktu, że nie chcą całe życie z nimi mieszkać. Tyle że żeby to zrobić, musieliby zrezygnować z przywilejów typu wypady kulturalne czy jedzenie na mieście.

Temat bezpieczeństwa ekonomicznego jest dla nich superważny.

Ale co w tym nowego? Kiedy wchodziłam na rynek pracy, bezrobocie było dwucyfrowe, a do wyboru była śmieciówka albo emigracja.

– Kilka rzeczy się na siebie nałożyło. Młodzi wchodzi w dorosłość w czasach wysokiej inflacji. I nawet osoby, które się zupełnie nie interesują polityką, idą do sklepu i widzą, że płacą więcej za napój czy jogurt. Wzrost cen to rzecz bardzo namacalna.

Druga sprawa to ich stosunek do pracy – inny niż w pokoleniu 30- i 40-latków. Faktycznie, kiedy my wchodziiliśmy na rynek pracy, sytuacja była trudna: kryzys finansowy 2008 roku, umowy śmieciowe, warunki dyktował pracodawca. I to pokolenie się dostosowało. Dzisiejsi młodzi nie chcą się tak zarządzać. Kilkanaście bezpłatnych staży w wakacje i praca po 16 godzin dziennie to dla nich abstrakcja.

Marcin Matczak tego nie lubi.

– Pewnie nie. Ale rówieśnicy jego syna wiedzą, że świat może być inny. Pytaliśmy ich, co myślą o krótszym tygodniu pracy – są zdecydowanymi zwolennikami. To nie znaczy, że nie chcą w ogóle pracować: chcą, ale na swoich zasadach. Nie zamierzają pracować tak jak ich rodzice, bo widzą, że kultura zapieprzu wcale nie jest gwarancją spektakularnego sukcesu finansowego. Bogactwo jest w zasięgu garstki, dużo osób ciężko pracuje i nadal żyje od pierwszego do pierwszego.

Jakie wydarzenia ukształtowały te roczniki?

– Wydarzeniem formującym była dla nich pandemia. Wybuchła, gdy zaczynali szkołę średnią, a to jest taki okres, że poznajesz nowych ludzi, spędzasz z nimi czas, to jest twoja grupa odniesienia. A oni zostali tego pozbawieni. Spędzili dwa lata zamknięci w domu. Dlatego teraz dobre relacje są dla nich

Młodzi nie wierzą w abstrakcyjne hasła i są zniechęceni wielkimi projektami. Ale gdyby im ktoś zaproponował, żeby coś zielonego posadzili na pobliskim skwerku albo zorganizowali ścieżkę rowerową na uczelnię, znalazłby więcej poparcia. Zwłaszcza jeśli zachęciłby ich do tego znajomi, bo oni bardzo chcą robić rzeczy razem

REKLAMA

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

FOT. SHUTTERSTOCK

POD WPLYWEM UCZUĆ robię się smutny

Jak generacja Z wchodzi w relacje intymne?

Kasper Kalinowski

Pokolenie Z często zaskakuje i swoich rodziców, i pracodawców, bo pod wieloma względami ma zupełnie inne wartości i oczekiwania. Jedną z bardziej uderzających różnic między generacjami jest sfera seksualności – w krajach zachodnich liczba młodych ludzi, którzy nie podejmują aktywności seksualnej, rośnie z dekady na dekadę. Tylko w Stanach Zjednoczonych odsetek nieaktywnych seksualnie mężczyzn w wieku od 18 do 24 lat wzrósł z blisko 19 proc. w latach 2000-02 do niemal 31 proc. w latach 2016-18. Natomiast odsetek młodych kobiet, które nie podjęły aktywności seksualnej, wzrósł z ok. 15 proc. do ponad 19 proc.

Seksualna recesja

Skala zjawiska jest na tyle znacząca, że niektórzy eksperci posługują się terminem „seksualnej recesji”. Mimo że podobne spadki w aktywności seksualnej obserwujemy wśród przedstawicieli starszych grup wiekowych, spadek jest najbardziej wyraźny pośród nastolatków i młodych dorosłych.

Zetki to pierwsze pokolenie, które nigdy nie poznało świata bez internetu, ceni sobie różnorodność i odnajdowanie własnej unikalnej tożsamości – stwierdziła Roberta Katz, badaczka z Uniwersytetu Stanforda. Te trzy czynniki sprawiają, że poprzednie generacje mogą mieć trudność ze zrozumieniem ich potrzeb i priorytetów.

Trudno tu o proste wyjaśnienia i chwytliwe uproszczenia. Dla niektórych obserwatorów spadek aktywności seksualnej jest pozytywnym trendem – prowadzi przecież do zmniejszenia liczby chorób przenoszonych drogą płciową czy nieplanowanych ciąż. Pozostali postrzegają go jednak jako w przeważającej mierze szkodliwy trend, za którym kryje się zmniejszenie liczby potencjalnie satysfakcjonujących intymnych relacji i fizycznej przyjemności.

Niezależnie od oceny zjawiska ważne jest zrozumienie przyczyn, a takich badań brakuje.

– Współczesny świat oferuje tyle rozmaitych rozpraszaczy i bodźców, że seks schodzi na dalszy plan. Nie bez przyczyny niemały odsetek dzieci został poczęty w czasie stanu wojennego, kiedy jedyną rozrywką były przemówienia gen. Jaruzelskiego. Współcześnie nie ma miejsca na nudę, odbierana ona jest wręcz jako stan zagrażający, który trzeba natychmiast zniwelować. Osobiście określam zetki jako „sieroty po Netflixie” – kultura wdrukowała im pewne ściśle określone wzorce. To zbiór oczekiwań, jaki obserwujemy na co dzień – mówi dr n. med. Robert Kowalczyk, seksuolog kliniczny i psychoterapeuta z Uniwersytetu SWPS.

Często to wzorce niemożliwe do zrealizowania w realnym świecie. Kowalczyk dodaje: – W mojej praktyce psychoterapeutycznej często pojawia się wątek pracy z frustracją. Ta niemożliwość realizacji potrzeb czy celów staje się dla wielu osób paraliżująca. Często obraz idealnego partnera lub partnerki jest zbudowany z cech wewnętrznie sprzecznych. Pojawia się myślenie w kategoriach, że znajdę kogoś jednocześnie porywczego i spokojnego, np. introwertyka i ekstrawertyka w jednej osobie. Wszelkie odstępstwa od tego wyobrażenia mają świadczyc o niedopasowaniu i stają się powodem rozstań. Przecież za rogiem na pewno jest lepszy „nowszy model”.

Deromantyzacja relacji

Zetki wydają się bardziej praktyczne niż starsze pokolenia – do relacji podchodzą z większym dystansem. Akceptują, że nie wszystkie związki będą trwałe, a większość z nich odrzuca ograniczenia wynikające z relacji romantycznych. Dla niektórych zetek poddawanie się uczuciom w czasie randkowania lub seksu jest czymś, czego należy się wystrzeżać.

Za oceanem do lepszego zrozumienia generacji Z przyczyniło się stworzenie iGen Corpus, cyfrowego repozytorium języka mówionego i pisanego osób w wieku od 16 do 25 lat. Baza zawiera 70 mln pozycji, w tym transkrypcje wywiadów przeprowadzonych przez badaczy, a także ogólnodostępne dane z Twittera, Reddita, Twitcha, 4chana i YouTube’a, memy i copypasty z Facebooka i Instagrama. W iGen Corpus widać wyraźnie lęki zetek.

Przykładowe wpisy na Twitterze zetek: „Szybko ogarniają mnie uczucia. To takie niebezpieczne” [@Sydney_godfrey]; „Kiedy zaczynam być pod wpływem uczuć, robię się smutny” [@llamandalil]; „Pieprzył się, dopadły go uczucia i został zraniony” [@Yo_Girl_Chiina].

Skąd wynika dystans do związków i brak romantycznych uniesień?

– Z jednej strony może być to spowodowane wychowaniem – Zetki często wychowywane były przez reprezentantów

**Mimo troski
o własny dobrostan
psychologiczny
i potrzeby zetki
wydają się najbardziej
samotnym pokoleniem
w historii**

pokolenia X, a to w tym pokoleniu zaczęła się era rozwodów. To więc częściej są osoby wychowywane przez rozwodników, które wiedzą, jak wygląda życie po rozwodzie i jakie są jego konsekwencje. Wiemy jednak, że zetki – też polskie – są ogólnie bardziej sceptyczne i pragmatyczne, jeśli chodzi o religię, miłość, pracę i politykę – przekonanie, że „nie wszystkie relacje będą trwałe”, może być więc też przejawem dojrzałego traktowania rzeczywistości skupionego na dbaniu o własne dobro i bezpieczeństwo emocjonalne – wyjaśnia Krzysztof Domeradzki, konsultant z agencji badawczej Kantar Polska.

Jak dodaje Domeradzki: – Z raportu „Pokolenia” (2023) oraz wcześniejszych projektów wiemy, że najbardziej istotne dla zetek są dbałość o atmosferę w pracy, partnerski kontakt z przełożonymi i współpracownikami oraz wolność i spontaniczność. To pokolenie skupione na sobie, ale nie w rozumieniu egoizmu, z jakim przywykliśmy patrzeć

na młodsze pokolenia. To troska o zdrowe relacje nieingerujące nazbyt w ich prywatną przestrzeń i pozwalające na rozwój.

To właśnie dbałość o zdrowie psychiczne i bezpieczeństwo sprawiają, że osoby te chętniej nawiązują relacje romantyczne z ludźmi, których znają i rozumieją, zamiast szukać spontanicznych miłosnych przygód. To pokolenie deromantyzuje zarówno pracę, jak i związki, starając się szukać autentycznych i długotrwałych relacji oraz wzajemnego zrozumienia i szacunku.

Wątpliwości nie ma też Katarzyna Mańkowska, doktorantka w Interdyscyplinarnej Szkole Doktorskiej Nauk Społecznych na UMK w Toruniu. Jej zdaniem zetki zmieniają społeczne postrzeganie relacji z całowyciowej, opartej na funkcji rodzinnej, na partnerską opartą na samorealizacji i wzajemnym wsparciu. – Już sama ta perspektywa sprawia, że patrzą na relacje międzyludzkie jak na element, który może się w czasie naszego życia zmieniać.

Być może jest to oznaką dojrzałości i większej samowiedzy, która pokrywa się z obserwacjami antropologów. Trudno określić gatunek *Homo sapiens* jako w pełni monogamiczny. (Jeśli chcemy szukać partnera długoterminowego, to niski odsetek zdrań cechuje żydowskich kapłanów, Szwajcarów czy Islandczyków. Unikajmy natomiast mieszkańców Meksyku, Brazylii czy Francji).

– Myślenie o związkach w kategorii „nie na całe życie” jest powszechniejsze. Możemy się starać i próbować, ale nie za wszelką cenę – jak to było we wcześniejszych pokoleniach, w których rozwód był albo moralnie niemożliwy, albo uważany za życiową porażkę. Wpłynęło na to wiele czynników: od emancypacji kobiet, laicyzacji czy wzrostu poziomu samoświadomości. Relacje diadyczne wcześniej były koniecznością, warunkiem przeżycia, dziś są częścią wyboru – dodaje dr Robert Kowalczyk.

One-night stand

W ostatnich dziesięcioleciach okazjonalny seks stał się normą wśród osób wchodzących w dorosłość. W pierwszym dużym badaniu tego typu przeprowadzonym ponad dwie deka-

dy temu przez zespół ekspertów kierowanych przez Elizabeth Paul, psychologę z College of New Jersey, wykazano, że aż 78 proc. studentów na dużym kampusie uniwersyteckim angażowało się w przelotne kontakty seksualne.

Zetki również w tym przypadku różnią się od poprzednich pokoleń. W jednym z nielicznych badań analizujących przyczyny – „Dlaczego mniej młodych dorosłych uprawia przygodny seks?” – Scott South i Lei Lei pochyliли się nad nastawieniem zetek do przelotnych kontaktów seksualnych.

Spośród wielu czynników uwzględnionych w analizie spadek spożycia alkoholu był jedynym, który wyjaśniał spadek angażowania się młodych kobiet w przygodny seks. W przypadku mężczyzn, oprócz picia alkoholu, przypadkowe kontakty seksualne skutecznie zmniejszały wzrost popularności gier komputerowych oraz rosnący odsetek osób, które mieszkają z rodzicami.

Mniejsze spożycie alkoholu wśród młodych osób odnotowano również w wielu krajach europejskich, Ameryce Północnej i Australii. Na przykład w Szwecji spożycie alkoholu wśród 15-, 16-latków w latach 2000-12 spadło o ponad połowę. Jednocześnie wskaźniki abstynencji wśród obu płci wzrosły z około 30 proc. do ponad 50 proc.

W tym badaniu czas spędzany na oglądaniu telewizji i surfowaniu po internecie oraz niepewna sytuacja finansowa nie były powiązane z kontaktami seksualnymi.

Być może spadek liczby przypadkowych kontaktów seksualnych jest zbieżny z ogólnym spadkiem częstotliwości kontaktów seksualnych wśród młodych dorosłych. – Niższy wskaźnik one-night standów może być związany z niższym wskaźnikiem zawierania relacji seksualnych w ogóle. Jeśli młode osoby rzadziej podejmują aktywności seksualne i są bardziej skłonne do zawierania głębokich relacji z bliskimi przyjaciółmi, to częstość jednorazowych spotkań na seks wydaje się automatycznie maleć – wskazuje Katarzyna Mańkowska.

Niewykluczono też, że dużą rolę odgrywałą trudne do zmierzenia przemiany kulturowe – w erze po #MeToo dużo mniej zachowań jest akceptowalnych, a żarty powszechne jeszcze 20 lat temu ściągną na nas problemy.

Poprzedni sposób załatów i wchodzenia w relacje się skończył, a nowy nie został jeszcze wypracowany.

Dr Robert Kowalczyk: – Kwestie przekroczeń, łamania granic i nadużywania są czymś, o czym dziś otwarcie się mówi. Ta świeżo zdobyta uważność w pierwszym okresie wprowadza sztywność, ale w dłuższej perspektywie kształtuje poczucie bezpieczeństwa. Czasem obrywamy rykoszetem – nie weźmiemy już cudzego dziecka na kolana, zastanowimy się dwa razy, zanim powiemy komplement. W relacjach damsko-męskich mamy nowe rozdanie. To w moich pacjentach wywołuje często poczucie niezrozumienia nowych reguł.

Na większą wrażliwość i świadomość własnych praw oraz przemiany kulturowe zwraca również uwagę Krzysztof Dome radzki: – Z naszych ostatnich badań nad problemami mężczyzn „Kryzys męskości 2022” oraz raportu „Męskość” 2023 wiemy, że jesteśmy świadkami pogłębiających się różnic w podejściu do polityki i wartości wśród młodych kobiet i mężczyzn. Mężczyźni z tego pokolenia chętniej utożsamiają się z partiami skrajnie prawicowymi, natomiast kobiety chętniej deklarują swoją przynależność do poglądów lewicowych (według sondaży przeprowadzonych dla OKO.press). Wiemy jednak też, że to pokolenie niezwykle świadome globalnych nierówności kobiet i mężczyzn.

Zetki zostały wychowane w czasach wielu afer z obszarów biznesu, religii oraz polityki, gdzie mobbing, seksualizacja kobiet pokazywały najgorsze oblicze mężczyzn. Z drugiej strony rosnąca popularność ruchu mężczyzn, która stara się być swego rodzaju społeczną kontrą do feminizmu, radykalizuje tylko poglądy wielu mężczyzn i buduje przekonanie o koniecz-

ności powrotu do bardziej tradycyjnego podziału ról i obowiązków. Innymi słowy, dzisiejsze „randkowanie” od młodych wymaga znacznie więcej uwagi i strategii niż kiedyś – istnieje bowiem większe ryzyko, że trafimy na kogoś „spoza naszej bańki” i z poglądami przeciwnymi do naszych, co uniemożliwia zazwyczaj kontynuowanie jakichkolwiek romantycznych relacji.

Płynna tożsamość i „post-gay era”

Wspomniana Roberta Katz zauważa: – Nasze wywiady przeprowadzone z przedstawicielami pokolenia Z pokazują, że dyskusja na temat konstruktów płci się poszerzyła, aby zakwestionować binarność mężczyzny i kobiety oraz wskazać na możliwość, że seksualność jest bardziej płynna.

Jej zespół przeprowadził 120 wywiadów na trzech kampusach uniwersyteckich na reprezentatywnej próbie ponad 2 tys. osób w wieku od 18 do 25 lat.

Według wpływowej badaczki płynność wynika częściowo z powszechnej pokoleniowej przemiany w kwestii atrybutów, które mają największe znaczenie. Płeć, seksualność, rasa i pochodzenie etniczne są szczególnie istotne dla pokolenia Z. Jednak najważniejsze jest to, jak różne fragmenty tożsamości są udoskonalane i łączone przez każdą jednostkę w procesie odkrywania, konstruowania i komunikowania własnej unikalnej tożsamości. Podobnie jest na polskim gruncie.

– Z moich badań oraz znanych mi danych wynika, że liczebność grupy LGBTQ+ się powiększa, m.in. za sprawą rosnącej liczby osób identyfikujących się z niebinarnością lub nieheteroseksualnością. Może spadać liczba osób, które stosują twarde kategorie (jak gej, lesbijka). Część badań wskazuje na istnienie zjawiska nazywanego „post-gay era”, które charakteryzuje osoby z pokolenia Z jako takie, które dystansują się od szczegółowych kategorii na rzecz bardziej plastycznych i parasolowych terminów (jak wspomniana niebinarność, nieheteronormatywność, queer) – wskazuje Katarzyna Mańkowska.

Uważa, że rosnąca liczba deklaracji może również wynikać z lepszego zrozumienia terminologii związanej z tożsamościami płciowymi i seksualnymi. Według sondażu przeprowadzonego przez Instytut Gallupa nawet jedna na sześć dorosłych osób z pokolenia Z identyfikuje się jako LGBT.

Phillip Hammack, profesor psychologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Cruz, uznał wyniki uzyskane w sondażu Gallupa za „niezwykłe ekscytujące”. Jego zdaniem kluczowym powodem tego wzrostu jest internet. W latach 90. nie było YouTube’a, Instagrama ani łatwego sposobu na zbadanie seksualności lub płci poza biblioteką. Współczesne nastolatki mają wszystkie informacje na wyciągnięcie ręki.

Naukowcy odkryli, że 66 proc. ankietowanych ujawniło własną tożsamość matkom lub innym kobietom, a 49 proc. ojcom lub innym mężczyznom. Dla porównania w latach 90. ok. 40 proc. dorastających chłopców ujawniło ją matkom, a mniej niż 30 proc. – ojcom.

– To wyraźny wpływ ruchów emancypacyjnych. Kiedyś istniał jednorodny schemat, którego nie kwestionowano, za złamanie reguł groziły dotkliwe sankcje od moralnych po karne. Osoby, które wykraczały poza schemat, łądowały na marginesie. Dziś wysoce nie na miejscu są żarty z nieheteroseksualnej tożsamości, płci itp. Współcześnie poddaje się krytyce np. model męskości homogenicznej. Obecnie męskość, płęć o wiele częściej traktuje się jako spektrum, a nie jednowymiarowy twór – komentuje dr Robert Kowalczyk.

Małżeństwo

„Jedną z najbardziej znaczących zmian w społeczeństwie amerykańskim w ciągu ostatnich dwóch dekad był dramatyczny wzrost liczby separacji i rozwodów. Między 1962 i 1981 r. liczba rozwodów w Stanach Zjednoczonych potroiła się” – ubolewało na początku lat 80. troje amerykańskich psychologów.

Współcześnie za oceanem rozpada się niemal co drugie małżeństwo. Podobnie jest w przypadku wielu krajów zachodnich, gdzie wskaźnik rozwodów wynosi od 40 proc. do 50 proc.

Przyszłość przewidzieć jeszcze trudniej. Zetki dorastały w szybko zmieniających się modelach rodziny, a ich sceptycyzm wobec instytucji doprowadził do zmiany postaw w stosunku do małżeństwa i związków. Niewątpliwie nowe technologie i internet znacząco ukształtowały sposoby i wzorce randkowania oraz sposoby postrzegania roman-sów.

Zgodnie z nowym raportem Future of Dating stworzonym pod auspicjami Tindera skupienie się pokolenia Z na zdrowiu psychicznym i wyznaczaniu granic sprawi, że będziemy mieli do czynienia z renesansem instytucji małżeństwa. Eksperci pozostają jednak sceptyczni.

Młodzi dorośli mogą odkładać długoterminowe związki z powodu coraz bardziej niepewnego statusu ekonomicznego lub stresu związanego z ukończeniem edukacji czy poszukiwaniem pracy.

– Instytucja małżeństwa przede wszystkim miała zaspokajać interesy społeczne, prokreacyjne, poczucie bezpieczeństwa, a w dalszej kolejności głód uczuć. Współcześnie to bardziej rodzinna firma pod szyldem małżeństwo. W tak rozumianym modelu tkwi niebezpieczeństwo; można pozostawać w związku formalnym, ale jednocześnie odczuwać dojmujące poczucie samotności. W swojej praktyce psycho-terapeutycznej słyszę zdania typu: bardziej czuję, że obsługuję dom, niż jestem jego częścią, i to zarówno od kobiet, jak i mężczyzn. Pojawia się tęsknota za głęboką relacją, więzią. Wejście w relację małżeńską daje taką obietnicę – jednak bez ustawicznego dbania o bliskość w dłuższej mierze nie jest w stanie nam tego zagwarantować – uważa dr Robert Kowalczyk.

Mówiąc o zetskach, mamy na myśli wyłącznie bogate społeczeństwa zachodnie. Dla porównania w Indiach zetki obejmują niemal jedną trzecią populacji – 375 mln ludzi. Kolejną skrajnością jest wyludniająca się Japonia, gdzie pokolenie Z stanowi zaledwie 14 proc. populacji.

To częsty grzech psychologii – koncentrowanie się na osobach z grupy, którą psy-cholodzy określają przewrotnie jako WE-



Po #MeToo
poprzedni
sposób załatów
i wchodzenia w relacje się
skończył,
a nowy nie został jeszcze
wypracowany

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, spadają kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na **Wyborcza.pl/Jutronauci**

IRD (z ang. dziwna). Akronim ten pochodzi od pierwszych słów opisujących ludzi, od których wywodzi się dominująca w psychologii (ale mało reprezentatywna dla całej ludzkości) grupa badanych: zachodni (western), wykształcony (educated), uprzemysłowiony (industrialized), zamożny (rich) oraz demokratyczny (democratic). Tak określił ją w 2010 r. we wpływowym i często cytowanym artykule Joseph Heinrich z Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej.

Smutek zetek

Mimo troski o własny dobrostan psychologiczny i potrzeby zetki wydają się najbardziej samotnym pokoleniem w historii. O negatywnych skutkach sytuacji nie trzeba nikogo przekonywać. – Poczucie przynależności do społeczności w pewnym sensie jest naprawdę ważne w utrzymaniu zdrowia fizycznego – mówił Robin Dunbar. I podkreślał, że najlepszym wskaźnikiem zdrowia psychicznego jest po prostu liczba i jakość bliskich przyjaciół.

Także Krzysztof Dome radzki zgadza się, że młodzi cierpią z powodu „pandemii samotności”. – Ta „pandemia” jest jednak domeną naszych czasów, nie pokolenia Z – z badań nastrojów społecznych Kantar Polska oraz wielu badań globalnych wiemy, że wszyscy czujemy się coraz bardziej samotni i wyizolowani od społeczeństwa czy grup rówieśniczych. To zjawisko zintensyfikowane przez rozwój internetu, pandemię oraz ostatnie wydarzenia polityczne, ekonomiczne. Wiele krajów obecnie boryka się z ogromnymi wyzwaniem z zakresu samotności (szczególnie Japonia, gdzie powstała nawet nazwa dla zjawiska skrajnego wycofania się ze społeczeństwa– „hikikomori” to osoby potrafiące przez lata nie opuszczać własnego pokoju czy mieszkania). Czy nam się to podoba, czy nie, wszyscy jesteśmy bardziej samotni niż kiedyś, a młode pokolenia są tego najjaskrawszym przykładem – wskazuje.

Z punktu widzenia gospodarki kapitalistycznej życie w pojedynkę może być bardziej wykowne – dodaje dr Robert Kowalczyk.

Współcześnie w kulturze zachodniej na skutek dyktatu poppsychologii smutek i żalobę utożsamiamy z czymś jednoznacznie negatywnym. Czymś, co można, a nawet należy zwalczyć za pomocą odpowiednich technik.

Z psychologicznego punktu widzenia jest to nieprawdą. Presja, aby czuć się dobrze, może sprawić, że pocujemy przygnębienie, a zaakceptowanie negatywnego nastroju może sprawić, że na dłuższą metę pocujemy się lepiej.

Paradoksalnie (krótkotrwale) obniżenie nastroju czy smutek wiążą się z wieloma korzystnymi efektami.

Jak celnie podkreśla niezastąpiony w takich sytuacjach Tomasz Stawiszyński w książce „Ucieczka od beznadziei”, żyjemy w czasach, w których „(...) wszelkie dyskomforty – lęk przed niewiadomą przyszłością, żal po stracie bliskich, przerażenie faktem, że sami kiedyś będziemy musieli umrzeć, melancholia, która nas ogarnia bez powodu, depresja, która przychodzi z nienacką pośrodku codziennych aktywności – należy niwelować za pomocą dostępnych na rynku technik terapeutycznych: od jogi, przez coaching, mindfulness, rozmaite formy terapii, aż po prozac albo inne, nowocześniejsze leki z grupy SSRI”.

Podobnego zdania jest dr Robert Kowalczyk: Szczęście, samowiedza i poczucie bezpieczeństwa to hasła na sztandarach współczesności. Mamy być szczęśliwi i spełnieni za wszelką cenę. Skupiamy się, aby zawsze było nam komfortowo. Z każdej strony jesteśmy otoczeni poduszkami bezpieczeństwa i monitorujemy otoczenie pod kątem potencjalnych zagrożeń. Tak wiele zabezpieczeń generuje również lęk. Nieustannie musimy obsługiwać maszynę zabezpieczeń. Przyjmuje to wręcz absurdalne wymiary. Zdarzenia losowe nie mają prawa zaistnieć. Na wszystkie ewentualności mamy procedury. Negatywne incydenty urastają do rangi kataklizmu. ●



• Edward Dwurnik, „Darmowa zupa”. Obraz pochodzi z kończącej się w tę niedzielę wystawy „Polski mężczyzna 1910-2010” w Dawnym Pałacu Biskupów Krakowskich w Kielcach

Nowy raport o męskości

MY CHCEMY ZMIENIAĆ PIELUCHY

Jedyny żywiciel rodziny, brutal, który z emocji odczuwa jedynie głód, a z kosmetyków sięga po wodę

Kasper Kalinowski

Przykro mi, ale taki obraz męskości jest obecnie nie do utrzymania – nie sposób nawet mówić o jednym modelu męskości. Również w Polsce.

...

W 1990 r. dwójka psychologów John Williams i Deborah L. Best w zakrojonych na dużą skalę i szeroko cytowanych badaniach zapytała mieszkańców 30 krajów świata o stereotypowo męskie cechy. Badani byli zadziwiająco zgodni – mężczyźni są agresywni, aroganccy, głośni, odważni, opanowani, pewni siebie i spragnieni przygód (dla odmiany kobiety są uczuciowe, uległe, bardziej zainteresowane ludźmi i... przesadne).

Po ponad trzech dekadach ten stereotyp nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością, oczekiwaniami i potrzebami współczesnych kobiet oraz samych mężczyzn i zmieniającego się dynamicznie świata – choćby eksplozją aplikacji randkowych i mediów społecznościowych.

To nie oznacza oczywiście, że takie myślenie o mężczyznach zupełnie zanikło ani że zupełnie znikli tacy mężczyźni. Obecnie mamy po prostu możliwość wyboru.

Dr Joanna Roszak, psycholożka społeczna z Katedry Psychologii Społecznej Uniwersytetu SWPS, zauważa, że przeciętna osoba zapytana o cechy kobiet i mężczyzn nadal będzie w stanie zarysować dość tradycyjne oczekiwania i ideały: czuła, delikatna, cicha, troskliwa kobieta oraz silny, głośny, przebojowy mężczyzna. Jednak coraz bardziej widoczne są odstępstwa od tych tradycyjnych wizji. A to samonapędzający się mechanizm: im więcej widzimy tego

typu przykładów, im bardziej możemy na obserwować, że dana osoba jest spełniona, szczęśliwa, niekoniecznie żyjąc według stereotypu, tym więcej z nas odważy się wyjść poza utrwalone koleiny.

IRCenter, Kantar Polska i Adres Media wspólnie przyjrzały się bardzo dokładnie polskiemu mężczyźnie i opracowały unikalny raport na temat świata mężczyzn „Looking at the Man – Mężczyźni o mężczyznach”.

To na czym polega dzisiejsza męskość?

...

Według twórców raportu lepiej mówić o różnych męskościach. Które wcale nie są w kryzysie. To kolejny stereotyp, tylko świeższej daty. Jeśli coś jest w kryzysie, to mit o tradycyjnej męskości.

Współcześni mężczyźni troszczą się nie tylko o partnerki i chcą uczestniczyć w wychowywaniu dzieci, lecz także poświęca-

ją uwagę własnym emocjom i dbają o siebie samych. Nie zgadzają się również na życie, w którym musieliby poświęcić całkowicie osobiste, rodzinne czy samorozwojowe przyjemne doświadczenia dla kariery lub z powodu konieczności „zarabiania na dom”. Do tego pogląd, że aby cieszyć się życiem, wcale nie potrzeba dużo pieniędzy, szybkich samochodów i osiągnięcia coraz więcej, wręcz dominuje.

Jeszcze w 1998 roku 52,5 proc. Polaków deklarowało, że nie lubi pokazywać swoich prawdziwych uczuć. W 2022 taką deklarację składa jedynie 39,8 proc. z nas. Mało tego: 88 proc. mężczyzn w najnowszym raporcie określiło siebie jako „wrażliwych”.

Dr Joanna Roszak: Coraz częściej się mówi, że mężczyznom należą się emocje, przez co rozumiemy, że mogą je nie tylko odczuwać – co zawsze robili, gdyż to naturalne dla ludzi niezależnie od płci – ale też okazywać to nie tylko w domowym za-

ciszu. Że mogą płakać, przyznawać się do słabości, być czułymi dla bliskich. I coraz więcej osób nie wyśmiewa takich pomysłów. Choć nadal jest dużo hejtu, co tylko pokazuje, jak niepewnie w swoim rozumieniu oraz odczuwaniu własnej „męskości” czy „kobiecości” mogą czuć się niektóre osoby, że muszą krytykować wszystko, co nie jest przez nie oswojone i znane.

Ale świat stał się zbyt złożony, aby jeden stary model bycia mężczyzną dało się zastąpić jednym nowym. Powszechny do niedawna w progresywnej narracji sposób definiowania nowej męskości jako przyswojenia przez mężczyzn niektórych cech „kobiecych” również się nie sprawdza. W rzeczywistości nie do końca potwierdzają się też feministyczno-publicystyczne chwytliwe uproszczenia w rodzaju upadku patriarchatu (który jest również szkodliwy dla samych mężczyzn).

Wiele zależy choćby od tego, jakie pokolenie mężczyzn analizujemy – a wyniki tej analizy również zaprzeczają stereotypom. Ze stwierdzeniem „To, jak spędzam mój czas, jest ważniejsze niż pieniądze, które zarabiam” zgodziły się 52 proc. przedstawicieli pokolenia X (mężczyźni urodzeni w drugiej połowie XX wieku), czyli młodzi, piękni, zdolni, dla których wyznacznikiem statusu i spełnienia w stereotypowym przekonaniu miało być kolejne, coraz mocniejsze porsche. I zaledwie 38 proc. przedstawicieli pokolenia Z – urodzonych między 1995 a 2012 rokiem, którzy mieli ponoć chętniej wybierać być niż mieć.

Jedyny pewnik to ten, że mężczyzna przestaje być głównym dostarczycielem zasobów w rodzinie. – Jesteśmy na etapie poszukiwania wzorca i punktu odniesienia, bo mamy świat rozproszonych wzorców kulturowych i jest ich wiele. Mamy do czynienia z rozproszoną męskością. Przyczyna jest prosta. Mężczyźni manifestują „męskość” na wiele sposobów, bo mogą – podkreśla na łamach raportu Michał Boni. Który sam jako opozycjonista w PRL, minister pracy w rządach wdrażających rynkowe reformy po 1989 roku, współzałożyciel PO, finansista, minister cyfryzacji w gabinecie Tuska, a dziś analityk społeczny i członek Strajku Kobiet może być tego ilustracją.

Słowo „mogą” jest kluczowe. Wcześniejsze normy uniemożliwiające wyjście poza obowiązujący model przestały obowiązywać. Poprzedni system, który może-

Jeszcze w 1998 roku
52,5 proc. Polaków
deklarowało,
że nie lubi pokazywać
swoich prawdziwych uczuć.
W 2022 – jedynie 39,8 proc.,
a 88 proc. mężczyzn
określiło siebie
jako „wrażliwych”

my określić realnym patriachatem, skutecznie uniemożliwiał wyjście poza ściśle określony schemat i podział ról płciowych. Wszelkie próby wiązały się z sankcjami.

– Nawet jeśli kiedyś mężczyźni mieli wewnętrzne tendencje psychologiczne do wyrażania różnych aspektów męskości, to społeczne ramy były zbyt ograniczające. Wykraczanie poza tradycyjny model często prowadziło do ostracyzmu i problemów społecznych – wskazuje w rozmowie dr Michał Misiak, psycholog międzykulturowy z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Obecne przemiany nie są niczym nowym. Modele męskości w dziejach zmieniały się wielokrotnie. Współcześnie zmiany po prostu przyspieszyły.

Prof. Bernard Capp, historyk z University of Warwick, podkreśla, że Biblia jest pełna płaczących mężczyzn, a wśród greckich bohaterów, takich jak Achilles, łyż są wręcz obficie przelewane. Nawet w średniowiecznej Europie elity nie czuły się zobowiązane do ukrywania swoich emocji. Jeszcze za panowania Henryka VIII widzimy jego głównego ministra kardynała Wolseya wielokrotnie płaczącego publicznie i bez zażenowania (choć – kłania się stereotyp – po utracie władzy). Dopiero u schyłku XVI i w XVII wieku pod wpływem myśli stoików i innych autorów klasycznych mężczyźni z klas wyższych musieli już panować nad emocjami. Zwłaszcza w miejscach publicznych.

Ale i tak w przypadku postrzegania płci i jej społecznej roli każda dekada to w zasadzie rewolucja. W Europie sprzed rewolucji francuskiej nie tylko arystokratki, ale też przedstawicielki rosnącej w siłę burżuazji prowadziły salony intelektualne oraz

rozległe interesy (i swobodne, co nikogo specjalnie nie obruszało, życie erotyczne). Ale gdy pod koniec XIX wieku hrabinę Arconati-Visconti poproszono, aby z debat w jej salonie wykluczyła kobiety dla „podniesienia ich powagi”, uczyniła to bez wahania. A Francuzki musiały czekać do roku 1965 (ustawa o prawach małżeńskich) i 1970 (ustawa o władzy rodzicielskiej), by uwolnić się spod formalnego (z praktyką bywało inaczej, wspomnijmy choćby rodzinne tarapaty Renégó z „Allo, allo!”), narzuconego przez kodeks napoleoński podporządkowania żony mężowi.

A jeśli komuś Teksas, gdzie raptem kilka dekad temu mężczyzna, który przylał żonę na zdradzie, miał prawo zabić jej kochanka (ale już nie żonę), wydaje się odległy i/lub egzotyczny, to warto przypomnieć, że do końca lat 60. w Anglii stosunki homoseksualne między mężczyznami uznawane były za przestępstwo – vide przypadek kryptologa Alana Turinga, którego nieocenione zasługi dla pokonania III Rzeszy nie uchroniły przed aktem oskarżenia i skazaniem na – do wyboru – więzienie lub chemiczną kastrację (wybrał śmierć). A niemiecki kodeks karny przestał karać homoseksualizm dopiero w 1994 roku!

Lecz mimo tych spektakularnych przykładów świeżej daty zacofania zdaniem wielu badaczy w zachodnim kręgu kulturowym „łagodniejszy i bardziej oswojony typ mężczyzny” miał pojawić się już pod koniec wieku XIX.

Dr n. med. Robert Kowalczyk, seksuolog kliniczny i psychoterapeuta z Uniwersytetu SWPS, początków przemian dopatruje się w okresie rewolucji przemysłowej. Masowe pojawienie się kobiet na rynku pracy nieuchronnie musiało pociągnąć za sobą zmianę w społecznym postrzeganiu płci. Proces przyspieszyła II wojna światowa, kiedy kobiety zaczęły zastępować idących na front mężczyzn w kolejnych „męskich” zawodach i w przemyśle. A ostatecznie tempo przemian i różnicowania się modeli społecznych zaczęły w dużym stopniu dyktować nowe technologie. Dzięki telewizji, następnie internetowi i mediom społecznościowym mężczyźni mogą porównywać się już nie tylko z ojcem, sąsiadem, trenerem czy szkolnymi kolegami, ale też całym światem.

– Możliwość podpatrywania innych nie jest jak wcześniej zawężona do populacji, z którą stykaliśmy się w bliskim otoczeniu. Dziś funkcjonujemy na rynku globalnym, także rynku idei – wskazuje dr Kowalczyk. Zmianę wymuszają też zmieniające się – pod wpływem tych samych czynników – oczekiwania kobiet. Kiedyś to mężczyzna wybierał na rynku matrymonialnym, obecnie jest również wybierany, a bardzo pożądanym towarem stała się inteligencja emocjonalna. – Emocje partnera, jego problemy z ich identyfikowaniem lub kontrolowaniem to na ogół pierwsze zdanie, które pada na terapii – zauważa dr Kowalczyk.

Tylko dlaczego w takim razie bardzo wysoko na liście męskich typów idealnych – począwszy od tego, jak mamy wyglądać, skończywszy na tym, jak mamy się zachowywać – znajduje się mężczyzna władczy, wręcz hegemoniczny?

Dr Joanna Roszak zauważa, że role męskie zmieniają się wolniej niż role kobiece, co wynika z tego, że ciężiej zrezygnować z prestiżowej i dającej status roli w społeczeństwie – a taką odgrywają mężczyźni będący w globalnej populacji mniejszością, ale większością, jeśli chodzi o przywileje i dostęp do władzy.

Męskie przemiany są ewolucyjne oraz cechuje je wewnętrzna sprzeczność – i tu jeśli koniecznie musimy, możemy mówić o kryzysie męskości: z jednej strony kobiety nie chcą już macho, szukają prawdziwego partnera, towarzysza życia, nie pana i władcy, którego należy słuchać, bo jak nie, to będzie źle. To wpisuje się w potrzeby samych mężczyzn, którzy też mają dość

uwięzienia w przypisanej kulturowo roli i ścieżce życia, ale z drugiej strony kobiety od partnera oczekują sprawczości, zdecydowania, siły, stanowczości.

A jednocześnie za sprawą dziesiątek procesów – od globalnej migracji pracy i automatyzacji po demokratyzację i spłaszczanie struktur społecznych – tradycyjna męskość jest coraz bardziej niedosiężna. Dr Joanna Roszak mówi o statusie, który trudno osiągnąć, a łatwo stracić. W psychologii funkcjonuje termin zagrożonej męskości, precarious masculinity, która jest tak nierealistyczna i trudna do osiągnięcia, że większość mężczyzn, którzy do niej aspirują, nie jest w stanie do niej doskoczyć lub z niej wypada, co rodzi frustrację.

Jeszcze w 1990 r. łyż piłkarza Paula Gascoigne’a wywołały medialną sensację. Tym większą, że Anglik nie tylko reprezentował bardzo „męską” kulturę – plemienna rywalizacja, wojownicza postawa wobec rywali i kibicowskie braterstwo, rubaszne przyśpiewki z piwem w dłoni, poklepywanie się po plecach i tak dalej, i tak dalej – ale był samcem alfa, kipiącym testosteronem boiskowym (i nie tylko) zabijaką. Lecz gdy w tegorocznym mundialu po strzeleniu bramki w finale płakał Argentynczyk Ángel di Maria, nie wzbudziło to już żadnego zainteresowania.

Przemiany społeczne, jakie zaszły od mundialu '90 i łyż Gascoigne’a, sprawiły, że zarówno męskie, jak i kobiece łyż niko go już nie dziwią, również w drugiej dziedzinie kreującej współczesne wzorce osobowe, autorytety i bohaterów masowej wyobraźni – czyli w kinie.

W dziełach kultury jak w soczewce skupiają się pragnienia, wzorce płciowe i łyż każdej epoki. Zupełnie co innego niż na

Dzięki telewizji,
internetowi
i mediom społecznościowym
mężczyźni mogą
porównywać się
już nie tylko z ojcem,
sąsiadem, trenerem
czy szkolnymi kolegami,
ale z całym światem

przełomie lat 90. i dwutysięcznych zajmuje bohaterki niedawnej kontynuacji hitowego „Seksu w wielkim mieście”. Żarty, jakie były możliwe jeszcze 10 lat temu, gdy kręcono ostatni sezon kultowego serialu komediowego „The Office”, dziś spotkałby się z krytyką, nawet jeśli byłoby prowokacją w dobrej wierze; jeden z twórców wprost wskazał to jako główną przeszkodę w nakręceniu kontynuacji. Coraz więcej filmowych gliniarzy nie jest już samotnymi lub w trakcie rozwodu alkoholikami żyjącymi się gotowymi daniami z mikrofali.

A najbardziej męski z ekranowych mężczyzn, czyli James Bond – według wielu psychologów ucieleśnienie tzw. ciemnej triady osobowości, czyli psychopatii, narcyzmu oraz makiawelizmu – już dobre ćwierć wieku temu przestał odbywać stosunek (no dobrze, może zredukował ich liczbę) z każdą napotkaną po drodze kobietą, za to z każdym kolejnym odcinkiem odkrywał w sobie wątpliwości i traumy z dzieciństwa, cierpiał emocjonalnie, a nawet ulegał słabościom i przeciwnościom losu. Zupełnie jak jego fani.

– Stereotypowi mężczyźni, jak John Rambo, przestają przyciągać naszą uwagę. Bardziej interesują nas postacie takie jak Walter White z „Breaking Bad” czy Joel z „The Last of Us”, które przedstawiają bo-

Badacze dopiero
w ostatniej dekadzie
odkryli, że u samców
Homo sapiens również
zachodzą biologiczne
zmiany, które ułatwiają
opiekę nad małym
dzieckiem

gate życie emocjonalne, słabości i lęki, co pozwala nam się z nimi identyfikować. Będziemy obserwować coraz więcej takich bohaterów – podsumowuje dr Misiak.

Znamienne jest to, że w zasadzie wszyscy aktorzy nominowani w tym roku do Oscara – i Colin Farrell z „Duchów Inisherin” i Brendan Fraser, Bill Nighy oraz Ke Huy Quan z „Wszystko wszędzie naraz” – zaprezentowali nam, że mężczyźni mają prawo do emocji, do słabości i że można być bardzo męskim, nie uciekając się do klasycznego schematu, jak w fantastycznej frazie Ke Huy Quana: „Chciałbym, żebyśmy wszyscy byli mili”. A także, że – zgodnie z tym, co wskazano w polskim raporcie – być może w ogóle nie potrzebujemy pytania „Jaki ma być współczesny mężczyzna?”. Bo wcale nie musi być jeden, tych modeli jest mnóstwo – i raczej powinniśmy pytać: „A po co nam takie czy inne wzorce?”.

● ● ●
A jednocześnie w tym samym raporcie czytamy, że – co autorzy „Looking at the Man – Mężczyźni o mężczyznach” podpierają twardymi danymi – te same media i kultura masowa wciąż w dużym stopniu funkcjonują na podstawie utrwalonych w kulturze wzorców. Tak jak by nie do końca przyswoiły to, co same głoszą i lansują.

– Duże media odzwierciedlają to, co dzieje się w społeczeństwie, ale z pewnym opóźnieniem. Również dlatego, że osobom tworzącym kulturę i popkulturę głównego nurtu łatwiej jest bazować na stereotypach związanych z płcią, gdyż jest to kod kulturowy zrozumiały nawet dla kogoś, kto nie zgadza się z taką wizją „kobiecości” lub „męskości” – szuka wyjaśnienia dr Joanna Roszak. Albo dla kogoś, kto nie ma przygotowania lub kompetencji do zmierzenia się z alternatywnymi perspektywami. – Dlatego wciąż się zdarza, że jeżeli chcemy zapoznać się z innymi modelami „męskości” czy „kobiecości”, musimy wyjść poza kulturowy mainstream.

A tego nie ułatwia zjawisko, które już od lat dramatycznie wpływa na politykę i życie społeczne, czyli fragmentaryzacja internetu, zwłaszcza mediów społecznościowych.

– Gdy słyszę: media to, media tamto, zadaję proste pytanie: Jakie media? Każde medium opowiada swoją własną historię. Nawet gdy oglądam te mainstreamowe, otrzymuję szyte na miarę treści o określonym światopoglądzie. To petryfikuje, nie pozwala wydobyć się z baniek, w których żyjemy. Kiedyś telewizja miała ambicje pluralistyczne – zauważa dr Kowalczyk. Punktem honoru każdej stacji było pokazanie czegoś, jeśli nie kontrowersyjnego, to zaskakującego. Dziś telewizje poszły śladem portali i mediów społecznościowych (a może to one poszły śladem telewizji? – wszak prototyp medium tożsamościowego, wprawdzie konserwatywny, później alt-rightowy Fox News jest starszy nie tylko niż Facebook, ale również Google). – I oglądamy dedykowane treści, tylko utwierdzając się w przekonaniach – kwituje ekspert.

A kiedy sięgamy po smartfona, już po nas. Incele i przegrywy (co oznaczają te etykiety, to temat na osobną rozprawę, bo nie każdy, kto ma się za incela, wegetuje na niskopłatnej, upokarzającej posadzce i spędza kolejne sylwestry samotnie ze smartfonem i tanim piwem) raczej nie wytkną nosa z serwisów typu Wykop.pl. Podobnie ogolony u barbera facet z wielkomięskiej, wykształconej klasy średniej i kreatywnej, akceptujący (a mo-

że i sam ich doświadczający) płynne tożsamości, nie zanurzy się w forach korwinistów ani w alt-rightowej równoległej rzeczywistości 4chana. Piłkarscy ultrasi raczej nie trafią na forum miłośników niebinarnego poety Jaskra z „Wiedźmina”, a dzieciaków odnajdujących opowieść o sobie i nadzieję w serialach pokroju „Sex Education” czy „Euforia” nie zainteresuje przekaz youtuberów zajmujących się walkami MMA czy kibiców Legii.

A nawet gdyby wszyscy oni chcieli wystawić nos spoza swojej bańki, to algorytmny zadbał, byśmy nie trafili na odmiennie wizję świata, które re sprawią, że opuścimy strefę komfortu.

● ● ●
A mimo to nawet „przegrywy”, „prawdziwi Polacy”, „mirki” czy przypakowani kibole gardzący „zniewieściałymi lewakami” przejawiają zachowania do niedawna postrzegane jako „niemęskie”. I to coraz chętniej.

Dr Joanna Roszak wskazuje wręcz, że to nowy trend: – Mężczyźni decydują się już nie tylko „pomagać partnerce czy żonie” w domowych obowiązkach, nie tylko uczestniczyć w nich na równych prawach, lecz wręcz wybierają pozostanie w domu i zajmują się dziećmi, a partnerka pracą zawodową.

Jej obserwacje pokrywają się z wnioskami z „Looking at the Man – Mężczyźni o mężczyznach”. 85 proc. mężczyzn, jak zawsze, uważa, że ich obowiązkiem jest odpowiedzialność za rodzinę, ale definiują ją nieco inaczej niż pokolenie ich skupionych na karierach lub przetrwaniu ojców, dziadków, pradziadków. Dla dzisiejszych Polaków ważnym wyznacznikiem męskości jest opieka nad dziećmi. Dzisiejszy mężczyzna chce być ojcem, który na bieżąco i na co dzień uczestniczy w życiu dzieci. 55 proc. mężczyzn uważa, że jest wzorem dla dziecka. Większość deklaruje, że rodzina ma znacznie większe znaczenie niż praca i kariera.

Z perspektywy ewolucyjnej to nic nowego, po prostu musiała się w końcu zmienić nakładka kulturowa.

– Coraz większe zaangażowanie mężczyzn w życie rodzinne i opiekę nad dziećmi przywołuje skojarzenia z funkcjonowaniem niektórych społeczności łowiecko-zbierackich. Taki tryb życia praktykowali nasi przodkowie tysiące lat przed wynalezieniem rolnictwa. Mężczyźni w takich grupach mogliby zaskoczyć wielu „prawdziwych mężczyzn”, którzy w życiu nie zmienili pieluchy swojemu dziecku. Są bardzo zaangażowanymi ojcami. Opiekują się małymi dziećmi, nucią im nocami kołysanki, aby je ukołoić. Kiedy dzieci lekko podrosną, poświęcają im czas na zabawę i przekazują ważne umiejętności, takie jak polowanie – opowiada dr Michał Misiak.

● ● ●
James K. Rilling, antropolog z Uniwersytetu Emory’ego, wspomina, że jeszcze gdy w 2008 r. prowadził ze studentami zajęcia z mechanizmów przywiązania i rodzicielstwa, większość badań dotyczyła biologicznych aspektów bycia mamą. Przy czym adaptacje do opieki nad potomstwem w przypadku kobiet są jednak oczywiste – skok poziomu estrogenu, progesteronu i prolaktyny w okresie ciąży oraz oksytocyny przy porodzie i podczas karmienia piersią, a to ułatwia przywiązanie i dalszą opiekę.

Rola ojców była na ogół pomijana. Zmiany przyniosły dopiero ostatnie lata, co nie najlepiej świadczy o wni-

kliwości badaczy – bo u samców *Homo sapiens* również zachodzą biologiczne zmiany, które ułatwiają opiekę. Podobnie jak u świeżo upieczonych mam, tak u ojców zmienia się gospodarka hormonalna.

– Ojcostwo wymaga wielu emocjonalnych, psychologicznych i fizycznych dostosowań. Biologia mężczyzny może się znacznie zmienić, aby sprostać tym wymaganiom – zauważył niecałą dekadę temu Lee T. Gettler, antropolog z Uniwersytetu w Notre Dame i jeden z pionierów w badaniach nad adaptacjami do opieki rodzicielskiej u mężczyzn.

● ● ●
Zostanie ojcem jest jednym ze skuteczniejszych sposobów na obniżenie poziomu testosteronu w organizmie młodego mężczyzny. Efektu tego nie sposób rozpatrywać inaczej niż w kategoriach wytworzonej w toku ewolucji biologicznej adaptacji do opieki nad potomstwem – a więc wyeliminowania działań ryzykownych, tych samych, które wcześniej miały zaimponować partnerce.

W jednym z badań Gettler dwukrotnie w ciągu 4,5 roku zmierzył testosteron u Filipińczyków. U panów, którzy w tym czasie zostali ojcami, jego poziom wyraźnie się obniżył. U tych, którzy byli bardziej zaangażowani w opiekę nad dziećmi, zaobserwowano największy spadek męskiego hormonu.

Testosteron nie jest specjalnie przydatny w opiece nad niemowlakiem i w małżeństwie. To hormon, który może ułatwiać znalezienie partnerki (zwłaszcza jak by określili to ewolucjoniści, krótkoterminowej), ale nie jest pożądanym u partnera długoterminowego. Takiego, który pamięta nasz numer telefonu i z którym wychowujemy wspólne dzieci. Mniejszy poziom testosteronu to mniejsze ryzyko zdrady – a więc jakaś gwarancja, że partner nie porzuci potomstwa – i generalnie lepsza jakość ojcowskiej opieki.

● ● ●
Ale choć współczesna męskość oferuje mężczyznom swobodę wyboru i samorealizacji na różnych płaszczyznach, z czego polscy mężczyźni coraz chętniej korzystają – wciąż, jak wskazuje raport, nie są w stanie prosić o pomoc czy przyznać się do słabości. Dlaczego?

– To proste. Nadal istnieje silna presja społeczno-kulturowa na bycie prawdziwym facetem – mówi dr Roszak. A skoro erodują kolejne męzstowskie czy, jak kto woli, „prawdziwie męskie” postawy, schematy, narzucone wzorce zachowań, gdzieś ta presja nim nowa kultura całkowicie ją zredukuje, musi się zmanifestować. A więc możesz płakać, oglądając „Godziny”, możesz towarzyszyć przy porodzie, spełniać się, wynosząc śmieci i czekając z obiadem, aż ona wróci po ciężkim dniu w biurze – i być prawdziwym mężczyzną. Wręcz tego dowodzisz. – Ale jeśli przynasz się do słabości, nie jesteś stuprocentowym procentowym facetem – boisz się posądzenia o zniewieszczenie. To nadal pokutuje i trzymają mężczyzn pod obcasem – uśmiecha się psycholożka.

Ale – pociesza dr Kowalczyk – i to się stopniowo zmienia. – Na tym polu również zachodzi ewolucja. Zarządzanie emocjami coraz bardziej postrzegamy jako kompetencję, która nie przeszkadza, a pomaga w osiągnięciu celów.

Czyli w czymś bardzo męskim. A więc jeśli chcesz być prawdziwym facetem, nie bój się zajrzeć w siebie. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zbigniew Dmitroca*

Idylla bezgraniczna

Miej serce i patrzaj w serce!
Mickiewicz

Nie zamykaj oczu
Niech zło cię przerazi
Zobacz je i poczuj
W sielskim krajobrazie

Nie zamykaj oczu
Nie odwracaj wzroku
Zobacz to i poczuj
Ile zła jest wokół

Nie odwracaj wzroku
Przeraź się do głębi
Zło nie czyha w mroku
I nie ma jastrzębich

Szponów ani dzioba
Ani klów tygrysa
Zło to jest choroba
Co dobro wysysa

Zło to obojętność
Na ludzkie cierpienie
Zdobądź się na świętość
Zwalcz zobojętnienie

Zdobądź się na świętość
W sielskim krajobrazie
Niech cię obojętność
Do głębi przerazi

Nie zamykaj oczu
Na zło w swej naturze
Zobacz je i poczuj
Na swej własnej skórze

I niech cię poruszy
I niech cię przerazi
Zło ukryte w duszy
Sielskim krajobrazie

I nie ma że boli
Że budzi odrzę
Prawda cię wyzwoli
Z bezdusznej oazy

1 września 2021



*Zbigniew Dmitroca - ur. w 1962 r., poeta, m.in. autor wierszy dla dzieci, bajkopisarz, satyryk. Tłumacz poezji rosyjskiej: utworów Błoka, Jesienina, Cwietajewej, Mandelsztama, Achmatowej, Brodskiego czy Wysockiego.

Takie miasta jak
Wenecja są już martwe,
złożone na ołtarzu
globalnej turystyki.
Wskrzesić je mogą tylko
migranci

Z ILJĄ LEONARDEM PFEIJFFEREM*, PISARZEM HOLENDERSKIM, ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**
– Chyba musimy od pana zacząć, nie ode mnie.

Dlaczego? Gwarantuję, że z nas dwóch pan jest ciekawszy.
– Mazzini w Genui to jednak jest zawsze duże wydarzenie. Zbieżność nazwisk czy rodzina?

Rodzina, ale Giuseppe Mazzini zmarł 150 lat temu, a ja z panem chciałem rozmawiać o tym, co „dzisiaj”.
– Tylko że o Europie bez „wczoraj” rozmawiać się nie da.

No dobra. Mam 33 lata, mój ojciec jest Włochem, mama Polką, mieszkalem w Wielkiej Brytanii i Hiszpanii, zjechałem większość tego kontynentu, a dalej nie do końca wiem, co to znaczy być Europejczykiem. Pan – holenderski pisarz mieszkający w Genui – wie?
– Po części udzielam odpowiedzi w książce „Grand Hotel Europa”, w której opisuję zniknięcie się starej, białej Europy z wizją świata, którą wnoszą tu migranci. Ale kluczowym komponentem bycia Europejczykiem jest intymna relacja z przeszłością. W Europie je-

steśmy otoczeni pomnikami przeszłości. Pan się rozejrzy – siedzimy przed katedrą w Genui, wokół nas budynki mają po kilkaset lat. Kiedy się spędza całe życie wokół przeszłości, staje się to częścią tożsamości.

Przerwę panu tutaj, bo mam trochę wrażenie, że to perspektywa zachodnio-europejska, a niekoniecznie całej Europy. Jak pytam znajomych z mojego pokolenia w Polsce, to najczęściej słyszę o postrzeganiu europejskości w kategoriach członkostwa w Unii. Bycie Europejczykiem to termin polityczny czy kulturowy?
– Według mnie zdecydowanie kulturowy, który próbujemy teraz przetłumaczyć na koncepcję polityczną – co oczywiście nie jest łatwe. To powolny, bolesny proces, ale idziemy w nim do przodu. Dlatego uważam, że łatwiej zacząć od kultury, bo zawsze istniało coś na kształt europejskiej tożsamości na poziomie intelektualnym. Od wieków średnich, a nawet wcześniej, mieliśmy do czynienia z bardzo żywą wymianą idei pomiędzy europejskimi myślicielami. Przeszłość nas określa, ale nie tylko ta starsza, z pomników. II wojna światowa zdefiniowała przecież w Europie pojęcia dobra i zła. Wszystkie te resztki przeszłości są naszym bogactwem, ale ten medal ma też drugą stronę. Jeśli całe życie trwa się w otoczeniu monumentów tego, co było, bardzo kuszące jest dojście do wniosku, że to, co najlepsze, już za nami. Lepiej już nie będzie. I ta nostalgia za lepszymi czasami jest bardzo ważną częścią europejskiej tożsamości.

Żeby być Europejczykiem, trzeba tęsknić za minionym?
– Zdecydowanie. I to paradoksalne, bo zawsze byliśmy nostalgiczni.

Bo zawsze mieliśmy za sobą lepsze czasy?
– Nie tyle mieliśmy, co nam się tak wydawało. Nawet starożytni Grecy, kiedy dopiero budowali fundamenty naszej cywilizacji, uważali,

że minęła już złota era, w której wszystko było proste, Bogowie przemierzali ziemię niezakłócenia, a herosi czynili cuda. Z filozoficznego punktu widzenia to bardzo ciekawe i dziwne zarazem, bo prowadzi do głęboko zakorzonego w nas wniosku, że wszystko, co stare, automatycznie musi mieć dużą wartość.

To działa jak hamulec?
– W pewnym sensie. Nostalgia może być olbrzymią przeszkodą. W „Grand Hotelu Europa” sporo piszę o Wenecji, która doskonale to ilustruje. Jeden z bohaterów mówi w pewnym momencie, że w Europie jest tyle przeszłości, że nie ma już wolnego miejsca dla przyszłości. W przypadku Wenecji to prawda dosłowna, namacalna.

Florencja, Dubrownik, Amsterdam...
– Tak, choć Wenecja jest dodatkowo zbudowana na morzu i wyspach, tam literalnie brakuje przestrzeni, nikt nie postawi przecież wieżowca na lagunie.

Uważa pan, że to nostalgia jest przyczyną sukcesów skrajnej prawicy w Europie? Bracia Włosi tutaj, Vox w Hiszpanii, brexitowa prawica w Wielkiej Brytanii – wszystko to rośnie na idei, że kiedyś byliśmy wielcy i znowu możemy być.
– Skrajna prawica to ruch ekstremalnie wręcz nostalgiczny. Sprzedaje iluzję, że wszystkie problemy współczesnego świata da się rozwiązać, cofając wskazówki zegara – bo wtedy te problemy nie istniały.

Choć istniały, po prostu w innej formie.
– To reakcja na ich niepewność, strach wywołany zmianami społecznymi. A przede wszystkim – efektami globalizacji. Dzisiaj nie obowiązuje już podział na lewicę i prawicę jak w czasach pokolenia pana rodziców. Te dwie kategorie są coraz bardziej bez znaczenia. Oś podziału dzieli teraz świat na tych, którzy widzą globalizację jako wyzwanie, oraz tych, którzy się jej boją, bo są jej ofia-

rami. W dużym stopniu tłumaczy to wygraną Trumpa i rozkład głosów w tamtych wyborach. Miasta na obu wybrzeżach na niego nie głosowały, bo tam globalizacja to pozytywne wyzwanie. Ale w środku kraju było już inaczej – i ci ludzie mają rację, bojąc się skutków globalizacji. Oni naprawdę stracili pracę, ich życie zostało zredukowane do zwykłej egzystencji. W takiej sytuacji jest zrozumiałe, że ktoś popiera kandydata, który obiecuje cofnąć czas. A jeśli dodać do tego wymiar kulturowy globalizacji, zmiany promowane przez jej wielkomięskich beneficjentów, którym ci ludzie się sprzeciwiają – to takie poparcie robi się całkiem spore.

Tylko czy to takie inne od tego, co już było? Przecież w Europie walczyliśmy o zniesienie niewolnictwa, prawa robotników, prawa kobiet – każda epoka miała swój odpowiednik ruchów LGBT.
– Może rzeczywiście nie jest nowe, ale jest teraz. Co oznacza, że musimy się z tym zmierzyć.

Pana książka jest w zasadzie opowieścią o Europie w ślepej uliczce. Píše pan, że właściwie jedyną realną przyszłością dla kontynentu jest ewolucja w kierunku parku rozrywki, wielkiego otwartego muzeum dla bogatych Azjatów czy Amerykanów. Trudno się nie zgodzić, jeśli się choć raz było w Wenecji czy Florencji.
– W Warszawie też, do pewnego stopnia.

Warszawę akurat ratują ukraińscy uchodźcy, bo ich przyjazd tchnął sporo nowego życia w miasto. Ale dla takich miejsc jak Florencja to już chyba nie ma innej przyszłości?
– Kiedy jakieś miasto stało się jedną wielką atrakcją turystyczną, z punktu widzenia mieszkańców jest martwe. Trudno je wtedy wskrzesić, choć to nie jest moim zdaniem niemożliwe. Doskonałym sposobem było by chociażby wypełnienie ich uchodźcami z Afryki i Bliskiego Wschodu.



Tę myśl to pan musi rozwinąć, bo w bieżącym klimacie politycznym jest tak kontrowersyjna, że w komentarzach polecą wióry.

– Wiadomo, że to się nigdy nie stanie...

...ale zagrajmy w to. Dlaczego imigranci mieliby wskrzęsić Wenecję?

– Bo 40 tys. uchodźców z Afryki to jest dokładnie to, czego potrzebuje takie miasto jak Wenecja. Musieliby przecież gdzieś pracować, potrzebowaliby butów, ubrań, możliwości zrobienia zakupów. Wtedy miasto miałoby znowu normalną strukturę gospodarczą. Potem potrzebowaliby szkół, księgarń, sklepów papierniczych – wszystkich tych rzeczy, które z takich miast zniknęły, bo nie są potrzebne turystom. Teraz te miejsca są dosłownie sprzedawane, a ich mieszkańcy – składani w ofierze na potrzeby interesu ekonomicznego zglobalizowanej turystyki.

Po raz pierwszy w historii populacja laguny spadła poniżej 50 tys. mieszkańców i ta tendencja się dalej utrzymuje. To w dużej mierze jest celowe działanie lokalnych władz, bo stali mieszkańcy stanowią problem. Są więc wypychani na kontynent cenami mieszkań, rosnącymi kosztami życia i usług, żeby miasto można było sprzedać turystom już w całości.

W 2018 r., dwa miesiące po publikacji pierwszego wydania „Grand Hotelu Europa” w Holandii aktywiści i samorządowcy w Amsterdamie zorganizowali debatę o przyszłości turystów. Zadałem wtedy pytanie dyrektorze wydziału turystyki, czy nie boi się, że osiągną poziom, z którego nie ma już odwrotu. Odpowiedziała mi, że według niej niektóre części miasta już ten poziom osiągnęły – na przykład dzielnica czerwonych latarni. Burmistrznię Amsterdamu znam osobiście, jest moją przyjaciółką. Doskonale zdaje sobie sprawę ze skali problemu, ale proszę mi powiedzieć,

demiczny otworzył nam na to oczy – dalej nie rozumiemy, że to nie jest sensowne rozwiązanie na przyszłość. Często się słyszy, że turyści przynoszą pieniądze. Tylko że z perspektywy władz miejskich to nieprawda. W książce znajdzie pan statystyki na ten temat – Amsterdam wyliczył sobie, że wydatki publiczne potrzebne na utrzymanie infrastruktury i ściąganie turystów znacznie przewyższają kwoty, które wpływają dzięki ich pobyтови.

To kto zarabia?

– Najwięksi gracze w przemyśle turystycznym to wielkie międzynarodowe korporacje. Hotele, linie lotnicze, komercyjne atrakcje. Dla tego miasta dorzucają z publicznych pieniędzy do procesu, który umożliwia zarabianie miliardów przez prywatne spółki.

Dwa lata pandemii i zagrażający życiu wirus nie wymusiły na nas żadnej refleksji, turyści wrócili ze zdwojoną siłą.

– Według mnie lockdown pandemiczny był czymś w rodzaju próby generalnej przed tym, co musi się wydarzyć, żeby skutecznie walczyć z katastrofą klimatyczną.

Ale to jest wizja jakiegoś końca świata.

– Powstrzymanie zmiany klimatycznej, czy to teoretycznie mówiąc, wymagałoby podobnych rozwiązań jak lockdown – ale nie przez dwa, tylko 10 czy 20 lat. Bo dopiero kiedy zagrożenie widać na horyzoncie i staje się namacalne, wiele niewyobrażalnych rzeczy staje się możliwych. Przecież w pandemii z dnia na dzień uziemiliśmy wszystkie samoloty. Nikt już nie może powiedzieć, że się nie da.

Problemem w kwestii klimatu jest brak woli. Po prostu nie chcemy tego zrobić, bo zagrożenie jest wciąż zbyt abstrakcyjne i odległe.

Już chyba nie takie odległe, skoro miejsca, do których jeździmy na wakacje od

skuteczności na skalę globalną – i tego nie umiem sobie wyobrazić. Nie mamy światowego rządu. Nie jesteśmy w stanie zmusić na przykład Chin, by zmniejszyły emisję.

Pan o Chinach od razu, a my siebie samych nie jesteśmy w stanie zmusić.

– Dlatego nie jestem optymistą, nie mogę być.

A co pana przeraża najbardziej? W książce kreśli pan kataklizmy z wielu kierunków. Uzależnienie od głupiej turystyki, klimat, starzejące się społeczeństwo, niezdolność do rywalizacji gospodarczej z Chinami i resztą świata – skąd nadejdzie koniec Europy?

– Pewne jest, że za chwilę Europa przestanie odgrywać jednoznacznie dominującą rolę na planecie, którą ma od czasów rewolucji przemysłowej, ale prawdziwym zagrożeniem jest to polityczne, rodzące się w środku. Projekt pod tytułem „zjednoczona Europa” stoi pod znakiem zapytania, a uważam, że jest jednym z najpiękniejszych osiągnięć człowieka we współczesnej historii.

To w dalszym ciągu przede wszystkim wehikuł gospodarczy, bardzo liberalny, mocniej integrujący kraje finansowo niż politycznie. Chciałbym, żeby Unia była bardziej demokratyczna, silniejsza na arenie światowej – ale faktem jest, że cały czas nad nią pracujemy. Dla mnie to jest heroiczna próba zbudowania wspólnoty na gruzach kontynentu zniszczonego przez wojnę, gdzie poszczególne kraje dewastowały się nawzajem przez stulecia. Jej udoskonalanie jest bolesne, czasochłonne, ale nie mamy alternatywy. Dlatego tak się boję tego, co rośnie w środku. Wojen kulturowych, tej fali nostalgii, na której wybija się skrajna prawica.

Po „Grand Hotelu Europa” moja kolejna książka opowiada o Alcybiadesie, greckim myślicielu z czasów II wojny peloponeskiej.

Tylko potem jak ktoś przychodzi i mówi, że jesteśmy tacy sami jak ten wróg, to się robi niekomfortowo. A nikt nie lubi, żeby było niekomfortowo, zwłaszcza jeśli chodzi o nas samych.

Migracja jest nie tylko motorem rozwoju cywilizacji, ale też czymś naturalnym. Od momentu, kiedy stanęliśmy na dwóch nogach, zaczęliśmy iść. Tylko teraz to, że inni do nas idą, stało się zagrożeniem dla naszego komfortu. W Holandii jest wielka awantura o te kilka tysięcy migrantów, których Unia ma tam relokować. Ale 20 tys. uchodźców z Ukrainy nie było problemem.

W Polsce nawet 2 mln nie było.

– No właśnie. Ukraińcy są oczywiście podobni kulturowo, biali – możemy to wszystko sobie tak tłumaczyć. Ale prawdziwa różnica pomiędzy Europejczykami i migrantami z Afryki czy Bliskiego Wschodu jest gdzie indziej. Dzieli nas oś czasu, stosunek do niej. W „Grand Hotelu Europa” jest postać bagażowego, 16-letniego migranta z Afryki – wzorowałem go na chłopaku z Ghany, którego poznałem tu, w Genui, robiąc film dokumentalny dla holenderskiej telewizji. Kiedy go spotkałem, był we Włoszech dopiero pięć dni. Uratowano go z tonącej tratwy, miał jeszcze śmierć w oczach. Byłem ciekaw jego historii, zacząłem wypytывать o podróż do Europy – jak, którędy, ile czasu. Chciałem wiedzieć, jak wyglądało jego życie w Ghanie. Ale on nie powiedział mi nic. Nigdy nie rozmawiał o tym, co było – użył nawet stwierdzenia, że „przeszłość to ohydne miejsce”. Dlatego ten 16-letni bagażowy jest jedynym bohaterem mojej książki, który nie jest więźniem przeszłości – swojej własnej ani tego, co go otacza, w czym dorastał.

Stawiając sprawę w ten sposób, dowodzi pan, że poruszamy się w kompletnie przeciwnych kierunkach. My jesteśmy nostalgiczni na zawsze, zainteresowani tylko tym, co było, a migranci – tylko

Gdy stanęliśmy na dwóch nogach, to zaczęliśmy iść.

A teraz to, że inni do nas idą, stało się zagrożeniem dla naszego komfortu



co ona może zmienić, jeśli codziennie na amsterdamskim lotnisku ląduje 300 niskobudżetowych samolotów? Uzależnić się od turystyki jest naprawdę łatwo.

Ten rok jest natomiast bardzo ciekawy i trochę się tego chyba wszyscy nie spodziewaliśmy tak szybko – we wszystkich najpopularniejszych destynacjach turystycznych na południu Europy jest po prostu za gorąco, żeby normalnie funkcjonować. Nie ma się oczywiście z czego cieszyć, ale to może być gamechanger dla turystyki.

Serio pan myśli, że to powstrzyma ludzi przed podróżowaniem na Południe?

– Już powstrzymuje. Proszę zobaczyć, jak wzrasta liczba turystów i popularność miejsc na północy Europy: Holandii, Danii – właśnie jako kierunków na letnie wakacje.

Tylko to nie rozwiązuje problemu w skali Europy – turyści po prostu przenoszą wyrządzanie szkód na Północ.

– Calej choroby nie leczy, ale może uratować Wenecję czy Sycylię.

Dla pana to gamechanger, a dla mnie potencjalna katastrofa. Przecież gospodarki Południa opierają się głównie na turystyce.

– Turystyka nigdy nie zagwarantuje stabilnej przyszłości. Nawet dwuletni lockdown pan-

20 lat, stoją w płomieniach.

– Tak, ale jakie wyciągamy z tego wnioski? Powinniśmy w tym przypadku zrozumieć, że może nie jest najlepszym pomysłem taki wyjazd na wakacje.

W te miejsca.

– Gdziekolwiek. Jakikolwiek wyjazd. Jakikolwiek lot. Bo zamiast zrozumieć, że to my, zamieniając się w turystów, stajemy się problemem, po prostu zmieniamy kierunek. Nie mówimy „w przyszłym roku nie jadę do Włoch, zostaję w domu”, tylko „w przyszłym roku jadę nie do Włoch, ale do Danii”. Dostosowujesz destynację, ale nie swoje zachowanie – bo nie widzisz w katastrofie klimatycznej zagrożenia dla siebie samego.

Ewolucja wyposażała nas w cały szereg dobrych narzędzi do reakcji na bezpośrednie zagrożenia. Kiedy widzimy tygrysa za drzewem, reagujemy natychmiast, bo to instynkt. Ale w ogóle nie jesteśmy przystosowani do walki z czymś, co nas jeszcze nie dotyka. Z całą pewnością nie jest do tego zdolna obecna generacja światowych przywódców. Mało tego, nie wydaje mi się nawet, że mają do tego chęć. Za dużo jest interesów, zwłaszcza gospodarczych, które się tu krzyżują. Jeśli w czymś mam pokładać nadzieję, to w młodszych pokoleniach.

Moi rówieśnicy zniszczyli świat. Młodzie mogą go naprawić, ale do tego potrzeba

To była wspaniała postać, o której chciałem napisać właściwie od zawsze, ale dopiero teraz zdobyłem się na odwagę – bo zrozumiałem, że Alcybiades w V w. p.n.e był świadkiem upadku ateńskiej demokracji, która była przecież pierwszą demokracją na świecie. On to widział, nawet był częściowo za to odpowiedzialny. I symptomy tamtego upadku były bardzo podobne do problemów, z którymi zmagamy się teraz. Można je zebrać pod wspólnym parasolem populizmu, przez który demokracja w Europie zamienia się powoli w parodię samej siebie.

Bo nie umiemy sobie radzić z tymi wielkimi wyzwaniami. Najbardziej chyba z migracją – widzi pan tu jakieś dobre rozwiązanie?

– Europejska dyskusja wokół migrantów i uchodźców jest pięknym paradoksem, bo ogromną część swojego sukcesu Europa zawdzięcza właśnie migracjom. Proszę zobaczyć: jesteśmy tacy doskonali w pamiętaniu o naszych korzeniach, dbamy o przeszłość, broniemy kultury, jesteśmy nostalgiczni, a jednocześnie zapominamy, że jedną z najważniejszych naszych opowieści, mitów założycielskich europejskiej cywilizacji jest „Eneida” Wergiliusza, czyli historia wojennego uchodźcy. Nie myślimy o tym, bo teraz jest nam zbyt wygodnie. Wreszcie udało nam się zidentyfikować wroga, którego da się obwinąć za wszystko, co złe.

tym, co będzie. Tego się nie da pogodzić.

– Da się. Nie rodzimy dzieci, nasze społeczeństwa są coraz starsze, nie stać nas na utrzymanie emerytur, systemów opieki zdrowotnej – to już jasne, nie da się z tym dyskutować. Po drugie, zwłaszcza na Zachodzie Europy nie chce nam się wykonywać podstawowych prac. Holandia, Włochy, Hiszpania, wszędzie istnieje ten problem. I mimo tego wszystkiego cały czas mówimy, że migranci z południa są problemem – podczas gdy są tak naprawdę rozwiązaniem. Trzeba więc zmienić paradygmat.

Ale jak? Prawicowcy chcą zamknąć granice, bo dla nich każdy uchodźca to kulturowo odmienny gwałciec. Lewica chce wszystkich wpuścić, co w zasadzie unieważnia potrzebę jakiegokolwiek polityki migracyjnej i też prowadzi do katastrofy. Jest tu jakaś droga środka?

– Gdyby rzeczywiście zmieniono sposób myślenia na temat migrantów, później byłoby z górki. Potrzebujemy ludzi, zwłaszcza młodych, poza tym jest oczywiste, że polityka ich powstrzymywania przed przyjazdem do Europy po prostu nie działa. Migracji nie da się zatrzymać. To już są dwa bardzo silne powody, by zmienić optykę. To oczywiście nie wystarczy, ale od czegoś trzeba zacząć. Potem potrzebne są inwestycje, chociażby w edukację. I my się możemy spierać, jak i kiedy to

Ludzie głosują na prawicę, bo stracili pracę w wyniku globalizacji. Dlatego chcą cofnąć czas

zrobić – ale jakoś to trzeba zrobić, bo ruch migracyjny jest nieunikniony.

To sprowokuję trochę i zapytam, czy nie byłoby najlepiej wprowadzić model anglosaski, selekcjonować migrantów jak Kanada czy Australia. Wpuszczamy ludzi, ale ich dokładniej filtrujemy. Więcej lekarzy z Syrii, mniej gangsterów z Nigerii. – Jasne, można tak zrobić, ale istnieje jeszcze moralny obowiązek pomocy tym, którzy uciekają przed konfliktami, nawet jeśli nie są lekarzami czy inżynierami. Nie możesz być zbyt wybredny.

Ale może będąc wybrednym, powstrzymam atak skrajnej prawicy i neofaszystów. Sam pan powiedział, że to oni stanowią największe zagrożenie dla Europy. – Potrzeba sprawnego systemu, ale musimy ich tu wpuścić. Za bardzo ich potrzebujemy i moim zdaniem ostatecznie będzie tak, że migrantów w Europie zamieszka jeszcze wielu. Stanie się to za późno, jak wszystko w życiu, ale się stanie.

Czy żeby to się stało, żebyśmy mieli tę nową Europę migrantów, potrzeba rewolucji? Europejczycy już nieraz wymyślali sobie samych na nowo, ale z reguły właśnie przez rewolty. – Akurat do zmiany podejścia do migrantów – uważam – nie potrzeba rewolucji. Starczy myślenie o własnym interesie, bycie pragmatycznym. Większość Europejczyków jeszcze do tego nie doszła, ale dojdzie prędzej czy później. Natomiast rewolucji, owszem, potrzeba, ale do czegoś innego. Tym wielkim problemem stojącym za zagrożeniami dzisiejszego świata jest niedziałający kapitalizm, którego nie da się już utrzymać. Żeby to naprawić, potrzeba radykalnej zmiany, to o tym przecież pisał Marks.

Bez obrazu, ale marksistowskie rewolucje, tam gdzie je przeprowadzono, nie dały wcale lepszych efektów niż kapitalistyczne demokracje liberalne. – Tylko że Marksa nigdy nie wprowadzano w życie literalnie. Rewolucja w Rosji nie była marksistowska, bo Marks pisał nie o rosyjskich chłopach, tylko o uprzemysłowionej Anglii i Londynie. Inna sprawa, że dopiero teraz widzimy w pełnej skali to, co on przewidywał – turystyka jest tu akurat doskonałym przykładem. Wszystkie zyski są prywatne, wszystkie koszty i straty są publiczne. To się dzieje teraz, na naszych oczach. Nie chcę tutaj wyjść na piewec marksistowskich rewolucji, ale nie da się nie zgodzić z tezą, że na planecie z ograniczonymi zasobami naturalnymi model oparty na wiecznym wzroście gospodarczym jest niemożliwy do utrzymania.

Wierzy pan, że mamy taką wewnętrzną zdolność do autoreformy? – Mam taką nadzieję, to byłoby znacznie lepsze rozwiązanie. Najlepiej byłoby, żeby ci najbogatsi sami zgodzili się na ograniczenie swojego bogactwa. To się chyba nigdy w historii ludzkości nie zdarzyło akurat.

Do naszego stolika nagle podchodzi młody czarnoskóry chłopak. Zagaduje płynnym włoskim, nadzwyczajnie grzecznymi sformułowaniami przeprosza, że przeszkadza, rozpoznał Ilję Pfeifferra, mówi, że czytał jego książkę, szanuje bardzo. Pozdrowia i odchodzi w głąb Starego Miasta.

Często się to panu zdarza? – Czasami. Ale takie sytuacje są strasznie bolesne.

Bo? – Przez to, że ten chłopak nie był biały, od razu założyłem, że będzie prosił o pieniądze. Już prawie to zrobiłem (Ilja macha ręką w powietrzu w geście odpędzania się od kogoś). Wiesz, tak łatwo jest zachować się jak rasista.

Pan się za to obwinia? W zdecydowanej większości takich sytuacji rzeczywiście się przecież kończy pytaniem o pieniądze, to nie jest dziwne, że pan się tak zachował. – Obwiniam, oczywiście. Ale przynajmniej jestem tego świadom. Jessie Jackson, czarnoskóry pastor, ikona ruchu praw obywatelskich, powiedział kiedyś, że wracając nocą do domu, śmiertelnie się wystraszył, bo usłyszał za sobą kroki. Uspokoił się jednak, bo człowiek, który za nim szedł, okazał się biały. To naprawdę potężny stereotyp.

Wróćmy do tego upadku kapitalizmu, bo mnie pan ciągle nie przekonał. Jak by to miało wyglądać? Jakaś elita szerząca nową świadomość klasową jak u Lenina? – Raczej jak pokojowe rewolucje 1989 roku. Wtedy przecież zmiany dokonały masy – nikt nie chciał już utrzymania systemu komunistycznego, wszyscy widzieli, że on nie działał. Nie trzeba było ani wielkich rewolt, ani pomnikowych liderów, potrzebny był tylko oddolny zryw. Myślę, że z kapitalizmem dojdziemy prędzej czy później do tego samego punktu – większość z nas zorientuje się, że dalej trwać w takim systemie po prostu nie chce, i wtedy elity władzy będą zmuszone do tego, żeby odejść.

Czyli jakaś forma rewolucji jednak. A jak już ją sobie w Europie zrobimy, to co dalej z resztą świata? Dwie trzecie globu nie potępia Rosji w wojnie z Ukrainą, Chiny są cyfrową dyktaturą – jakie jest miejsce Europy na tak ułożonej scenie międzynarodowej? – Europa w swojej zjednoczonej postaci może być bardzo silnym graczem w skali świata. Widzimy to zresztą właśnie teraz – Putin mocno zlekceważył zdolność europejskich państw do stworzenia wspólnego frontu wsparcia dla Ukrainy. Demograficznie, gospodarczo Europa ma ogromny potencjał, jeśli się go zsumuje. Reszcie świata też na Europie nadal zależy – amerykańskie firmy technologiczne dostosowują się do naszych regulacji dotyczących prywatności. To zabrzmiało może paradoksalnie, ale im bardziej ten świat staje się wielobiegunowy, tym większe szanse na to, że Europa będzie odgrywać w nim znaczącą rolę.

Jasne, w kwestii produkcji gospodarczej czy wzrostu nie jesteśmy w stanie rywalizować z Chinami czy Indiami, ale czy my w ogóle tego chcemy? Nasza siła jest w argumentie moralnym, kulturowym, w prawdziwych demokracjach, w które wciąż wierzymy. Tak jak mówiłem wcześniej, w innych częściach świata naprawdę patrzy się na Europę jak na przykład, choć sami o tym zdążyliśmy zapomnieć. Naszym bogactwem jest kapitał miękki – nasza kultura. Proszę spojrzeć, co się stało w Afganistanie w czasie interwencji wojsk zachodnich. Od razu było widać różnicę w działaniach Europejczyków i Amerykanów. Brytyjczycy, Francuzi, Holendrzy, którzy weszli tam z setkami lat doświadczeń własnych imperiów kolonialnych, doskonale wiedzieli, że aby ta

operacja się udała, trzeba zbudować dwie rzeczy: społeczne poparcie dla ich obecności i silne instytucje. Amerykanie weszli wyłącznie z bronią palną. To tylko jeden z wielu przykładów europejskiej pamięci zbiorowej, która daje nam przewagę nad resztą świata. Innym jest wciąż bardzo silna pamięć tego, co to znaczy mieć wojnę na własnym progu. W XX wieku byliśmy niszczeni przez dwie wojny światowe w odstępie zaledwie dwóch dekad. To robi ogromną różnicę dzisiaj – dzięki temu Europejczycy lepiej od Amerykanów rozumieją, czym naprawdę jest wojna w Ukrainie.

Ale to chyba jednak opowieść o świecie, którego już nie ma. Globalne Południe nie podziela tych samych wartości etycznych, które stanowiły podstawę powojennego układu sił. Indie czy Chiny wytykają Zachodowi hipokryzję, często słusznie. Kto teraz potrzebuje jeszcze Europy? – Myślę że nie docenia pan wartości, jaką jest bycie latarnią demokracji. Wciąż wiele krajów chce się od nas uczyć i mam nadzieję, że będzie ich coraz więcej.

Tylko czy w ten sposób Europa nie buduje dla siebie złotej klatki? Może demokracja będzie zaraz kolejnym eksponatem w tym parku rozrywki dla Azjatów, o którym pan pisze? Tu Koloseum, tu Uffizi, tam demokratyczne wybory – obejrzymy, zachwycimy się i do domu? – Jeśli wszystko na świecie kierowane jest przez logikę pieniądza, to kończy się takimi wynaturzeniami. Kraje arabskie stopniowo wykupują Europę, jej najważniejsze elementy. Kulturę, sztukę, nawet sport – Kylian Mbappé dostał propozycję kontraktu na łącznie prawie miliard dolarów za grę w lidze saudyjskiej.

Da się ten proces zatrzymać? – Tak, ale wiele musi się zmienić tutaj, u nas. To, czego potrzebujemy, to Europa demokratyczna, zjednoczona, sprawiedliwa – ale również ekonomicznie i społecznie. Tych dwóch pozostałych sprawiedliwości wciąż nam brakuje. Ktoś porównał kiedyś Europę do bycia silnym roślinożercą otoczonym przez mięsożerców. Ta metafora do mnie trafia, w tym kierunku powinniśmy iść. Nie zapominajmy, że miliony osób chcą do nas migrować nie tylko dlatego, że jesteśmy bogaci, ale też dlatego, że Europa jest miejscem wolności. To tak samo ważne jak nasz dobrobyt ekonomiczny. Wie pan, że tutaj, niedaleko miejsca, w którym siedzimy, jest spory pomnik pana przodka?

Nie wiedziałem. – Na jednym placu są dwa pomniki: Giuseppe Mazziniego i Wiktora Emanuela II, oba podobnej wielkości. Ale pana przodek: liberal, filozof, republikanin, ustawiony jest na niewielkim wzniesieniu, przez co de facto jest wyżej od króla, przedstawiciela monarchii. To nie jest przypadek – mieszkańcy Genui, stawiając te pomniki, dali wyraz szacunku, jakim darzyli pracę intelektualną i samostanowienie społeczeństw. To właśnie jest nasze europejskie dziedzictwo, tu leży nasza siła. Dobrze by było, żebyśmy o tym pamiętali. ●

*Ilja Leonard Pfeijffer

• ur. w 1968 r., holenderski pisarz, poeta, filolog klasyczny, jeden z najważniejszych i najczęściej nagradzanych współczesnych autorów holenderskich. Od 2008 r. mieszka w Genui. Jego książki przetłumaczono na ponad 20 języków, w tym polski

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Krwawy brzęk bilonu

Janusz Rudnicki

Koniec z tym, nie będę już służył Sprawie. Sprawą moją była działalność na rzecz zbliżenia narodu polskiego do niemieckiego. Na rzecz meneli. Przekonać ich do tego, z czasem całą za nimi armię, bo czy nie oni właśnie, jako najbardziej widoczni, jako najbardziej wysunięty przyczółek każdej nacji, są jej forpocztą? I jako tacy mogą zmienić trend ogólny, który wiadomo, jaki jest?

Plan mój był genialnie prosty, spieszę z wyjaśnieniem. Za każdym prawie razem, widząc w centrum Warszawy większą ich grupkę, podchodziłem i łamaną polszczyzną na pamięć wygłaszałem taki oto spicz: dzień dobry, jestem Niemcem, mój dziadek w Wehrmachcie służył i ja dzisiaj, jego wnuk, chcę naród polski i niemiecki do siebie zasamować, ja chcę za jego złe czyny zapłacić. Pozwolicie panowie, podzielić się chcę z wami tym, co akurat przy sobie mam. Szło wszystko dobrze, oni byli zadowoleni, a ja, z siebie samego, jeszcze bardziej, aż nadszedł dzień feralny. W tym dniu wróciłem z Hamburga, w którym robię to samo, tylko odwrotnie, to jest, udając turystę z Polski, łamanym niemieckim przebaczam im zabitego przez Wehrmacht dziadka i obdarowuję ich bilonem niemieckim, powodując w ten sposób, że zbliżają się do siebie dwie szczęki polsko-niemieckiego imadła. Wróciłem z Hamburga więc, pod Centralnym siedziało ich paru z psem, podszedłem i jak zwykle wygłosiłem swoją misyjną diatrybkę, tym razem dodając, że dziś bardziej hojny będę, bo chcę namówić ich, żeby, jeśli mogą, w wyborach udział wzięli i zagłosowali tak, jak przystało na ludzi światłych. Po czym jak zwykle bilon im do czapki włożyłem i na odchodnym nie usłyszałem jak zwykle podziękowań, ale to, co jeden z nich rzekł do swoich: widzieliście tego Szwaba? Niech sobie te jego centy w dupę wsadzi.

Nie wiem, jak to się mogło stać, pomyliłem kieszenie, za głowę się chwyciłem, ponieważ nieprzychylnym bilonem niemieckim ich zapomogłem, przeproszać zacząłem gorliwie i w chwili, kiedy schyliłem się, żeby naprawić pomyłkę, psu na ogon nadepnąłem. Ten piszczał przeraźliwie i wbił mi się zębami w nogę, zawylem z kolei ja. Pies nie puszczał, oni nie reagowali, więc kopnąłem go drugą nogą w żebra, pies odskoczył, ale przyskoczyli z kolei oni. Obita twarz, z nosa krew, z nogi krew. Ze spuszczoną głową powoli wlokę się do domu jak żołnierz z wia domej niewoli. Nade mną „złota jesień polska” (wszędzie jest taka sama), wokół mnie sylwetki Polaków w oświetlonych oknach, co zrobią w niedzielę z tym fantem, którego mam na myśli? A który ciągnie się od morza do Tatr? Od każdego z nich zależy każdy z nas. W jakim państwie obudzę się w poniedziałek rano? W takim, w którym nie zmieni się nic, czy w takim, w którym zmieni się wszystko? Postawią ten krzyżyk nam czy na nas? ●

SZKOŁA

IMIENIA BOHATERÓW

OPERACJI SPECJALNEJ

Jeśli na jakąś lekcję zostaną zaproszeni żołnierze, którzy brali udział w wojnie, skłamiemy w szkole, że Igor jest chory

Wiktorija Bieliaszyn

Najpierw obowiązkowy apel, podniesienie flagi, odśpiewanie hymnu. Później „rozmowy o ważnych rzeczach”, czyli przedmiot, w ramach którego nauczyciele opowiadają dzieciom o bohaterskiej walce Kremla z „ukraińskim nazizmem” i „zradzieckim Zachodem”.

Na lekcji historii nowe podręczniki, z których wynika, że „Rosja nigdy nie zaczynała wojen, a jedynie je kończyła”; w ramach przysposobienia wojskowego nauka obsługi dronów i strzelania, zaś na wiedzy o społeczeństwie – klasówka ze znajomości treści przemówień Putina i rozprawka na temat bohaterów „specjalnej operacji wojennej”, jak wojnę przeciwko Ukrainie muszą oficjalnie nazywać Rosjanie, by nie narazić się na represje.

W ramach zajęć pozalekcyjnych: uroczyste spotkania z frontowymi żołnierzami, których obecnie ministerstwo edukacji masowo przygotowuje do objęcia w przyszłym roku stanowisk nauczycieli podstaw obrony ojczyzny; szycie mundurów; plecenie siatek maskujących; pisanie listów do rosyjskich wojskowych i oglądanie propagandowych filmów.

Na przerwach: pogłoski o zwolnieniu nauczyciela o „zbyt liberalnych poglądach” i szept, kto na kogo napisał donos za, zdaniem jednych, „antywojenne” lub, jak powiedzieliby inni, „niepatriotyczne” komentarze.

Tak w skrócie można opisać dzisiaj rosyjską szkołę. Zdaniem prezydenta Rosji, co zostało jasno wyartykułowane podczas jednego z ostatnich spotkań Putina z młodzieżą szkolną, uczniowie muszą nauczyć się w niej, że „rosyjski naród jest niezwykły”, prawdziwi patrioci „powinni być gotowi chwycić za broń i walczyć”, a „szczęście ojczyzny droższe jest niż życie”. Na wpojenie dzieciom tych „prawd”, traktowanych jako element nowego projektu „Wychowanie patriotyczne obywateli Federacji Rosyjskiej”, władze przeznaczają gigantyczne środki. W tym roku, jak podał portal ekonomiczny RBK, 39 miliardów rubli – 1,66 mld zł, w przyszłym – ponad 45 (2 mld zł).

„Szkoda, że na to, ale nie na realne potrzeby”, mówi mi nauczycielka jednej z moskiewskich szkół. Zwraca uwagę na niedawny raport o stanie technicznym placówek oświaty, z którego wynika, że 30 proc. szkół wymaga całkowitego remontu. „Nadal nie ma kanalizacji w 6000 szkół, nie ma bieżącej wody w 5600 i nie ma centralnego ogrzewania w 5000. Takie szkoły są nawet w Moskwie”, czytam w dokumencie.

Trzeba przyznać, że do wychowania młodych Rosjan na idealnych patriotów władze podeszły poważnie. Z wojenną propagandą wkroczyły do klas już kilka dni po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę. Zaczęło się od rozesłania nauczycielom instrukcji, jak – obowiązkowo – wyjaśnić dzieciom, że armia „prowadzi pokojową operację w Ukrainie, której celem jest powstrzymanie nacjonalistów przed prześladowaniem ludności rosyjskojęzycznej”. W kolejnych miesiącach instrukcje celem nazywały konieczność zaszczepienia w dzieciach miłości oraz niechęci do Zachodu, „usilującego pozbawić Rosję niezależności”. W końcu utworzono wiele nowych, zrzeszających dzieci, organizacji. Jedną z nich jest paramilitarna Junarmia, Młoda Armia

„kultuwująca patriotyzm i miłość do ojczyzny”. Za przynależność do niej młodzi Rosjanie są nagradzani voucherami na wojskowe obozy sportowe i dodatkowymi punktami, ułatwiającymi dostanie się na wymarzoną uczelnię.

Z czasem okazało się jednak, że to nie wystarczy i trzeba zrewidować podręcznik historii. Z tego nowego, powstałego pod kuratelą byłego ministra kultury Władimira Miedinskiego wynika, że Putin podjął decyzję o rozpoczęciu „specjalnej operacji wojskowej”, by „zakończyć działania wojenne w Ukrainie” i „nie dopuścić do zaatakowania przez nią Rosji”. Sama Ukraina zaś jest „państwem ultranacjonalistycznym”, w którym „wszelki sprzeciw jest surowo prześladowany, opozycja jest zakazana, a wszystko, co rosyjskie, uznawane jest za wrogie”.

Specjalne zajęcia przygotowano też dla uczniów starszych klas. Młodzież jest ostrzegana na lekcjach przed zgubnym wpływem wiadomości z zagranicznych mediów oraz „sterowanych z zewnątrz” niezależnych rosyjskich redakcji. „Globalny przemysł inscenizowanych filmów, wrzutek, fałszywych zdjęć i filmów działa na zasadzie przenośnika taśmowego. Zachodnie sieci społecznościowe i media entuzjastycznie powielają wszelkie »kaczki« informacyjne. Dlatego należy być czujnym”, czytamy w jednej z broszur ministerstwa edukacji.

Nie brakuje rodziców i nauczycieli, których to niepokoi. Dmitrij Zicer, jeden z najbardziej znanych rosyjskich pedagogów, komentował w radiu Swoboda: „To, co widzimy w szkołach, to gwałt. Po pierwsze, gwałt historii, bo akceptowany jest tylko jeden punkt widzenia, refleksja nie jest dozwolona, nawet nie ma możliwości zadania pytania. Ale to nie wszystko. Narzucona wersja historii sprawi, że dzieci zrozumieją, iż nie mają prawa mówić tego, co myślą. Nie będą mogły wątpić. Nie będą miały okazji, by opowiedzieć o swoim represjonowanym dziadku”.

„Władze wybrały bardzo skuteczne narzędzie. Bez względu na to, jak bardzo starasz się w domu, dzieci będą wchłaniać to, co powiedziano im w szkole. I wiadomo, w klasie będą dzieci, których rodzice mają »Z poglądy« i popierają wojnę. Inni rodzice mają małe szanse, by uchronić dzieci przed propagandą” – mówi niezależnemu portalowi Meduza Daria z Kirowa, mama siedmioletnie-

go chłopca. A Jana z Petersburga, której syn uczy się w piątej klasie, dodaje: „Wojna prędzej czy później się skończy, ale czas edukacji mojego dziecka będzie skażony tym gównem. Aż strach sobie wyobrazić, na kogo wyrosną te dzieci”.

Obie kobiety od początku inwazji na Ukrainę uważnie śledzą, co w szkole przyswajają ich dzieci. Tylko że są wyjątkiem. Znaczna większość rodziców nie jest aż tak zaangażowana w edukację pociech. Albo sami wyznają poglądy zbieżne z oficjalnymi.

Skutki wpływu szkolnej propagandy można obserwować już dzisiaj na przykładzie opowieści uczniów, którzy na szkolnych korytarzach mieli okazję obserwować młodsze dzieciaki. „Byłem przerażony. Na lekcje do naszej szkoły przyszedł pewnego dnia żołnierz, który opowiadał nam, że zabijanie Ukraińców jest słuszne. My patrzyliśmy na niego jak na świra, ale maluchy postrzegają wszystko inaczej. W pewnym momencie największym wyzwiskiem na szkolnym boisku stało się: »Jesteś Ukraińcem!«”, opowiada mi Paweł z Jarosławia, siedemnastolatek, który chodzi do II klasy, odpowiednika polskiej 4 liceum.

By tego uniknąć, Wiera z Kostromy, podobnie jak wielu innych rodziców, zdecydowała się przenieść dziecko na domowy tryb nauczania. „Powiedziałam też córce: jeśli zobaczysz męża w mundurze wojskowym, uciekaj! Jeśli ktoś próbuje zapytać cię o Putina lub wojnę, mów, że nic nie wiesz, że nie rozumiesz, co się do ciebie mówi. I pod żadnym pozorem nie mów, co myślisz”.

Bo już nie matematyka, biologia, literatura, informatyka, historia czy fizyka są najważniejsze. Rosyjscy uczniowie muszą przede wszystkim przyswoić dzisiaj wiedzę z „dwójmyślenia”. Nabycie kojarzącej się z niechlebną radziecką przeszłością umiejętności „negacji obiektywnej rzeczywistości” jest dla młodych Rosjan kluczowe. W dobie wojny pozytywna ocena patriotyzmu i wierności to często być albo nie być nie tylko dla uczniów, ale też ich rodzin.

Boleśnie przekonała się o tym Masha Moskalowa, szóstoklasistka z obwodu tulskiego. Dziewczynka krótko po inwazji na Ukrainę narysowała na plastyce antywojenny plakat, opatrując go podpisami: „nie dla wojny” oraz „chwała Ukrainie”. Nauczyciele wezwali policję. Po wielo-

miesięcznych prześladowaniach rodziny dwunastolatkę umieszczono w sierocińcu. Jej ojciec, którego komitet śledczy oskarżył o „dyskredytację rosyjskiej armii”, trafił za kraty.

Rozgłos wokół jej historii przysłużył się innym. By uświadomić dzieci i zminimalizować ryzyko represji, antywojenne nastawienie rodzice zaczęli szukać pomocy u specjalistów. Poskutkowało to wysypem instrukcji na stronach niezależnych mediów oraz organizacji pozarządowych. W jednej z nich, która ukazała się niedawno na łamach Meduzy, czytamy: „Jeśli dziecko wyrazi antywojenne poglądy w szkole, może to doprowadzić do nękania całej rodziny. Warto delikatnie uświadomić dziecko i powiedzieć mu np.: »Jestem po twojej stronie, ale zastanówmy się wspólnie, czy potrzebujemy konfliktów? Owszem, mamy inne zdanie, ale ludzie wokół nie muszą o tym wiedzieć«”.

Nie jest to zresztą dla Rosjan nowość. Ci, którzy wychowali się w ZSRR, pamiętają czasy, kiedy opinia wyrażana w przysłowiowej kuchni, w otoczeniu najbliższych drastycznie mogła różnić się od tej, którą człowiek dzielił się poza domem. Irina z Kostromy, mama trzynastoletniego Jegora, opowiada: „Jeśli będzie jakaś godzina lekcyjna, na którą zostaną zaproszeni żołnierze, którzy brali udział w wojnie, pozwól synowi zostać w domu. W szkole powiem, że jest chory. Jegor już dobrze wie, że żyjemy w tak niezdrowym społeczeństwie, że czasami kłamstwo jest jedynym wyjściem”.

I choć psychologowie są zdania, że „dwójmyślenie” w dłuższej perspektywie obróci się przeciwko rosyjskiej młodzieży, gdyż zasieje w niej nieufność wobec świata, wygeneruje lęk i doprowadzi do życia w ciągłym poczuciu zagrożenia, to podkreślają, że w dzisiejszej rzeczywistości, determinowanej przez agresywną wojenną propagandę, to jedyny sposób, by się uratować. „To umiejętność przetrwania: nie wpuszczać do serca i umysłu tego, co nam nie odpowiada”, tłumaczy mi psycholog kliniczny, który jeszcze nie wyjechał z kraju, więc prosi o anonimowość.

Przez ostatnie półtora roku często udziela wskazówek rodzicom. Z jednej strony chcą oni zabezpieczyć się przed ewentualnymi prześladowaniami, a więc nie dopuścić, by ich dziecko wypowiadało się poza domem krytycznie wobec wojny. Z drugiej, zależy im na tym, by uchronić je przed

6000

• szkół w Rosji nie ma kanalizacji

5000

• szkół w Rosji nie ma ogrzewania



wplywem krwiożerczej propagandy w szkole. „Dzieci często muszą brać udział w akademiach czy wojennych akcjach. Nie wszyscy rodzice mogą pozwolić dziecku, by tego dnia nie poszło do szkoły, dlatego doradzam im, w jakie narzędzia mogą wyposażać dziecko, by mogło sobie w tej sytuacji poradzić”, tłumaczy.

Jakie? Jednym z nich jest dysocjacja. „Można poprosić dziecko, by myślało w tym czasie o czymś innym. Żeby przypomniało sobie

krytycznego myślenia, podsuwając im materiały z różnych, często sprzecznych źródeł. – Chociaż zgodnie z najnowszymi wytycznymi resortu edukacji dzieciom należy wmawiać, że wszystkie doniesienia sprzeczne z oficjalnymi komunikatami władz są „fake newsami”. Ale ja tego nie robię – kwituje. Ale zaraz dodaje, że w kwestii doniesień z wojny zachowuje ostrożność. „Nie manifestuję uczniom poglądów, bo to niebezpieczne. Uczulam ich po prostu, że z punktu widzenia historii nie jesteśmy w stanie podsumować wydarzeń, które nadal trwają”. A przygotowując ich do egzaminów, podczas których paść mogą pytania nie tylko o „specjalną operację na Ukrainie”, ale i ustrój polityczny Federacji Rosyjskiej, doradza: „tutaj należy odpowiedzieć tak i tak, mimo że nie jest to prawda”.

„W ten sposób mogę mówić jednak tylko w klasach, w których mam pełne zaufanie do uczniów”.

I ma rację. W pierwszych miesiącach inwazji media regularnie donosiły o zwolnieniach lub aresztowaniach nauczycieli, którzy odważyli się publicznie sprzeciwić wojnie. Anglistka Irina Gien z Penzy za „szerzenie nieprawdziwych informacji o armii rosyjskiej zgodnie z polityczną nienawiścią” została w sierpniu skazana na pięć lat w zawieszeniu. Przez trzy lata ma zakaz wykonywania zawodu. Podobnych przypadków było więcej. Nauczyciele nierzadko padają ofiarą donosów, które piszą uczniowie lub rodzice.

Z obserwacji socjologów i niezależnych dziennikarzy, przytaczanych przez portal śledczy Ważnyje istorii, wynika, że większość nauczycieli stara się „zachować neutralność”. „Milczą, nie wypowiadają swojego zdania” – skwitowała redakcja. Ale nie wszyscy.

Łatwiej jest z nastolatkami, bo z nimi można rozmawiać bardziej otwarcie. „Uczniom starszych klas należy wyjaśniać, że choć na egzaminach muszą odpowiadać tak, jak się od nich oczekuje, to mogą zachować własne zdanie”.

Tę taktykę stosują nie tylko rodzice i społecznicy, ale też nauczyciele, którzy nie zgadzają się z polityką Kremla. Jekaterina, nauczycielka historii i wiedzy o społeczeństwie w jednej z moskiewskich szkół, przyznaje, że stara się sprowokować uczniów do

kę: „Na jednej z lekcji powiedziała, że »już dawno trzeba było wszystkich zabić w Donbasie«. Zmuszała nas do pisania listów żołnierzom, robienia na drutach skarpet dla zmobilizowanych mężczyzn”.

Od wojny rosyjscy uczniowie, choćby bardzo się starali, nie uciekną choćby dlatego, że coraz więcej szkół, zgodnie z obietnicami Putina, jest przemianowywana na cześć „bohaterów specjalnej operacji wojennej w Ukrainie”. Co najmniej sześćdziesiąt nosi od tego roku imiona poszczególnych „bohaterów”, wśród których są także najemnicy z Grupy Wagnera.

A będzie tylko gorzej. Ministerstwo edukacji w porozumieniu z ministerstwem obrony przygotowuje program, który przygotowuje dzieci do „udziału w działaniach wojennych”. Czyli po prostu na front. Z oficjalnych zapowiedzi wiadomo, że uczniowie mają umiejętnościami dorównać strzelcowi zmotoryzowanemu. „Będą uczeni technik medycyny taktycznej, zapoznają się z pracą łącznika, nauczą obsługi sprzętu wojskowego”, opisuje państwowa agencja informacyjna Ria Nowosti. Putin, odnosząc się do pomysłu wprowadzenia lekcji obsługi dronów, mówił: „Jestem pewien, że, po pierwsze, to zainteresuje dzieci, odwróci ich uwagę od tego, czego nie powinny robić. Po drugie, to może być przygotowanie do obrania profesjonalnej ścieżki kariery, która ostatecznie przyniesie korzyści również krajowi”.

Militaryzacja młodego pokolenia nie skończy się na poziomie szkoły średniej. Od niedawna propaganda rozpanoszyła się także na uczelniach. W tym roku akademickim sporadyczne, nieregularne wykłady patriotyczne zastąpiono obowiązkowym przedmiotem, wprowadzonym na wyraźne polecenie Putina. Na zajęciach z podstaw rosyjskiej państwowości studenci mają „sformować i wzmacnić swoją rosyjską tożsamość oraz rozwijać uczucia patriotyczne”.

84
mld rubli
3,66
mld zł

• będzie kosztował nowy przedmiot „wychowanie patriotyczne”

Ich cel staje się jasny po przejrzaniu materiałów, z którymi zapoznać mają się studenci wszystkich uniwersytetów: to zdemoniowanie Zachodu w oczach młodego pokolenia. Próbką: zachodnie wartości sprowadzają się do

700

• wykładowców odeszło z moskiewskich uczelni, żeby nie uczyć „Podstaw rosyjskiej państwowości”

„osiągnięcia fizycznej nieśmiertelności ludzi poprzez stopniowe przekształcanie naturalnego człowieka w obiekt biologiczny pozbawiony indywidualnych cech fizycznych i płciowych, cech duchowych i moralnych”.

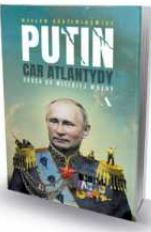
Nie wszyscy wykładowcy potrafią się z tym pogodzić.

Ekonomista Andrij Jakowlew, który od ponad trzydziestu lat wykładał w prestiżowej moskiewskiej Wyższej Szkole Ekonomii, informując o własnej rezygnacji, ujawnił, że w ostatnich miesiącach z uczelni odeszło ponad 700 wykładowców. Powodem exodusu jest zmiana polityki uniwersytetu, która stała się jawnie prokremlowska.

„Biorąc pod uwagę, kto ma teraz największe szanse na dostanie się na studia, niewykluczone, że pierwszy rocznik te wykłady tyknie”, ironizuje wykładowca jednego z moskiewskich uniwersytetów, który prosi o anonimowość. Jego żarcik jest uzasadniony. Dziennikarze śledczy ujawnili w październiku, że na najbardziej prestiżowe uczelnie dostało się w tym roku ponad 800 uczestników wojny przeciwko Ukrainie lub ich krewnych. Na „zwykłe” – około siedmiu tysięcy. „Większość nie zdała egzaminu dojrzałości albo uzyskała bardzo niskie wyniki”, odnotowali dziennikarze. To efekt rozporządzenia, które Putin podpisał latem 2023 r., dającego „weteranom wojennym i ich dzieciom” prawo do bezpłatnych studiów.

„Nie wiem, ile takich osób jest na naszej uczelni, ale z wieloma mam zajęcia. Niektórzy nie znają odpowiedzi na podstawowe pytania, nie potrafią zabrać się do zadań na zajęciach. Najczęściej milczą albo głupio żartują. Nie wiem, po co pchają się na najlepsze uczelnie, ale wkurza mnie, że oni, choć wyrażnie tu nie pasują, studiują bezpłatnie, a ja muszę płacić wysokie czesne, choć dobrze zdałam egzaminy”, narzeka mi Zoja z moskiewskiej Wyższej Szkoły Ekonomii.

Ale dziewczyna szybko odzyskuje humor: „Wiesz, jakie są tego plusy? Moi starzy wcześniej mówili, że ta wojna jest sprawiedliwa. Teraz krytykują Putina, mówią, że jest niepotrzebna, i są wściekli, bo my musimy bulić, a weterani – nie”. •



„Putin, car Atlantydy. Droga do wielkiej wojny”. Nowa książka Wacława Radeckiego już w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.

• Gruzini opozycjoniści z gruzińskimi i ukraińskimi flagami protestują przeciwko wznowieniu połączeń lotniczych z Rosją na lotnisku pod Tbilisi w Gruzji



BOHATER Z KOKTAJEM I TATUAŻEM

Miała Gruzja uciec od Rosji, a teraz Rosja uciekła do Gruzji
przed linią produkcyjną ofiar wojny

Ziemowit Szczerek

Trochę nie było wiadomo, jak tu z ludźmi rozmawiać. Gruzinińskiego nie znam, więc odpada. Można, oczywiście, po angielsku, ale tu rosyjski wisi w powietrzu i dziś, w 2023 roku, wisi nawet jakoś bardziej niż, powiedzmy, za Saakaszwilego, kiedy to montowano, gdzie się dało, napisy po angielsku i angielską transkrypcję, żeby się od tego rosyjskiego odciąć. Policyjne samochody, urzędy, znaki drogowe – wszędzie angielskie tłumaczenia. Teraz to wszystko pozostało, cały ten ostentacyjny zwrot Gruzji ku zachodniemu światu, aby dalej od cyrylicy i słowiańskiego zaśpiewu, ale jakieś takie przykurzone. Rosyjski wraca, i to wraca w wielkim stylu, choć wielu mówi, że lepiej, mimo wszystko, nie startować do Gruzynów po rosyjsku, bo oni znów mają serdecznie dosyć panoszenia się języka rosyjskiego na swoich ulicach.

No cóż, można to zrozumieć. Szczególnie w Tbilisi: tu faktycznie rosyjskojęzyczny wysyp. I większość tych rosyjskojęzycznych to młodzi. Jeszcze kilka lat temu było tak, że mówili w tym języku głównie starzy. Do młodych lepiej było po angielsku. Nie że po rosyjsku nie rozumieli, ale jednak jeśli mieli wybierać, to raczej nieruski. Jakoś Gruzja, to było czuć, chciała się odciąć od tej sowieckiej estetyki, w skład której wchodził, cokolwiek by mówić, ten język. A zawsze jej się to odcinanie udawało: o ile wszędzie wokół, w Rosji, na Kaukazie Północnym, nawet w Armenii, ten sowiecki, ciężki vibe odciskał się mocno, na czym się dało, na estetyce życia, na kulturze codzienności, na krajobrazie kulturowym, to w Gruzji – stosunkowo najmniej. Tu za-

wsze było uliczne życie, kultura wina, biesiady, zresztą nawet sowiecka architektura w Gruzji wydaje się jakaś lżejsza niż gdzie indziej. Wieżycy z gwiazdami bardziej strzeliste, arkady smuklejsze, bariery bardziej ażurowate. I po tym, jak Saakaszwili wyrwał Gruzję z korzeniami (wydawałoby się) z postsowieckiej, zreformował policję i urzędy, poodnawiał starówki (a właściwie je zreinterpretował) i ogólnie nadał państwu zachodni sznyt – wyglądało na to, że tak już zostanie.

A tu cóż: pozmieniano się. Saakaszwili najpierw zaczął wariować i nadużywać władzy. Potem przegrał wybory z partią Gruzinińskie Marzenie Bidziny Iwaniszwilego, oligarchy i najbogatszego Gruzina, który zbudował sobie nad Tbilisi pałac wyglądający jak siedziba Sknerusa McKwacza nad Kaczogrodem i którego podejrzewano o związki z Rosją. I za to nadużywanie władzy musiał Saakaszwili uciekać z kraju, bo groziło mu więzienie. Potem, po efektownym tournée, m.in. po USA i Ukrainie, wrócił do kraju – i cóż: poszedł do więzienia.

WOJNA NA NAPISY

A przede wszystkim do gry wróciła Rosja. I wrócili do Gruzji Rosjanie. W dość zaskakującej, co prawda, formie, bo nie na tankach i BTR-ach, tylko przed nimi uciekając. Ale wrócili. Wiali przed poborem: jesienią zeszłego roku pojawili się masowo na przejściu granicznym w Wierchnim Larsie, na trasie do gruzińskiej Stepancmindy (dawniej Kazbegi), i dopływali po kolejnych falach mobilizacji, w ramach których wywlekano młodych Rosjan z domów, by wtłoczyć ich w mundury, zapuszkować w czołgi i wysłać na linię produkcyj-

ną ofiar wojny, do Donbasu czy nad południowy Dniepr.

Pelno ich teraz w Tbilisi. Imprezuja, siedzą po kawiarniach, flaneurują po ulicach w oberdandysowskich ciuchach, jeden, na przykład, wszedł do sklepu, w którym kupowałem papierosy, w szlafroku na gołe ciało, niby że taki Dude z „Big Lebowski”, i w jakichś ultrahip tenisówkach. A innego widziałem, jak w kapeluszu, długim płaszczu i z podkreśnionym wąsem biegł po Rustawelaku w kłapkach adidasa na gołe stopy. No więc tak, alternatywy i alternatywy. Najwięcej jest, oczywiście, normalistów. Jest trochę gopników w dresach, ale niewielu. To sprawa, co poradzić, klasowa. Biednych gopów z chruszczówek nie stać jest na długie miesiące mieszkania poza krajem, poza swoim miastem, miejscem, w którym mogą zarobić na życie. Wracają więc do Rosji, często idą w kamasze i w tych kamaszach umierają. Wiele tych tbiliskich Rosjan to specjaliści od IT, „ajtisznicy”: pracują zdalnie, dobrze zarabiają, mają kasę. Mają tu swoje knajpy, swoje imprezy. Śmigają po mieście, przemkają, głośno rozmawiając po rosyjsku, pod murami, na których powypisywane jest, na przykład, że „fuck Putin”, że „Putin penis”, że „Ruzians go home”. Że, jak na ulicy Dawida Budowniczego, „żaden Rosjanin nie jest mile widziany: ani dobry, ani zły, ani brzydki”. Albo że „jeśli jesteś dobrym Rosjaninem, to wyjedź z Gruzji”. Rzadko się zdarzają na murach bardziej empatyczne przekazy jak na przykład ten na ulicy Dodo Abaszidzego, mówiący: „Do brzy z was ludzie, tylko pochodzicie ze złego miejsca”. Jakiś wzruszony Rosjanin dopisał tam „dzięki za zrozumienie”. Ale ktoś inny, mniej zapewne wzruszony, przekreślił te podziękowania zieloną farbą.

No więc tak. Wydaje się, że Gruzini mają Rosjan serdecznie dosyć.

WIZA DO KNAJPY

– Przeszkadzają – mówi Gia, właściciel knajpy przy ulicy Króla Herakliusza w Tbilisi. – Ceny nieruchomości podskoczyły tak ze trzy-cztery razy, ludzi nie stać. A ci Rosjanie, często bogatsi od przeciętnego Gruzina, kłują w oczy. Swoim stylem życia, tym, że cały dzień po knajpach siedzą.

No tak. Siedzimy z Gią, a wokół wszystkie stoliki pyłują po rosyjsku. Idę do toalety – trzeba czekać, bo zajęta. Czekam, czekam, a tam ze środka kilka rosyjskich głosów. Już się domyślam, o co chodzi, i mam rację: gdy w końcu drzwi do toalety się otwierają, to wychodzi ich stamtąd trzech: jeden głośno pociąga nosem, a dwóch jeszcze się trzyma za te nosy.

Jest w Tbilisi lokal, do którego Rosjan nie wpuszczają. Nazywa się Dedaena. To znaczy – niby wpuszczają, ale każdy Rosjanin musi przed wejściem wypełnić „wizę” na stronie internetowej Dedaeny, żeby się opowiedzieć, po której stronie wielkiego konfliktu Rosja – Zachód się znajduje. Że zgadza się z tym, że Rosja jest państwem agresorem, i tak dalej. Rosjanie się wściekli, że się ich dyskryminuje: nakręcili parę reportaży, że to rasizm i faszyzm, rozkręcili falę ataków w internecie, ale nic nie wskórali. W efekcie po prostu ich tam nie ma. Zarówno tych proputinowskich, jak i antyputinowskich. Proputinowskich z wiadomego powodu, a antyputinowskich – cóż, komu się chce upokarzać i prosić o wizę, żeby pójść do knajpy. Już nawet nie biorąc pod uwagę prostego faktu, że są lepsze. Ale ja poszedłem zobaczyć. Dziwna sprawa ta Dedaena. Niby wszystko z ryczem, oblepione proukraińskimi hasłami i tak dalej, ale dziwnie się czułem, patrząc w kamerę przy wejściu i przekonując po angielsku cerbera, że nie jestem Rosjaninem i nie po-

W Gruzji nawet posterunek i policyjne samochody miały napisy po angielsku, a teraz rosyjski wraca w wielkim stylu

trzebuję wizy. Okej, wpuścili mnie, dali pieczętkę na przegub dłoni, w środku było całkiem sympatycznie i tłoczno, zresztą – faktycznie jedyne miejsce w mieście, gdzie Gruzini mogli sobie pogadać z samymi Gruzinami po gruzińsku, czasem jeszcze z innymi nie-Rosjanami po angielsku, ale czułem się trochę nieswojo. Miałem wrażenie, pewnie mylne, ale silne, że wszyscy się gapią na moją wybitnie niegruzińską fizjonomię, oceniając, czy jest słowiańska, czy niekoniecznie, a jeśli słowiańska, to czy zachodniosłowiańska, czy wschodniosłowiańska, a jeśli wschodniosłowiańska, to czy, powiedzmy, rosyjska, czy może ukraińska i tak dalej, słowem – wypilem swojego szprycera, pogadałem z kilkoma osobami przy barze i wyszedłem. Niby wszyscy okej, gruzińska alternatywa i posthipsterka, niby można zrozumieć zmęczenie rosyjskością, ale wychodząc – poczułem ulgę.

ŚŁAWA KARAOKE!

No więc tak, na pewno w Dedaenie warto zagadywać po angielsku, a nie po rosyjsku, ale poza Dedaeną to już wcale tak nie wygląda. To może zaskakiwać po tych wszystkich zakłękciach typu „Rosjanie do domu”, „Nie chcemy tu was”, ale nawet sami Gruzini, gdy widzą, że ktoś wygląda jak nie-Gruzin, zagadują raczej po rosyjsku. Nawet młodzi. Nawet ten sam Gia, który mi na Rosjan narzekał, sam w swojej knajpie do nich przepijał po rosyjsku. Ba, ze mną też po rosyjsku rozmawiał, choć zapewniał, że angielski zna. Ba, opowiadał, jak to dwadzieścia pięć lat w Moskwie żył i jak to był najlepszy czas jego życia. No, może nie najlepszy, ale jeden z lepszych. Operatorem był, redaktorem był, znanego, podobno, pisma, ba całą Moskwę poznał, cały moskiewski mond, ba, cały świat jako ten reporter zwiedził, mówił, od Czeczenii po Timor Wschodni.

No więc tak, z Gią gadałem po rosyjsku i on po rosyjsku na Rosjan narzekał, a jednocześnie co chwila do nich zagadywał i kawały im opowiadał o Ormianach i owcach.

I ogólnie tak to wyglądało, że gdy na początku każdej rozmowy pytałem rozmówcę, czy woli po rosyjsku, czy po angielsku, to jednak większość wybierała rosyjski. Tbilisi jest trochę rozdarte: na ulicach antyrosyjskie napisy, a Gruzini jednak rzadko odmawiają mówienia po rosyjsku. Ale trzeba pamiętać, że ci Rosjanie w Tbilisi też są specyficzni: prawdę mówiąc, o wiele trudniej trafić na proputinowca niż antyputinowca.

Na przykład w takiej knajpie Koszini przy ulicy Giorgiego Achwledianiego, zdominowanej, a jakże, przez Rosjan – wieczór karaoke. Śpiewane są piosenki zachodnie, rosyjskie, ale raczej takie z klasą, a jeśli jakiś pop – to ironicznie. Gdy na zawieszonym na ścianie ekranie pojawia się, zupełnie przypadkowo, rzucona z komputera żółto-niebieska grafika interfejsu programu do karaoke, część sali zaczyna krzyczeć „śława Ukrainie” i odpowiada sama sobie, że „gierojom śława”. Dziwnie brzmi to „gierojom”, jestem przyzwyczajony do tego, że „śława” w tym kontekście to raczej jednak „herojam”, ale można się przyzwyczaić. No więc część wznosi te okrzyki, ale część wymownie milczy. Muzyka cichnie. Chwilę później imprezujący zbierają się przy jednym ze stolików i zaczyna się na-

rada, czy powinno się krzyczeć o tych gierojach, Ukrainie i ślawie, czy jednak to trochę przesada, bo okej, Putin, wiadomo, chujło, ale wojna to wojna, tragedia i dramat, a nie powód do wesołego pokrzykiwania. Jak to w takich sytuacjach bywa – żadne wspólne wnioski nie zostają wyciągnięte i część wraca do pokrzykiwania, a część do milczenia.

Kończy się cała impreza odśpiewaniem piosenki, w której powtarzają się słowa: „Moja Rosja siedzi w więzieniu”, a w refrenie śpiewa się, że „to minie”, To „to”, oczywiście, to Putinowski reżim.

Ale w tej całej „rusyfikacji” Gruzji nie tylko o Rosjan chodzi.

DEMON PROTESTÓW

Gruzini narzekają, że państwo im się rusyfikuje. Pod względem jakości polityki, polity, prawa. I tak dalej. Że rząd Gruzjińskiego Marzenia zbytnio ulega Rosji. Że się Rosji boi. Że Rosjan z tego strachu wpuszcza. Że przywraca połączenia lotnicze z Rosją. Ba, że rosyjskie prawa wprowadza. Na przykład jak w marcu tego roku, gdy Gruzjińskie Marzenie próbowało wprowadzić kopię rosyjskiego prawa o „zagranicznych agentach”, w myśl którego wszystkie organizacje pozarządowe, które w ponad 20 procentach polegają na finansach pochodzących z zagranicy, miałyby się jako tacy „agenci” zarejestrować. Wtedy właśnie w Gruzji wybuchły słynne „ulica i zagranica”, duet, którego się boją wszystkie dyktatury: Gruzini, szczególnie młodzi, wyszli na ulice, a zagranica, czyli Zachód – ich wsparły. Ba, zbuntowała się przeciw własnemu rządowi prezydentka, która do wyborów szła pod sztandarem Gruzjińskiego Marzenia, Gruzinka z francuskiej diaspory, która dawniej pracowała we francuskim MSZ, Salome Zurabiszwili. Rząd z podkulonym ogonem się z propozycji reform wycofał, ale się obraził. Na „ulicę” (poszła retoryka, że przeciw rządowi wystąpili „młodzi, zepsuci sataniści, nienawidzący trady-

zy koktajlami Mołotowa. I że był to właśnie Lazare Grigoriadis. Na opublikowanych przez policję filmikach ze zdarzenia widać, że faktycznie ktoś coś rzuca, to coś potem się rozpala i że jest to jeden typek, ale czy akurat Grigoriadis – trudno powiedzieć. To on w każdym razie został demonem tych protestów: policja i władza upierają się, żeby zrobić mu pokazowy proces i skazać, „ulica broni go i przypomina o szerszym kontekście wydarzeń. Kto, w końcu, jest bardziej winny: władza próbująca zamknąć społeczeństwu usta czy młodzi ludzie, którzy z nią walczą, tak jak umieją? Policja jest, to mało zaskakujące, oskarżana o to, o co zazwyczaj jest w takich wypadkach oskarżana policja. O wymuszanie zeznań, fizyczne i psychiczne znęcanie się nad podejrzanym, a władza – o demonizowanie chłopaka publiczne, i to według mocno konserwatywnej moralności, kropka w kropkę takiej, jaka obowiązuje w Rosji i innych krajach autorytarnego konserwatyzmu: że się „wykoleił”, że ma tatuaże, w tym na twarzy, że nosi kolczyki, że ma utlenione na blond włosy.

Jego ojca, Bekę Grigoriadisa, można prawie codziennie spotkać pod gruzińskim parlamentem, w miejscu, w którym odbywały się protesty. On też protestuje: kazał sobie zaszyć jedno oko. No i usta. Ale mimo tych zaszytych ust mówi. Dziwne to sprawia wrażenie. Mówi dużo, mruczy, a do tego jeszcze nerwowo ssie tkwiący mu w ustach węzeł nici. Trudno od niego oderwać oczy. Jest niski i krępy, łysy, mówi, że będzie tutaj stał tak długo, aż władze przestaną robić z jego syna kozła ofiarnego. Że sprawę Lazarego można było załatwić w try miga, a nie trzymać go już od ponad pół roku. Że, ba, policja nawet jego samego prześladuje. – Parę dni temu – mówi mi, ssąc ten tkwiący mu w ustach węzeł – podszedł jakiś prowokator i zaczął coś wrzeszczeć. Chciałem go wyprowadzić z tego miejsca, żeby nie robił szumu, bo nie wiadomo, co z tego mogłoby wynikać, ale policja, która o, tam siedzi – Beka wskazuje policyjny radiowóz zaparkowany przy alei Rustawelego, ja macham po-

skiego uniwersytetu zajmujący się sprawami międzynarodowymi i ekspert od polityki Kaukazu Południowego. – I dobrze, że się z niego wycofali. Cóż, trzeba przyznać: Gruzjińskie Marzenie boi się Rosji, to fakt. Prezydentka to trochę inna sprawa: jest córką francuskich emigrantów, ma bardzo silne stanowisko wobec Związku Radzieckiego czy rosyjskiego imperium, dzięki temu jest lubiana przez naród, ale rząd jej nie cierpi, uważa, że pomagając jej zostać prezydentką, wyhodował sobie żmiję na piersi. No ale cóż: rząd się boi. I jest w tym jakaś racja, żyjemy w bardzo niebezpiecznym otoczeniu międzynarodowym, Rosja wisi nad nami cieniem, jej wojska stacjonują czterdzieści pięć kilometrów od Tbilisi... Być może rząd boi się za bardzo, a proszę zwrócić uwagę: w zasadzie można by powiedzieć, że w sprawie Ukrainy są po prostu neutralni. Ale w dzisiejszych czasach już sama neutralność de facto oznacza bycie prorosyjskim.

Siedzimy z Mchedliszwilim w knajpce przy placu Mardżaniszwilego. Wystarczy się rozejrzeć po okolicznych ulicach, by na ścianach dostrzec żółto-błękitne flagi i napisy „Slava Ukraini”.

– Naród neutralny nie chce być – zauważam.

– Nie cały. Rząd sprzedaje narrację pokoju, bezpieczeństwa i na razie sondaże wskazują, że to działa, więc nawet jeśli by chcieli zmienić narrację na inną, to po co zabijać mleczną krowę? Znam tych ludzi, z racji wieku, zawodu, mogą pana zapewnić, że polityk X a obywatel X to dwie różne osoby z różnymi poglądami. W tym na Rosję. Ale polityk X wybierze bezpieczeństwo niezależnie od tego, co prywatnie myśli jako obywatel X.

– Mimo tej gruzińskiej zachowawczej polityki Rosja właśnie instaluje wielką morską bazę wojskową na terytorium Abchazji, którą Tbilisi i reszta świata poza Rosją i jej sojusznikami uważają za część Gruzji – zauważam. – Może więc nie do końca jest sens taką prowadzić?

– Cóż – rozkłada ręce Mchedliszwili – Rosja nie uważa Gruzji za prawdziwie niezależny kraj.

– Czyli wystarcza trzymanie w strachu. – Tak – odpowiada Mchedliszwili i szeroko się uśmiecha.

Obok ogródka, w którym siedzimy, przechodzą młodzi Rosjanie. Jeden z nich ma na ramieniu naszywkę mówiącą „Niet wojnie”. Naszywkę, którą bałby się nosić w Rosji, ale której nie boi się nosić w Gruzji. Jeszcze.

– A czy oni, wszyscy ci młodzi Rosjanie – zacząłem z wahaniem – nie przyczyniają się w jakiś sposób do pelzającej rusycyzacji Gruzji? Nie mówię nawet o rusyfikacji językowej, ale po prostu o trzymaniu jej w sferze rosyjskich problemów, a więc i strefie wpływu...

– A skąd – mówi Mchedliszwili. – To przecież tylko trzy procent gruzińskiego społeczeństwa, dobrze zarabiają, a więc jednak przysługują się gospodarce, jak to punktuje rząd. Ale fakt, uważam, że Gruzja ma prawo ograniczyć liczbę Rosjan. Bo w końcu – uśmiecha się – nawet jeśli zrywają te litery Z z samochodów, gdy tu wjeżdżają, to tak naprawdę dla czego jadą do Tbilisi, stolicy „wrogiego kraju”, jak to było jeszcze niedawno głoszone, a nie na przykład do Suchumi w Abchazji, którą przecież sami od tej złej Gruzji wyzwolili? ●

Poszedłem do knajpy, do której nie wpuszczają Rosjan, i czułem się dziwnie – wszyscy na mnie patrzyli

cji, Kościoła i porządnej, opiekuńczej władzy”, „piąta kolumna” i tak dalej) i „zagranicę”, głównie w postaci prezydentki, którą uznano za zdrajczynię i trwają przygotowania do przeprowadzenia jej impeachmentu.

Bohaterem tym protestów stał się młody chłopak Lazare Grigoriadis oskarżony o to, że podczas gdy policja rozpędzała protesty armatkami wodnymi i gazem łzawiącym, aresztowała „ulicę” i ogólnie eksten-sywnie stosowała środki przymusu bezpośredniego, rzucił na policyjne radiowo-

licjantom, a oni ze środka odmachują – to właśnie mnie się czepiła i to mnie aresztowała. I mnie trzymali „cztery osiem”. To już nie jest żadna demokracja, to państwo policyjne! Jak w Rosji! – mówi, a grupka ludzi, która stoi wokół niego, robi mu aplauz.

POLITYKA STRACHU

– No cóż, to prawo o agentach zagranicznych to był skrajnie idiotyczny błąd – mówi George Mchedliszwili, profesor tbili-

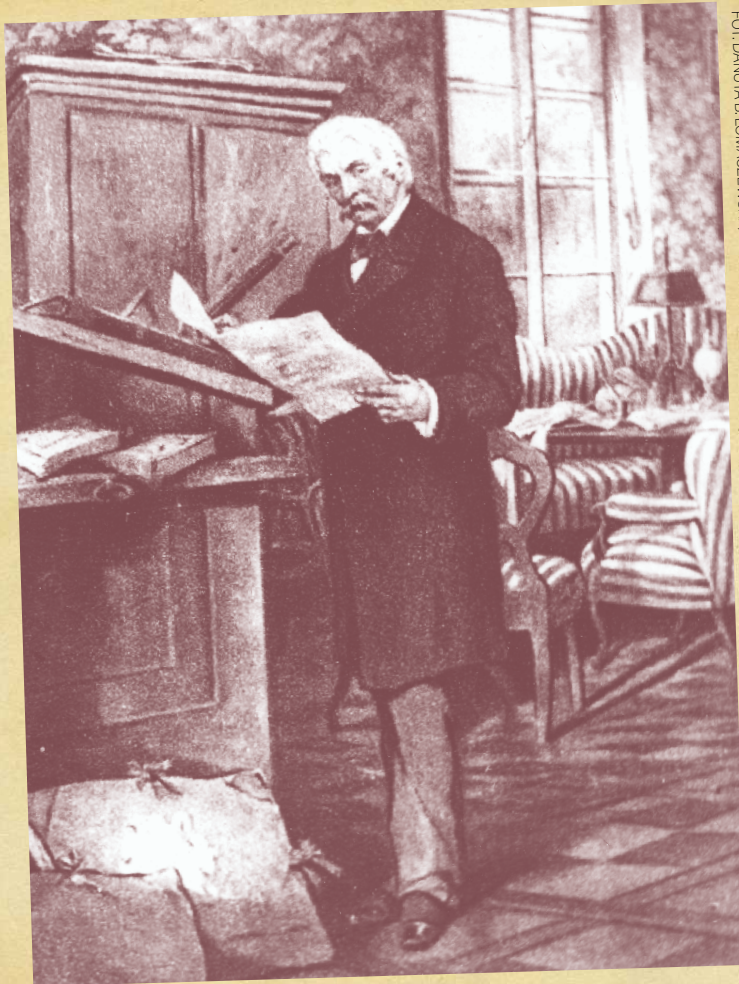
Niechże będzie
dziś wesele,
Równie
w sercach jak
i w dziele (...).
Tak jest, zgoda,
A Bóg wtedy
rękę poda.

Kto na hasło „Aleksander Fredro” reaguje automatycznym wspomnieniem powyższego zakończenia „Zemsty” – a jest nas większość – może wyrobić w sobie obraz autora jako dobrodusznego optymisty, nauczyciela narodu, człowieka łatwych, egzaltowanych uniesień i pozytywnych finałów. I dla wielu – co sprawdziłem, rozpytując w rozmaitych gronach, także sąsiadów na porannym spacerze z pieskiem czy towarzyszy podróży w pociągu do Krakowa i warszawskim metrze – Fredro naprawdę jest autorem tej tylko komedii. A przecież w samej Warszawie można choćby w tej chwili zobaczyć również „Męża i żonę” w reżyserii Krystyny Jandy, w bardzo atrakcyjnej obsadzie (bracia Hyncnarowie, Maria Dębska, Małgorzata Kożuchowska). Łatwo znaleźć w domowych wideotekach ekranizację „Ślubów panieńskich” w reżyserii Filipa Bajona, w archiwach Teatru Telewizji „Damy i huzary” Olgi Lipińskiej z wielkimi Bronisławem Pawlikiem, Markiem Walczewskim, Janem Kobuszewskim, Danutą Szaflarską, Ryszardą Hanin, Zofią Kucówną...

Dla wielu z nas, także dla mnie, niemałym zaskoczeniem był więc w dawnych już czasach tytuł książki Jarosława Marka Rymkiewicza z 1977 roku – „Aleksander Fredro jest w złym humorze”. I pierwsze jego zdania:

Bywał często w złym humorze. Mówią o tym pamiętniki rodziny Fredrów i wspomnienia współczesnych. I mówi o tym – i to nawet dość chętnie – sam Fredro. Można się dowiedzieć z tych relacji, że ten zacny przecież człowiek, wybuchając gniewem, ciskał talerzami w służbę i potrafił trzasnąć w pysk ordynansa. Czego – wypada tu jednak dodać – potem żałował. I można się dowiedzieć, że ten czuły mąż i kochający ojciec, i najlepszy dziadek – życie rodzinne ceniący przecież nade wszystko i w życiu rodzinnym prawdziwie szczęśliwy – zamykał się (pewnie uprzednio trzasnąwszy drzwiami) we własnym pokoju i całymi dniami, a może i tygodniami nie odzywał się do żony i dzieci”. Skłonności do tego – dopowiada Rymkiewicz – objawiły się, jak się zdaje, już we wczesnej młodości. „Uspokojenie moje ciche – pisał dramaturg w autobiografii – spokojne, niemal poważne; umysł więcej do smutnych dumań niż do pustej wesołości skłonny zyskał mi w rodzinie przydomek młodego »staruszka«”.

Nie był aniołem – wspominała go żona – ale był dobrym człowiekiem. Jako człowiek ulegał namiętnościom, pokusom, słabościom ludzkiej natury. Skazany od młodości do grobu na dwie ciężkie choroby: podagrę i hipochondrię, nie umiał znosić cierpienia z cierpliwością i poddał się, bo nikt go nie nauczył dźwigania



FOT. DANUTA B. KOMACZEWSKA/EAST NEWS

200. urodziny Aleksandra Fredry

KOMEDIA LUDZKA

Uzmysłowiłem sobie,
jak pan Jowialski ze sztuki Fredry
przypomina mi bliskiego mężczyznę
z początkami
choroby Alzheimera

Jarosław Mikołajewski

krzyża. Nie umiał oceniać dobrego, ach, tak dużo dobrego, czym Bóg pobłogosławił całe życie jego... bo hipochondria, ta truczna dusza, krok w krok mu towarzyszyła, każdą przeciwność tłumaczyła jak niezasłużoną chłostę, a żalobny kir rzucała na wszystko, co było dobre, na życie domowe, na powodzenie i wykształcenie dzieci, na sławę literacką, na majątek wzrastający... We wszystkim widział tylko stronę ujemną”. I tu rzecz specyficzna: „Nienawiści nie znał prócz tej, którą mu serce napelniali ludzie sięjący ziarno socjalizmu...”. Socjalizmu? – pytam. Dlaczego? Czyżby z tej samej niechęci do Hegla co u Norwida?

„Jeśli mi Polska ma być anarchiczną, Lub socjalizmu rozwinąć pytanie, To już ja wolę tę panslawistyczną, Co pod Moskałem na wieki zostanie!”. Jeśli przywołuję Norwida, to także po to, by odtwarzając wizerunek Aleksandra Fredry, określić towarzystwo literackie, w którym się obracał, i rangę, jaką miał w swoich czasach i środowisku pisarskim. „Najskończenniejszym poetą polskim – pisał bowiem Cyprian Kamil Norwid w „O tłumaczeniach z Byrona” – jest nie Mickiewicz, Zygmunt, Juliusz etc., etc., ale F r e d r o”. I jeśli opinia ta mało mnie dziwi, to dlatego, że znam zasady brawuro-

wych deklaracji pisarzy, którzy miewają ochotę rzucić w egzaltacji śmiały osąd, zaskakujące porównanie, pod wpływem chwilowego wzruszenia wyniesionego do rangi Boskiego wyroku.

Lecz przypominam również, że całkiem niedawno podobnie szalony mógł wydawać się osąd tych, którzy laureata Nagrody Nobla ujrzeli we włoskiem komediopisarzu i aktorze Dariu Fo.

A przecież Fredro był autorem cenionym przez samego autora „Pana Tadeusza”. Eustachy Januszkiewicz przywoływał w liście pewne paryskie spotkanie: „Adam był w pełnej swobodzie i głośno mówił o zaletach komedii Fredry, a to z taką prawdą i pochwałą, że pocziwy autor »Dam i huzarów« rozczulony był do głębi duszy”. „Niedługo potem – pisze w swojej znakomitej biografii Barbara Laskowska – Mickiewicz przyjął zaproszenie autora „Zemsty” i zjawił się w ich już drugim paryskim mieszkaniu przy Rond Point des Champs-Élysées. Miał już wychodzić, gdy Ojciec mnie zawołał – zanotowała we Wspomnieniach Zofia [córka Aleksandra, jm]. Był słuszniejszy o pół głowy od Ojca mego, miał na sobie długi, granatowy surdut i kapelusz i laskę w ręku. Ojciec mnie przyprowadził przed niego: „Żebyś pamiętała całe życie, żeś widziała Mickiewicza!” i dodał, znać nie bardzo pewnym będąc stopnia wykształcenia swej córki: „Tego, który „Grażynę” napisał, wiesz?” O bliskości poetów świadczy wreszcie i obecność Aleksandra Fredry na pogrzebie żony Mickiewicza, Celiny.

Niedługo potem – pisze w swojej znakomitej biografii Barbara Laskowska – Mickiewicz przyjął zaproszenie autora »Zemsty« i zjawił się w ich już drugim paryskim mieszkaniu przy Rond Point des Champs-Élysées. »Miał już wychodzić, gdy Ojciec mnie zawołał – zanotowała we »Wspomnieniach« Zofia [córka Aleksandra, jm]. – Był słuszniejszy o pół głowy od Ojca mego, miał na sobie długi, granatowy surdut i kapelusz i laskę w ręku. Ojciec mnie przyprowadził przed niego: „Żebyś pamiętała całe życie, żeś widziała Mickiewicza!” i dodał, znać nie bardzo pewnym będąc stopnia wykształcenia swej córki: „Tego, który „Grażynę” napisał, wiesz?”«. O bliskości poetów świadczy wreszcie i obecność Aleksandra Fredry na pogrzebie żony Mickiewicza, Celiny”.

Pytam Krystynę Jandę, która reżyserowała ostatnio – jako się rzekło – „Męża i żonę” w Teatrze Polonia, przed kilkoma laty „Damy i huzary”, przed kilkunastu – „Śluby panieńskie”, jak to jest reżyserować Fredrę. Co z jego dowcipem, architektonicznym talentem. Czy są w jego komediach konstrukcyjne niedoskonałości, które wymagają inscenizacyjnego cerowania, sztukowania?

– Nic! – krzyczy artystka z miłością. – Fredro jest doskonały. Nie wolno w nim ruszać niczego! Nic, tylko grać. Wszystko płynie tam naturalnie, logicznie... Lekkość, dowcip, dialogi prowadzone średniówką.

– Średniówką? – dopytuję i od razu przypomina mi się fragment pamiętników pana Aleksandra, czyli „Trzy po trzy”: „W Krasnym Stawie mieszkalem razem z podporucznikiem Jakubem Nowickim, który miał służącego Franciszka. Razu jednego wzięłem wstępny bojem (necessitas frangit legem) pewną nieodzowną, acz tylko płócienną część ubioru, którą to słoić nie zwykło oglądać. Kiedy zaś kolega uporczywie upominał się o zwrot swojej własności, napisałem wierszyk pod tytułem: Żale Jakuba nad utratą g.i. Zwrotki kończyły się powtórzeniem: »Franciszku! Gdzież g... i moje?«. Ta poezja zrobiła w pułku furorę. Ale jeden z kolegów, Dąbrowski (zginął pod Możajskiem) wzięł mnie na stronę i zwrócił moją uwagę, że w kilku wierszach nie ma średniówki. — »Średniówki?... Co to średniówka?« — zaapytałem. Dąbrowski wytłumaczył i to była pierwsza oraz jedyna nauka rymotwór-

stwa, którą w życiu otrzymałem. Uzbrojony w średniówkę, rzuciłem w świat parę kawalków, których tytułu powtórzyć nie mogę, a których sława przeszła krańce nawet pulku. Później we Francji spróbowałem rodzaju uczuciowego — napisałem do Ludwika Jelskiego ładny wierszyk zaczynający się:

Miłość jest równie
Bujna topoli.
Wzrasta gwałtownie
Na miękkiej roli.
Ale kiedy razu jednego zacząłem deklamować w gronie kolegów, jeden z nich, gbur nieokrzesany, dodał zaraz do mego pierwszego wiersza »Miłość jest równie« — swój rym arcynieczysty, co mnie tak zbiło z terminu, że na długi czas dostałem wstrętu do uczuciowego rodzaju”.

Jeżeli ktoś ma nabożny stosunek do opowieści o rodowodzie własnego lub cudzego natchnienia albo o tajnikach kunsztu, jaki pisarz musi w sobie wypracować, by napisać pierwszą książkę, niech wie, że Aleksander Fredro nie miał w sobie nic z tego nabożeństwa. Żadnej autocelebracji. Oto bardzo szczegółna deklaracja poetyki i natchnienia, jaką autor „Zemsty” pozostawił w wierszu „Pro memoria”. Posłuchajmy tej krótkiej autobiografii literackiej, która zabawnie i gorzko opowiada o jego pisarskim „powołaniu”.

Wyjechaliśmy razem nie z równych pobudek,
Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.
Tęskniłem za obozem... nudziłem się przeto,
I ażeby coś robić, zostałem poetą. —
— Poeta!... Tam do licha!... To Panie nie żarty!
Byłeś przynajmniej silną nauką podparty?
Ach gdzież tam!... Byłem sobie ot

szesnastoletnim
Pośród dwóch guwernerów nieukiem
kompletnym;
Nigdy mi się nad książką nie zmarszczyło czoło,
Trąbka myśliwska w kniei była moją szkołą:
A kiedy niespodzianie zafurknął proporzec,
W to mi graj!... Żegnając rodzicielski dworzec,
Żegnając biblioteki zacisze spokojne,
Z radośném uniesieniem ruszyłem na wojnę.
A gdym przedeptał obręcz i prysku i lodu
Moskwy, Paryża, Wiednia od grodu do grodu;
Za sześciomiesięcznym w niewoli popasem,
Wróciłem z niezwiększonym nauki zapasem.
Wróciłem, prawdą mówiąc, bez celu do kraju,
Lecz z pękiem doświadczenia różnego rodzaju.
Razu jednego, kiedy w malignie zasnąłem
Wpadł mi palec w kałamarz i pisać zacząłem;

Oczywiście komedią, której bez nauki
Lecz na najpierwszych scenach pojąłem
treść sztuki;
Pisałem więc z tą wieku młodego odwagą,
Co się często dla drugich ciężką staje plagą.
Chciałem zasięgać rady... ale na me nogi
Literackich świeczników za wysokie progi;
I jeśli się zbliżyłem bijąc kornem czołem,
Tak czy siak, koniec końców zawsze
szczętka wzięłem.
U jednego trzy akty ledwie wyżebrałem,
Bo swoje bajki z ciągłym wygłaszał zapalem;
A finalnie półgębkiem skończył na odprawie,
Że podobnych Geldhabów nie mamy
w Warszawie.

Drugi zaś nieruchomy klasyk ostrocuty,
Który z téj saméj jednéj zawsze śpiewał nuty,
Dał wyrok, że zły papier, atrament za błady;
I ani słowa więcej. — Szukajże tu rady!...
Nie wiedząc już nareszcie, jak poradzić sobie,
Z najmędrszym Gramatykiem skromny
układ robię:

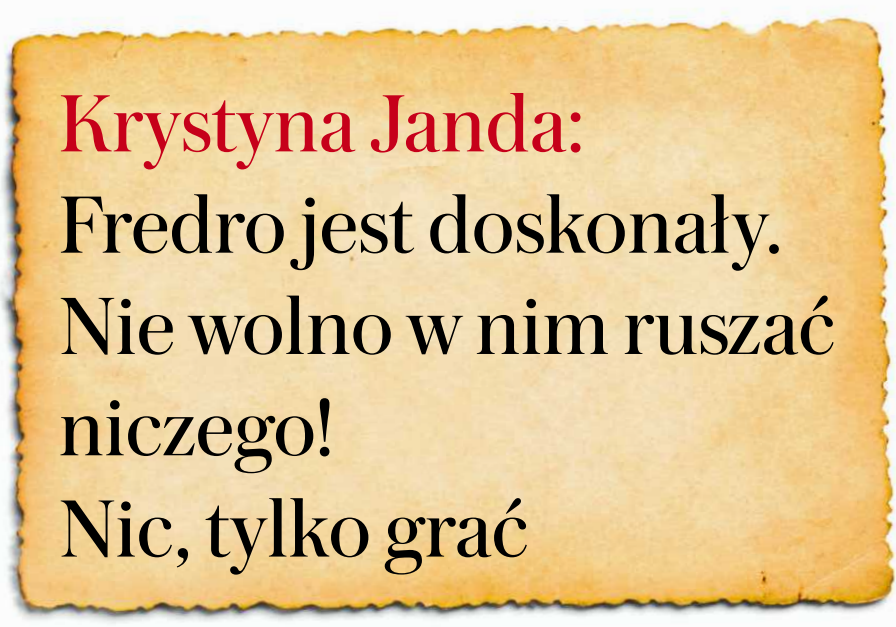
Darowałem mu pisma, ażeby poprawił,
Potem wydał... a sobiem wawrzyny zostawił.
Mędrzec wziął, co chciał. A ja musiałem
bez swatów
Uratować wawrzyny za dziesięć dukatów.
Po takich próbach, których cząstki tu
nie mieszcze,
Trzeba było jeść dzieła, aby pisać jeszcze.
Publiczność tylko szczerą, tę miałem po sobie,
Inaczej byłbym dernął zaraz w pierwszej dobie.
Przy tem i teatralne dzienniki w Warszawie
Przemawiały odrazu mniej więcej laskawie.
W lwowskich tylko, jak mówią, i pies

nie zaszczekał,
Ale nic nie straciłem, zem lat kilka czekał.
Bo jakiś Minos powstał i zaszczekał wściekle,
Chciałby moje pięć tomów w piątym
widzieć piekle.

Żłem pisał. — Zgoda. — Ale źle pisać
nie zbrodnia;
Trafiało się to dawniej i trafia się co dnia.
Byłem więc więcej złością niż treścią zdziwiony.
A kiedy nikt się mojej nie podjął obrony,
Nie mogłem pojąć, zgadnąć, czy rada czy zdrada
I zrozumiałem tylko, że milczeć wypada.
Milczałem lat piętnaście i nie schudłem wcale;
Jakżem się nagle znalazł w moim dawnym szale?
O! w labiryncie życia ścieżki niezliczone,
Nikt nigdy nie przewidzi, w jaką zajdzie stronę.
Nie jeden mimo przestróg i przewodnieć nici
Chcąc chwycić Apollina, Żandarma uchwyci,
Tak i ja z łaski głupców, ich zwodnej przyjaźni
Tuj, tuj, że nie beknąłem w Temidowej kaźni.
Gdy bowiem ktoś niepomny na wypadki krwawe
Wkrótce o Ekonomii rozpoczął rozprawę,
Rzucono kilka wierszów, wprawdzie

nie z Parnasu
Ale zastosowanych do miejsca i czasu;
Stadion przejął te wiersze, mnie oskarżył o nie,
Zgromadził całe gremium w rządowym salonie,
I słuchajcie! słuchajcie! Do uwagi zmusił;
Etmajer deklamował... na kpie się zakrzuszył,
Stadion kichnął, kichnęli wszyscy Hofratowie
A ja miałem gdzieś w kozie powiedzieć:

Na zdrowie!



Przyszła chwila odwetu — każdy miał swój
znaczek,
Bo zemsta, jak to mówią, królewski przysmaczek.
Zbombardowano wieżę... ot tak dla uciechy;
Za mniemane a wsteczne oskarżono grzechy
Miera, Ambasadora, że kładł barykady,
Mnie zaś, że Rząd zelżyłem wśród

Rudeckiej Rady.
Śmiano się do rozpuku nie dając im wiary,
Ale wiary nie trzeba, gdzie potrzeba kary. —

Jak szydło z worka Stadion wylazł w danéj
chwili,
Kto tam zapłacił, nie wiem, lecz świadków kupili
I fałsz miał zostać prawdą. — Nareszcie pojąłem,
Że słowo wzlata ptaszkciem, a powraca wołem,
A mówiąc między nami, szczerze wam udzielię,
Że moich piosnek były nie zbyt głośne trele,
Udając zaś fantazją, przed grożącą kozą,
Napisałem komedią... lecz tym razem prozą.
Napisawszy jednę, po szczęsnym połogu,
Do dawnego niestety wróciłem nałogu,
Ale już dzisiaj tworzę tylko dla szuflady,
Bo pochwałam nie wierzę, za późno na rady,
A to pro memoria spisałem dokładnie,
Aby nie zbyt gwizdano, gdy kurtyna spadnie.

Pisząc te słowa, miał Aleksander Fredro lat 78 (urodził się bowiem w 1793 roku pod Jarosławiem), miał rozpocząć w wieku 16 lat karierę wojskową zwieńczoną Złotym Krzyżem Virtuti Militari za udział w wyprawie Francuzów na Moskwę i Krzyżem Legii Honorowej w 1814 roku za kampanię napoleońską. Po abdykacji Napoleona w 1815 roku okazał się (i był nim przez całe życie) znakomitym gospodarzem dóbr rodzinnych Bańkowa Wisznia, których wartość pomnożył. Zrobił karierę drama-

topisarza, obiecująco rozpoczętą w wieku 25 lat komedią „Pan Geldhab”, przerwaną po kilkunastu komediach w 1839 roku w reakcji na dokuczliwą krytykę. Od 1828 roku był spełnionym mężem Zofii Jabłonowskiej (po pierwszym mężu Skarbek). „Czym mógł zaimponować pan kapitan Fredro?”, pyta w „Sekretach fredrowskich” Wojciech Natanson, i odpowiada: „Nie był zbyt piękny, w tym się zgadzają wszystkie relacje. Ale niechętny mu Ludwik Jabłonowski przyznaje »miał wtedy jeszcze coś wojskowego i bogaty zbiór przypowieści, facecji i wspomnień pułkowych. Zawsze zgrabnie i dowcipnie podane, często tylko parą słów rzucone, czyniły go w męskim towarzystwie przyjemnym i pożądanym«”. „Czy tylko męskim?”, dopytuje Natanson. „Pamiętamy, że około 1815 roku młodzianka Karolina Potocka zachwycała się opowiadaniem kapitana Fredry. »Jak nikt pan Aleksander mówi« – zaobserwowała. Czula na dowcip i uroki konwersacji Zofia Skarbkowa musiała doznawać równie przejmującego wrażenia”.

Mieszkał we Lwowie, w Paryżu, pisał pamiętniki wojen napoleońskich, po kilkunastu latach wrócił do dramatopisania, powstrzymując się od publikacji, zakazując jakichkolwiek zmian w wystawianych komediach. Zmarł w 1876 roku we Lwowie, został pochowany w krypcie rodzinnej w przywołanych żartobliwie w „Pro memoria” Rudkach.

geniusz Kucharski: „W charakterystyce fredrowskiej występuje temperament na równi z charakterem”. Kto to rozumie, ten górą. Pisał Aleksander Fredro do Lucjana Siemieńskiego:

„Utwory mojej myśli, Geldhab, Radost, Jowialski, Cześnik etc., etc. Dla mnie żyją, gdzie ich widziałem, gdzie słyszałem, gdzie znałem – pamięcią kopiowałem rys po rysie, troszcząc się o inne osoby i o rozwiązanie akcji tylko tyle, ile mi to potrzebnym było do uwydatniania charakterystycznych odcieni mojego wzoru. W »Jowialskim« nie postawiłem na Szambelana jako indywidualność, z której komiczność da się rozwijać, ale postawiłem go w ogólnym obrazie jako une nullite, czy on klatki robił, czy pierze skubał, wszystko jedno”.

Nielatwo godził się jednak na nietrafne odczytania swoich stworzeń. Barbara Lasocka przywołuje uwagi Fredry dotyczące własnych postaci:

„W »Zemście« widzę Rejenta jako jezuity, a przecie zawsze on gotów przypasać szablę. Mój Jowialski jest staruszek wesoly, dobroduszný, radotujący, ledwie nie zdziecinniały. Jakby z przeszłego wieku. Ale nie w kontuszu, litym pasie, z wąsikami w górę!”.

W pięknym podsumowaniu swojej długiej opowieści o największym naszym komediografie, „o polskim Molierze”, Barbara Laskowska wskazuje jako najważniejszą księgę jego twórczego życia ziemię i wojsko. „Wszakże – przypomina – najwyższą wartością pozostała dla niego rodzina. Po klęsce Napoleona wiedział, że polskie państwo nieprędko znajdzie się na mapie Europy. Ale można i trzeba zabezpieczyć istnienie narodu. Dostrzegał co prawda różne objawy jego upadku. Jednak on, szlachcic – bo zawsze powtarzał, że Fredrowie są szlachtą, niczym więcej – ma obowiązek przekazywać najwyższe wartości moralne najpierw dzieciom, a potem wnukom. Bo właśnie patriarchalna polska rodzina, przechowująca tradycyjne wzorce postaw, posiada największe zasoby patriotyzmu”.

Jak zawsze wobec polskiego poety należy postawić pytanie o jego język. Píše Teresa Skubalanka: „komedie Fredry wyrosły na gruncie polszczyzny potocznej, zabarwionej prowincjonalnie na południowo-wschodnim obszarze dawnej Galicji. Teksty komedii Fredrowskich zanurzone są w pełni, »po brzegi« w nurcie mowy potocznej”. Autor „Zemsty” moduluje tę zasłyszaną, różnorodną mowę żołnierzy, szlachciców, pisarzy, urzędników, poprzez wrażliwość i przypadki życiowe tych, których spotkał na życiowej drodze.

„Szczególnym darem była polszczyzna – zauważa Barbara Lasocka. – Łączył w niej piękno, oszczędność i celność wyrazu. Musiał pisać niemal zawsze, zarówno w sprzyjających, jak i niekorzystnych okolicznościach: na wojskowym biwaku, wśród gospodarskich zatrudnieni, wtedy, kiedy był szczęśliwy, a także wówczas, gdy czuł się urażony i zagniewany; i gdy zmierzał już ku kresowi”.

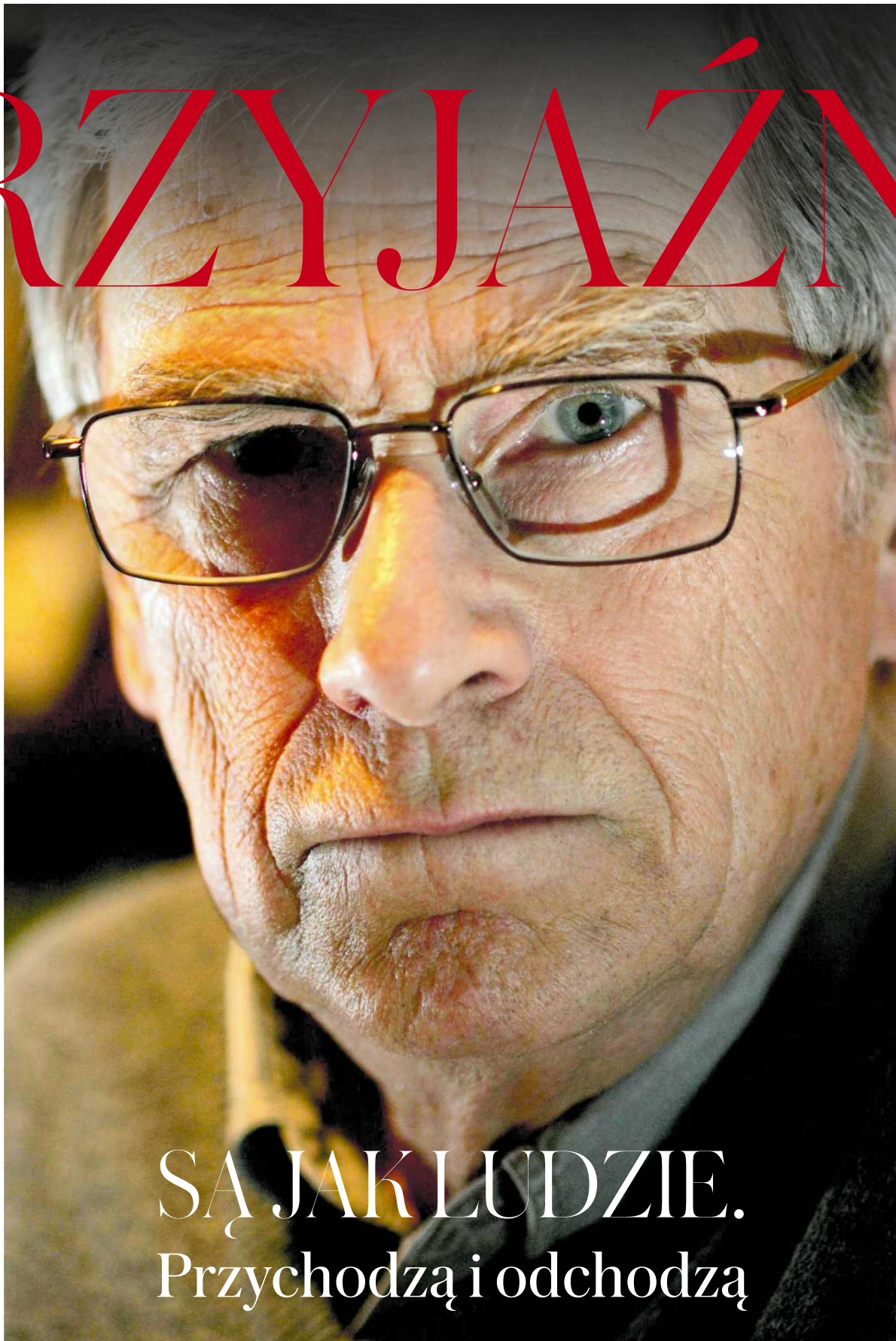
Co do bohaterów, biografka podsumowuje:

„Pisał o zwyczajnych ludziach: głupich, nadętych, pewnych siebie, chciwych, przeciętnych, kochających i odrzucanych, śmiesznych i żalonych, droczących się z innymi, prowadzących grę pozorów, ale nie pozbawionych całkiem umiejętności rozróżniania dobra od zła, cnoty od występku. I bohaterowie jego komedii niby to niechęący, bo w naturalnym działaniu, odslaniali swe myśli i zamiary”. ●

Liczne cytaty pochodzą z książek „Aleksander Fredro – drogi życia” Barbary Laskowskiej (Warszawa 2001) i „Aleksander Fredro jest w złym humorze” Jarosława M. Rymkiewicza (Warszawa 1977) oraz z artykułu Teresy Skubalanki w „Pamiętniku Literackim”

Adam Michnik poleca

PRZYJAŹNIE

SĄ JAK LUDZIE.
Przychodzą i odchodzą

FOT. ADAM KOZAK / AGENCJA WYBORCZAPL

Z KAZIMIERZEM ORŁOSIEM*
ROZMAWIA KRZYSZTOF LISOWSKI****KRZYSZTOF LISOWSKI:** Porozmawiamy o twoich przyjaźniach literackich. Jak je pamiętasz? Warszawskie redakcje, radia, kawiarnie, siedziba Związku Literatów? W latach 60., 70., później? Kogo tam spotykałeś?**KAZIMIERZ ORŁOŚ:** Pierwszym moim rozmówcą w kawiarni Związku Literatów był Igor Newerly, któremu, jako opiekunowi Koła Młodych przy ZLP, wysłałem swoje opowiadania. To było ważne dla mnie wydarzenie, jeszcze przed debiutem. Był rok 1955. Zaczęłem studiować na pierwszym roku Wydziału Prawa UW. Jednocześnie próbowałem pisać.

Do dziś pamiętam atmosferę tamtej kawiarni – zapachy kawy i fajki, którą ktoś palił. I swoją treść. Siedząc w kącie sali i czekając, miałem wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą, choć oczywiście nikt nie zwracał uwagi. Dopiero w czasie rozmowy z Newerlym odzyskałem spokój. Udzielił mi wtedy rady, którą dziś mógłbym powtórzyć każ-

demu młodemu człowiekowi próbującemu pisać: „Najpierw trzeba poznać życie, potem pisać”.

W tamtych pierwszych latach pisania zacząłem odwiedzać redakcje, m.in. „Współczesności” – literackiego pisma młodych. Powstało dzięki grupie entuzjastów na fali odwilży październikowej w 1956 r. Później, stopniowo, było przejmowane przez władze, ale ja je pamiętam jeszcze z tego pierwszego okresu, po socrealizmie było czymś nowym i niezwykłym. Redakcja była na Krakowskim Przedmieściu i kilka razy zanosłem tam swoje opowiadania.

Wręczałem maszynopisy redaktorom „od prozy” i to były moje pierwsze kontakty z Władysławem Terleckim, późniejszym autorem powieści historycznych, i Ernestem Brylem, później znanym poetą. W redakcji zawsze był tłok, dużo młodych ludzi ze świata literackiego Warszawy.

Ale też, w tamtych latach – pod koniec 50. i na początku 60. – drukowali we „Współczesności” swoją prozę przyszli znani pisarze, a także moi przyjaciele Marek Nowa-

kowski i Włodzimierz Odojewski. Pamiętam też Henryka Grynberga, Mariana Pilota, Janusza Krasińskiego czy Jana Himilbacha. Wszystkich nas zaczęto potem nazywać „pokoleniem »Współczesności«”.

W 1961 r. w kawiarni Czytelnika poznałem Marka Nowakowskiego. A dzięki Markowi trochę później także znanych wówczas pisarzy Adolfa Rudnickiego i Wilhelma Macha.

Po dwóch wydanych książkach zostałem przyjęty do ZLP, uzyskałem status literata. Ale po skończeniu studiów – w latach 60. i w pierwszej połowie 70. – pracowałem najpierw jako prawnik stażysta, a potem radca prawny na budowach w Turoszowie i Solinie. Żyłem w zupełnie innym świecie. Znacznie ciekawszym od świata redakcji i kawiarni w Warszawie.

Dopiero koniec lat 70. i lata 80. oraz okres festiwalu „Solidarności” przyniosły zmianę. We Francji, w Instytucie Literackim, po „Cudownej melinie” ukazało się „Trzecie kłamstwo” – druga moja powieść. W kraju byłem od kilku lat „emigrantem

wewnętrznym”. Od 1976 r. nie pracowałem już na budowach – próbowałem żyć z pisanie i honorariów, jakie od czasu do czasu miałem z Zachodu, a także z publikacji w „drugim obiegu”.

•

Jakich miałeś przyjaciół w środowisku literackim z pokolenia starszych – tych, którzy brali udział w wojnie?

– Takim przyjacielem był Władysław Ślesicki. Reżyser, filmowiec, nie literat. Nazywany „poetą ekranu” – autor wyjątkowo pięknych dokumentów, m.in. poruszającego – o losie bezdomnego psa, „Wśród ludzi”.

Poznałem Władysława w 1966 r., kiedy zainteresował się opowiadaniem „Nieobecny” z mojego tomu „Koniec zabawy”. O dziewczynie z dzieckiem na rękę, która bezskutecznie szukała na wielkiej budowie narzeczonego – ojca swego dziecka. Tłem był Turoszów i tam ktoś taką historię mi opowiedział. Ślesicki chciał zrobić pierwszy film fabularny. I tę historię uznał za dobry

temat. Przyjechał do Soliny, tam to wszystko omawialiśmy.

Zespół Filmowy „Iluzjon” kupił ode mnie nowelę „Nieobecny”, a Ślesicki napisał scenariusz. Niestety, Komisja Scenariuszowa nie wyraziła zgody na realizację. Dla towarzyszy z PZPR był to zbyt czarny obraz rzeczywistości. Nie tak wyobrażali sobie pracę na wielkich budowach i obywatele Polski Ludowej.

Ślesicki odwiedzał mnie kilkakrotnie w Bieszczadach. Tam się zaprzyjaźniliśmy. Był zafascynowany miejscem. Namówilem go na zrobienie dokumentu o budowie zapory na Sanie. Tak powstał film „Energia”. Obraz wielkiej budowy lat 60. w PRL.

Drugim moim przyjacielem z pokolenia walczących w czasie wojny był Marian Brandys. Starszy (rocznik 1912), raczej bliżej pokolenia moich rodziców, prawie całą wojnę przeżył w oflagu, ale w 1939 r. jako oficer rezerwy przeszedł kampanię wrześniową z Grupą „Polesie” gen. Kleeberga. We wspomnieniach i prozie opisał potem szlak tego zgrupowania – od okolic Pińska w stronę Warszawy, zakończony bitwą pod Kockiem. To było wojsko, które skutecznie biło się z Niemcami i Armią Czerwoną.

Z Marianem poznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy dopiero pod koniec lat 70., kiedy zacząłem go odwiedzać jako jeden z redaktorów „Zapisu”, literackiego kwartalnika wydawanego poza cenzurą. Ale cały czas pamiętałem, że był człowiekiem, który po ukazaniu się „Meliny” we Francji w 1973 r., w najgorszym dla mnie okresie, kiedy byłem wyrzucany z pracy i obejmowany „opieką” przez SB – napisał do mnie list z wyrazami otuchy i solidarności. „Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł w jakiś sposób Panu pomóc. Proszę mnie traktować jak przyjaciela”.

Wiele razy odwiedzałem Mariana w mieszkaniu na Marszałkowskiej. Przed i po śmierci jego żony – aktorki Haliny Miłolańskiej, członkini KOR. Zwłaszcza w tym najbardziej smutnym i trudnym dla niego okresie życia. Dużo mi opowiadał o pobycie w oflagu, swoim uwikłaniu w stalinizm po wojnie, ale także o zdobywaniu Berlina w 1945 r., co widział na własne oczy jako korespondent wojenny.

Zanosilem mu do przeczytania maszynopisy swoich opowiadań, które niezmiennie oceniał wysoko. Za jego pośrednictwem pod koniec 1988 r. poznałem dyrektora wydawnictwa Iskry Wiesława Uchańskiego i po kilku rozmowach podpisałem umowę w sprawie pierwszego wydania mojej „Cudownej meliny” w kraju. Ukazała się na wiosnę 1989 r.

Na tytułowej stronie wydanego przez Iskry „Dziennika” z lat 1976-77 napisał obszerną dedykację, kończąc słowami: „pozdrawiam Cię z serca”. Był kwiecień 1996 r. Zmarł dwa lata później.

A twoje pokoleniowe przyjaźnie? Którzy z twoich przyjaciół z perspektywy lat pozostają ci najbliżsi, najważniejsi?

– Większość moich przyjaciół z pokolenia urodzonych w latach 30. już nie żyje. W roku 2014 zmarł Marek Nowakowski, z którym przyjaźniliśmy się od lat 60. Bardzo wysoko cenię jego twórczość. Jest dla mnie klasykiem polskiej prozy realistycznej.

Jeśli „przyjaciół poznaje się w biedzie”, Marek wobec mnie spełnił ten warunek z nawiązką. Był jednym z pierwszych, którzy gratulowali wydania „Meliny” u Giedroycia. Stał był obecny w czasie, kiedy miałem różne „nieprzyjemności” ze strony władz PRL. Odwiedził mnie na „zesłaniu”, gdy pracowałem jako referent prawny pod Piotrkowem. Na zjeździe ZLP w Poznaniu w 1975 r. odczytał mój list do delegatów wyjaśniający, dlaczego nagle zniknąłem z życia literackiego w kraju i nie mogę publikować. Nie wahał się odczytać tego listu, wiedząc, że władze na pewno potraktują to jako „wrogie” wystąpienie.

W latach ostatnich przed śmiercią Marka nasze drogi rozeszły się z przyczyn politycznych. Jednak przed jego odejściem nastąpiło

pojednanie. Był jednym z najbliższych moich przyjaciół.

Na przełomie lat 80. i 90. zaprzyjaźniłem się z Włodzimierzem Odojewskim. W 1971 r. wyjechał i został na Zachodzie. Później, jako redaktor sekcji literackiej Radia Wolna Europa, wiele razy nadawał – w cyklu „Na czerwonym indeksie” – moją prozę publikowaną w wydawnictwach emigracyjnych. W odcinkach powtarzanych codziennie o różnych porach czytane były „Cudowna melina” i „Trzecie kłamstwo”.

Dzięki temu wielu słuchaczy RWE poznało moje książki mimo zakazu publikacji w kraju. Przekonałem się o tym, słuchając głosów „radiowych czytelników” na spotkaniach autorskich w różnych zakładach pracy organizowanych przez „Solidarność”. Podobnie inni „zakazani” w kraju autorzy mieli swoich czytelników dzięki RWE. Wielka w tym zasługa Odojewskiego.

Jego twórczość – powieści, np. „Zasypie wszystko, zawieje”, jego styl – długie zdania, brak dialogów – były czymś zupełnie innym od moich krótkich opowiadań, prostych zdań, prozy pozbawionej obszernych dygresji i wstępów. A jednocześnie „melodia” tej prozy była dla mnie sugestywna i narzucająca się. W okresach, kiedy próbowałem pisać, unikałem czytania Odojewskiego.

W opowiadaniu Marka Nowakowskiego ubek nie pozwala chłopakowi i dziewczynie na czułości obok cmentarza żołnierzy radzieckich. To ja byłem tym chłopakiem

Już po jego powrocie do Warszawy, po roku 2000, został oskarżony o współpracę z SB w latach 60. Istotnie, przez kilka miesięcy, jako redaktor radiowego Studia Słuchowisk Współczesnych, spotykał się w kawiarniach z esbekami, którzy pypytywali o stosunki panujące w radiu i ludzi tam pracujących. Był szantażowany, bo z pominięciem polskiego banku PKO otrzymywał honoraria za książki tłumaczone na Zachodzie. Ale o każdym spotkaniu opowiadał przyjaciołom – Igorowi Newerlemu i jego synowi Jarosławowi. W rezultacie doprowadził do zerwania kontaktów, w czym pomógł także Jerzy Putrament.

Jednak ślady tych spotkań pozostały i są w IPN-ie. Czyli teczki z notatkami z rozmów, raporty esbeków dla przełożonych, opinie. Nie podpisał deklaracji „współpracy”, nie złożył niczego na piśmie. A jednak zaczął być nazywany „współpracownikiem” przez dziennikarzy, którzy go oskarżali. Moim zdaniem nikomu nie zaszkodził. Ale te oskarżenia, atmosfera, jaka wokół niego powstała, odsunęły się niektórych przyjaciół, były na pewno przyczyną jego wcześniejszej śmierci. Doprowadziły do wytrącenia pióra z ręki i kompletnego załamania. Poczul się odrzucony, napiętnowany i samotny.

Odwiedziliśmy Włodzimierza w Domu Muzyka Seniora pod Warszawą, gdzie umieszcila go córka. Zobaczyliśmy z moją żoną Teresą, jak bardzo się zmienił, jak bardzo jest przygnębiony i słaby fizycznie. Zmarł niedługo potem.

W latach 70. i 80. – w czasie zaangażowania tak wielu z nas w działania opozycji demokratycznej, wspólnego redagowania „Zapisu”, w stanie wojennym – takich przyjaźni zawiązywało się bardzo dużo. „Zapisowymi” przyjaciółmi byli Jacek Bocheński, Wiktor Woroszyński, Teresa Bogucka i Adam Michnik. Także Tomasz Burek. Z tamtego czasu wywodzę też moje przyjaźnie z reżyserem Bohdanem Kosinińskim, Januszem Andermannem, Antkiem Liberą i Martą Fik.

Generalnie sędzę, że przyjaźnie, podobnie jak ludzie, są i odchodzą. Tak jak dyktuje życie.

Czy u ciebie i Marka Nowakowskiego pojawiały się jakieś wspólne wątki? Lub będące opisem jakiegoś wspólnego doświadczenia?

– Jest takie opowiadanie Marka „Tutaj całować nie wolno”. Zapytał mnie, czy może je napisać, wykorzystując autentyczne wydarzenie, o którym mu opowiadałem. Otóż w latach gimnazjalnych – w 1951 lub 1952 r. – poszliśmy z moją pierwszą sympatią Basią do niedawno otwartego parku przy al. Żwirki i Wigury, wokół cmentarza żołnierzy radzieckich. I tam nagle – w chwili, gdy całowałem Basię – podszedł do naszej ławki cywil, który oświadczył, że „tu się całować nie wolno”, bo profanujemy cmentarz i pochowanych bohaterów.

Cała ta sytuacja i rozmowa z tym „łapsem” z UB – domagał się legitymacji szkolnych i opuszczenia ławki – przypominała „Rok 1984” Orwella, co uświadomiłem sobie po latach. W końcu zostaliśmy na ławce, przy czym bardziej odważna była Basia. „Łaps” odszedł w końcu, ale zapewne obserwował nas zza krzaków. A ja do dziś się wstydzę, że wtedy nie pocałowałem więcej swojej pierwszej dziewczyny. Na tamtej ławce.

Marek więc to wydarzenie wykorzystał w swoim opowiadaniu, na co wyraziłem zgodę. Ja to także opisałem, bodajże w opowiadaniu „Chłopcy z »Albatrosa«” i w autobiografii.

Wspólnym doświadczeniem – jak całego społeczeństwa – był stan wojenny i rok 1982. Podziwiałem wtedy Marka za jego opowiadania drukowane w podziemnym „Tygodniku Mazowsze”, później wydane w dwóch tomach „Raportu o stanie wojennym”.

Czy miałeś też przyjaciół poetów? W tamtych dawnych czasach? A dzisiaj?

– Pierwszym poetą, z którym się zaprzyjaźniłem, był Wiktor Woroszyński – w okresie redagowania „Zapisu” i naszej walki z cenzurą. Wtedy ocenilem też talent organizacyjny i redaktorski Woroszyńskiego. Z pewnością dzięki niemu „Zapis” przetrwał najtrudniejszy pierwszy okres i stał się czytany jako pismo literackie wydawane poza cenzurą. Poznałem wtedy także jego twórczość, przede wszystkim wiersze drukowane w „Zapisie”. Zwłaszcza zapaamiętałem strofę wiersza „Nigdy nie byłem taki wolny” – ten powtarzany zwrot przypominał bijący dzwon.

Nie rozmawiałem z Wiktorem o jego zaangażowaniu w komunizm po wojnie. Należał do pokolenia, które zrozumiało swój błąd, a swoją walką z dyktaturą w późniejszych latach odkupiło moim zdaniem winy. W latach 70. i 80. byliśmy wszyscy całkowicie skupieni na przeciwstawianiu się ogromnej – nękającej coraz większą liczbę ludzi związanych z kulturą – PRL-owskiej cenzurze. To były przecież urzędy kontrolujące każde słowo drukowane, narzucające swoją wizję rzeczywistości zgodną z linią partii. Zatrudniały tysiące cenzorów i zakłamywały rzeczywistość, nie mówiąc już o historii. Były podporą coraz bardziej represyjnego systemu.

Jednym z wydarzeń związanych z naszą przyjaźnią była wizyta w DarłóWKu, gdzie po grudniu 1981 r. trzymano dużą grupę internowanych, m.in. Wiktora. Nie byłem internowany i miałem samochód, więc postanowiłem pomóc przyjaciołom, wożąc do nich żony. Dwukrotnie wozilem tam swoją ładą panie Geremkową i Wierzbićką oraz osobno Woroszyńską i Drawiczową.

Noclegi były w klasztorze niedaleko DarłóWka, bodajże franciszkanów. Rano wiozłem panie pod baraki na peryferiach DarłóWka, gdzie trzymano internowanych. A jeżdżilem w Warszawę tą samą trasą – przez Płońsk, Sierpc, Rypin, Brodnicę – przejeżdżaliśmy most nad Wisłą blisko Grudziądz – i dalej przez Bory Tucholskie, Chojnice, Białą Bór, Miastko, Sławno do Darłówa i DarłóWka, więc to był kawalek Polski do oglądania przez okna. Lasy, lasy, wsie, miasta i miasteczka, co – gdyby nie cel po-

droży – byłoby dla pań, które wozilem, tłem pięknej wycieczki. No i nazwy miejscowości jak słowa do wierszy.

Z Wiktorem postanowiłem się zobaczyć, przedstawiając się w biurze przepustek obozu jako kuzyn – brat stryjeczny (pozwolenia na widzenia wydawano tylko członkom rodzin). Esbecy nie byli, oczywiście, naiwni i spotkania odmówiono. Wiktor podobno odwoływał się do komendanta, a na korytarzu głośno wyrażał oburzenie, wołając: „Brata mi nie wpuścili!”. Oto przykład wyjątkowych więzi, jakie wówczas nas łączyły – ludzi opozycji.

A „współczesne” przyjaźnie? Oczywiście, miałem i mam przyjaciół poetów. Jeden z nich – człowiek wyjątkowy – już nie żyje. Mówię o Januszu Szuberze, którego poznałem za pośrednictwem Antka Libery w latach 90. W momencie, kiedy już zdecydował się na ujawnienie swego talentu i opublikowanie swych wierszy. Prosił mnie o poparcie wniosku o przyjęcie do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, co po przeczytaniu jego wierszy natychmiast zrobiłem.

Pamiętam też pierwszą wizytę u Janusza (pojechalśmy z Teresą na południe Polski i byliśmy m.in. w Sanoku). Mieszkał jeszcze w starej kamienicy, chyba na drugim piętrze, gdzie on – inwalida na wózku – mógł się czuć uwięziony. Był człowiekiem pełnym humoru, gościnnym i przyjaznym. Mieszkanie na sanockim Rynku, na parterze, dostał później.

Wielokrotnie wracałem do wierszy Janusza w kolejnych tomach publikowanych przez WL i zdaje się, zawsze redagowanych przez ciebie, Krzysztofie. Pamiętam „Czer-też”, „Wpis do ksiąg wieczystych”, inne zbiory, w których szukałem tych związanych z Bieszczadami, historią ziemi sanockiej i dziejami rodzinnymi.

Zadziwiające, że jurorzy największych polskich nagród literackich nie zauważyli Janusza i nie docenili jego wielkiego talentu – póki żył. A docenili go i podziwiali poeci nobliści Czesław Miłosz i Wisława Szymborska.

Przyjaźnię się także z Wojciechem Kassem, którego również zaliczam do kilku wybitnych poetów współczesnych. Kontakt jest bliski ze względu na mazurskie sąsiedztwo. Wojtek z żoną Jagienką są kustoszami Muzeum Gałczyńskiego w Praniu nad Jezior-em Nidzkim.

I w końcu, Krzysztofie, mogę powiedzieć, że Ty również jesteś moim przyjacielem poetą. Cenię bardzo w twojej poezji obraz tego, co dzieje się w naszym kraju. To, że nawiązujesz do tradycji poetów z czasów opozycji w PRL – Krynickiego i Barańczaka. Jest taki twój wiersz, który wyciąłem z „Wyborczej” i który znakomicie oddaje tę naszą współczesną sytuację: „Lemuel Guliwer w krainie Polaków”.

Niestety, i Was obu wielcy jurorzy wielkich nagród nie dostrzegają. ●

***Kazimierz Orłoś** – ur. w 1935 r., pisarz, scenarzysta, publicysta. Autor m.in. „Cudownej meliny” wydanej u Jerzego Giedroycia. W 2015 r. opublikował wspomnienia „Dzieje dwóch rodzin. Mackiewiczów z Litwy i Orłosiów z Ukrainy”, a w 2019 r. autobiografię „Dzieje człowieka piszącego”

****Krzysztof Lisowski** – ur. w 1954 r., poeta, krytyk literacki, redaktor. Ostatnio opublikował tom wierszy „Wieści dobre i złe” i tom esejów „Jakiś Odys i inne pisaniny”. Urodzony dziewięć lat po wojnie w Krakowie, gdzie dotąd mieszka

wyborcza.pl

• Tekst jest fragmentem wywiadu rzeki „Rozmowy o ludziach i pisaniu”. Publikowany rozdział o przyjaźniach literackich został znacznie skrócony. Książka jest w planach Wydawnictwa Literackiego

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

Co mnie urzekło

Przeszkadzałem Robertowi De Niro



FOT. NANCY PAUWELS/SHUTTERSTOCK

Ale wcześniej czy później i tak namówi lokalów, żeby zgodzili się na porządku białego człowieka

Przemysław Urbańczyk

Iregaty są jedną z większych atrakcji wyspy, której mało znana nazwa zwodniczo zdaje się zgrabnym połączeniem Barbadosu z Bermudami. Chodzi nie o wojenne jednostki morskie, lecz o wielkie ptaki z rzędu gluptakowatych, które na swoją wielką kolonię wybrały lasy mangrowe w Lagunie Codringtona na karibskiej Barbudzie należącej do archipelagu Antyli Nawietrznych.

Fregaty wielkie (*Fregata magnificens*) mają największą ze wszystkich ptaków rozpiętość niemal 2,5-metrowych skrzydeł, które pozwalają im wykorzystywać wstępujące prądy powietrza do wielodniowego szybowania z dala od lądu, od którego jednak zbytnio się nie oddalają. Nie lubią bowiem siadać na wodzie z powodu ciężaru dużego ciała, który utrudnia im powtórne wzbicie się w powietrze. Chętnie polują więc na ryby latające. Jeśli nie chce im się tracić sił na samodzielne łowy, to piratują na mniejszych ptakach, agresywnie zmuszając je do porzucenia ich zdobyczy. Są tak odważne i zdeterminowane, że potrafią porwać rybę nawet z łodzi rybackiej.

Po ziemi nie lubią chodzić, więc przesiadują na drzewach, gdzie budują z patyków proste gniazda. Samice składają w nich tylko po jednym jajku, które oboje rodzice wysiadują na zmianę. Odchowanie pisklęcia fregaty do jego samodzielności to duży wysiłek, który dla

samicy trwa do 12 miesięcy. Najpierw jednak samiec musi znaleźć partnerkę, dowodząc swojej vitalności przez rozkładanie wielkich skrzydeł, nadymanie jaskrawoczerwonego podgardla i głośne klekotanie.

W swoich wielkich koloniach, które widać i słychać z daleka, fregaty czują się bardzo bezpiecznie, bo nie mają w swoim środowisku wrogów. Jedynym naturalnym zagrożeniem są dla nich okresowe tornada, które czasowo niszczą lęgowniska.

Samotna, mała (161 km kw.), wulkaniczna Barbuda obudowana wapieniami koralowymi nie stanowi przeszkody dla niszczylińskiego żywiołu, bo wystaje zaledwie 44 m nad poziom otaczającego ją oceanu. Szczególnie tragiczne skutki miało tornado „Irma”, które w 2017 r. zniszczyło niemal całą infrastrukturę wyspy. Wszystkich jej 1800 mieszkańców ewakuowano wtedy na sąsiednią Antigę. Zniszczony też został Barbuda Research Complex założony kilka lat wcześniej przez amerykańskich archeologów.

Co będzie z fregatami z lasów mangrowych, które składają tylko po jednym jajku, kiedy zamiast awionetek na wyspę zaczną dowozić turystów odrzutowce

Trudno nie dać się urzec dziewiczym wybrzeżom Barbudy, a szczególnie ostro różowemu piaskowi Pink Sand Beach. Ich urodzie uległa w 1977 r. księżna Diana, która spędzała tam wakacje z Williamem i Harrym. W pięćdziesiątą rocznicę jej urodzin jej ulubioną plażę oficjalnie nazwano Princess Diana Beach.

Jest dziś jeszcze dostępna dla każdego, kto będzie uważał na pojedyncze drzewka *Hippomane mancinella* (najbardziej trującej rośliny na świecie), spadające z palm kokosy i krzaki, których skierowane do wewnątrz kolce pozwolą wsunąć sięgającą po okrągłe owoce rękę, ale już jej bezboleśnie nie wypuszczą.

Trudno nie rozsmakować się w ogromnych homarach serwowanych niemal wprost z morza. Trudno nie poczuć zaskoczenia przez wybiegające z lasu stado zdziczałych koni, które chwytają i ujeżdżają lokalni „kowboje”. Trudno nie ulec urokowi niedzielnych mszy w kilku nieortodoksyjnych kościołach (np. Kościół Głębszego Życia, Kościół Żywej Wiary, Kościół Ludzi), z których głośnieńców godzinami rozbrzmiewają wykonywana na żywo muzyka i śpiewy gospel, przerywane kazaniami natchnionych kaznodziejów.

Można zadumać się nad pochłanianymi przez dżunglę ruinami malowniczo ulokowanej dziewiętnastowiecznej siedziby lorda Codringtona lub na cmentarzysku wielkich żółwi. Wszechobecne muszle skrzydelnika wielkiego (*Strombus gigas*) stanowią ozdobę wielu polskich domów jako symbol naszego marzenia o ciepłych karaibskich morzach, a na Barbudzie wylawia się je w takich ilościach, że poniewierają się dosłownie wszędzie, tracąc stopniowo swoją pierwotną ostroróżową barwę. Po zjedzeniu ich pożywej zawartości lub wykorzystaniu jej jako przynęty jedynym sensownym ich zastosowaniem wydaje się ogradzanie nimi przydomowych trawników.

Jaka przyszłość czeka tę pozornie „rajską” wyspę, którą brak dużego lotniska i słabo rozwinięta infrastruktura turystyczna długo broniły przed zalewem przybyszów spragnionych „prawdziwej” egzotyki?

Z jednej strony, ostrzeżenie, jakim było spowodowane huraganem przerwanie regularnych dostaw warzyw i mrożonych kurczaków, skłoniło niektórych Barbudan do powrotu do żywnościowej samowystarczalności opartej na prostej hodowli i uprawie żyznej

ziemi. Niestety, chętnych jest niewiele, chociaż nie ma ograniczeń w postaci prywatnej własności ziemi, bo zgodnie z usankcjonowaną przez prawo tradycją wszyscy mieszkańcy (potomkowie czarnych niewolników) są współwłaścicielami całej wyspy i mogą eksploatować jej zasoby lądowe i morskie.

Z drugiej strony, katastrofa z 2017 r. ściągnęła na wyspę inwestorów, próbujących zarobić na renomie nieskazitelnej przyrody. Jednym z nich jest Robert de Niro, który już w styczniu 2015 roku bezskutecznie (m.in. z powodu mojej desperackiej akcji dywersyjnej) próbował namówić Barbudan do zgody na budowę wielkiego kompleksu hotelowego. Kilka lat później koło pięknej Plaży Księżnej Diany ulokował jedną ze światowej sieci ponad pięćdziesięciu restauracji Nobu, których jest współwłaścicielem. To tacy ludzie forsują rozbudowę lotniska, które miałyby przyjmować samoloty większe od kilkuosobowej Cessny, w której jeden z pasażerów sadzany jest na fotelu obok pilota.

Puste dziś plaże pokryją się parasolami i leżakami. Nikt już nie będzie słuchał węszących za grzechem kaznodziejów. Siedlisko fregat stanie się atrakcją turystyczną, tak często odwiedzaną, że te wspaniałe ptaki mogą porzucić barbudańskie lasy mangrowe. Wtedy i na tej niezwyklej wyspie nastąpi wreszcie „porządek” białego człowieka. ●

FOT. ADAM STĘPIEN
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

***Przemysław Urbańczyk** – związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000. Milenijna podróż transkontynentalna”, „Zanim Polska została Polską”, „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, „Co się stało w 966 roku?”, „Bolesław Chrobry – lew ryczący” i najnowszej „Trudna historia zwłok” oraz kilkuset artykułów

Psychoetykiety

„Traumą” może być dziś każda życiowa nieprzyjemność, „depresją” – stan obniżonego nastroju, „schizofrenią” – zwykła ludzka ambiwalencja

Agnieszka Jucewicz

Przecież to narcyz! – usłyszałam niedawno o wspólnym koledze. Znam go dość dobrze, więc wiem, że narcyzem jest w takim stopniu, w jakim bywa nim każdy, każda z nas.

Od czasu do czasu zdarza mu się chętnie mówić o sobie, do tego w superlatywach, i niespecjalnie chętnie słuchać o problemach innych. Podkreślam, zdarza się. Poza tym – jak większość z nas – z różnymi rzeczami sobie nie radzi i wie o tym, martwi się o bliskich i przyszłość, jest mu smutno, kiedy jego drużyna przegrywa.

„Unikam borderów” – to też ostatnio wpadło mi w ucho. Autorka tego zdania spytała o doprecyzowanie, kogo konkretnie, rzuciła coś o „niestabilnych osobach, które raz są jak pijawki, a raz udają, że nie poznają człowieka”. Dodała, że takie osoby „rozpoznaje na kilometr”. Nie muszę tłumaczyć, że zaburzenie typu borderline jest znacznie bardziej skomplikowane niż zgrabny frazes i że nawet doświadczonym specjalistom diagnoza zajmuje o wiele dłużej niż pobieżny rzut oka na potencjalnego pacjenta, pacjentkę.

Rośnie świadomość wokół zaburzeń i chorób psychicznych.

Obchodzimy Światowy Dzień Zdrowia Psychicznego, Dzień Walki z Depresją, coraz więcej osób otwarcie mówi o swoich kryzysach psychicznych, a rozmaite stowarzyszenia, fundacje, zaangażowane dziennikarki i dziennikarze, a tak-

że specjaliści od zdrowia psychicznego dzielą się wiedzą na ten temat. I bardzo dobrze. Dzięki temu ubywa stygmatyzacji, a przybywa uważności. Mniej jest lęku, a coraz więcej wiedzy. Jednocześnie w niektórych miejscach wahadło niebezpiecznie wychyla się w drugą stronę. W miarę jak diagnozy opuszczają gabinety psychoterapeutów, psychologów i psychiatrów, coraz bardziej zmieniają swoje znaczenie albo całkowicie się od niego odrywają. W rezultacie „traumą” może być dziś każda życiowa nieprzyjemność, niewygodna albo porażka. „Depresją” – każdy stan obniżonego nastroju. „Napadem paniki” – wszystko, co niespodziewane, gwałtowne i nieprzyjemne. „Schizofrenią” – zwykła ludzka ambiwalencja. „Przemocą psychiczną” – krytyka. „Paranoją” – silne przekonanie w jakiejś sprawie, a „narcyzem” – egocentryk.

Zaryzykuję, że polubiliśmy nawet to diagnozowanie. Diagnozujemy kolegów i koleżanki z pracy, partnerów, znajomych, szefów, polityków. Ale siebie też, na potęgę. Wystarczy zajrzeć w media społecznościowe, które pełne są diagnoz i samodiagnoz, często przeprowadzonych na podstawie testów z internetu, pop-psychologicznych poradników albo zwierzeń popularnych influencerów.

Nawet kryzys psychiczny stał się „clickbaitem”

– ktoś powie. Ktoś inny doda coś o kulturze terapeutycznej, która przeniknęła do głównego nurtu, odrywając się od swoich naukowych podwalin. Obie te uwagi są warte pogłębionej dyskusji, która zresztą już nieśmiało się toczy (polecam reportaż Zuzanny Kowalczyk i Joanny Gutral o „psychowashingu” w najnowszych numerze „Pisma”). Chciałabym zwrócić tu uwagę, dlaczego takie samodiagnozowanie i diagnozowanie innych jest niebezpieczne.

Po pierwsze, rozmycie kategorii diagnostycznych, w moim przekonaniu, uderza w tych, któ-

rzy cierpią najmocniej i są najbardziej wykluczeni. Na przykład w osoby chore przewlekłe, regularnie hospitalizowane z powodu schizofrenii, lekoopornej depresji czy choroby afektywnej-dwubiegunowej. W osoby z głębokim zespołem stresu pourazowego, w kryzysie samobójczym, te, które z racji swojego zaburzenia przebywają na rencie czy są osamotnione, żyją w izolacji.

Gdzie jest miejsce dla ich opowieści w społeczeństwie, w którym za chwilę każdy może mieć jakąś diagnozę? W języku, kiedy słowa tak bardzo poszerzają swoje znaczenie, że pod ich parasolem może się zmieścić już niemal każdy? Jak mają opisać swoje przeżycia czy swój ból tak, żebyśmy je dobrze zrozumieli? I nie chodzi tu o licytowanie się na cierpienie. Chodzi o miarę. O to, żebyśmy jej nie utracili. Bo bez niej nie będziemy się już w stanie porozumieć, ale też skutecznie pomagać.

Kolejne niebezpieczeństwo wiąże się z samą diagnozą i jej rozumieniem.

Doświadczeni specjaliści od zdrowia psychicznego niejednokrotnie mówili mi, że leczą pacjenta, a nie diagnozę. Diagnoza, czy też rozpoznanie, jest pewną wskazówką, która pomaga dobrać formę terapii, leki, ale leczący się człowiek jest czymś znacznie więcej. Diagnoza zresztą w trakcie leczenia może ulec zmianie, dlatego nie ma co się jej tak kurczowo trzymać. Zdrowienie też

przebiega lepiej, kiedy człowiek się tak bardzo z nią nie identyfikuje.

Dlatego niepokoi mnie, kiedy spotykam osoby, które swoją diagnozę podają tuż za imieniem i nazwiskiem, bo to trochę tak, jakby uznały ją za część tożsamości. Dużo pisze o tym na przykład psychoterapeutka Lucy Foulkes (autorka książki pt. „What Mental Illness Really Is (and what it isn’t)”), która od wczesnych lat cierpi na zaburzenia lękowe, ale diagnozę otrzymała już jako osoba dorosła. W tekście opublikowanym w „Guardianie” tłumaczy, że za diagnozą zaburzeń lękowych zawsze musi iść adekwatne leczenie (dziś ze względu na kryzys w ochronie zdrowia nie zawsze tak jest), które ma na celu jak najlepsze funkcjonowanie tej osoby w warunkach, w których ona żyje, oraz przestrzega przed traktowaniem zaburzeń lękowych u współczesnych nastolatków tak, jakby były one trwałą cechą ich osobowości. Bo taka postawa może sprawić, że pod naporem diagnozy będą się one ograniczać w życiowych wyborach i nie spróbują nawet otworzyć pewnych drzwi, zakładając z góry, że sobie nie poradzą.

W podobnym tonie wypowiada się też znana neurołożka Suzanne O’Sullivan. – Problem, i to poważny, robi się wtedy, kiedy człowiek „zsywa się” z diagnozą – mówiła mi niedawno w wywiadzie dla „Wolnej soboty”. – Staje się na przykład „człowiekiem z depresją”, albo „człowiekiem

z zaburzeniem lękowym” i doszukuje w sobie kolejnych, charakterystycznych dla tej choroby objawów. Uważam, że powinniśmy być ostrożniejsi w etykietowaniu różnych stanów i dolegliwości, ponieważ ludziom łatwo jest nieświadomie uczynić z choroby trwałą aspekt życia.

Świat stał się bardzo niepewny, pełen lęku, osamotniający.

Specjaliści mówią, że żyjemy w czasach polikryzysu czy też wielokryzysu. Jesteśmy świadkami kryzysów klimatycznego, humanitarnego, gospodarczego, a także zdrowia psychicznego, co do tego nie ma wątpliwości. Rozmawiamy o tym, rozmawiamy z tymi, którzy ich doświadczają, korzystajmy z dobrej psychoedukacji, szukajmy pomocy i konsultujmy się ze specjalistami, jeśli coś niepokoi nas w naszym zachowaniu albo w zachowaniu naszych bliskich.

Ale pamiętajmy przy tym, że nie każde cierpienie psychiczne jest od razu zaburzeniem czy chorobą. I że nie każde cierpienie psychiczne wymagać będzie interwencji medycznej czy psychoterapeutycznej. Wsparcie w tym cierpieniu możemy dać sobie również nawzajem – jako przyjaciele, koledzy i koleżanki w pracy, sąsiedzi, sąsiadki, osoby, które prowadzą biblioteki, domy kultury. Będąc obok, rozmawiając, słuchając się. Ale żeby to miało sens, musimy wpierw przywrócić słowa do ich właściwych znaczeń. ●

Gdzie szukać bezpłatnej pomocy

- **zwjr.pl** – Życie Warte Jest Rozmowy, portal dla osób w kryzysie samobójczym, ich bliskich, nauczycieli.
- **ef.org.pl** – fundacja eFkropka prowadzi m.in. warsztaty antystygma-

tyzacyjne i dla osób po kryzysie psychicznym.

- **czp.org.pl** – mapa centrów zdrowia psychicznego w całej Polsce (jest ich aktualnie 84), gdzie można otrzymać bezpłatną pomoc w kryzysie

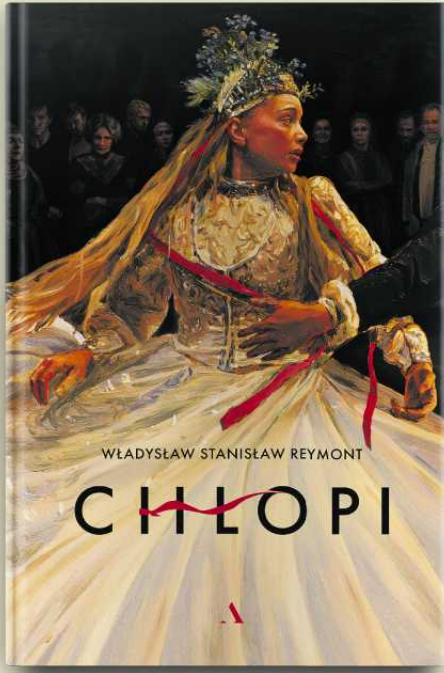
- **116 111** – telefon zaufania dla dzieci i młodzieży czynny 24/7, prowadzony przez specjalistów fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. 800 100 100 – telefon dla rodziców i nauczy-

cieli w sprawie bezpieczeństwa dzieci

- **800 702 222** – całodobowa, bezpłatna linia wsparcia dla osób w kryzysie psychicznym. Dyżurują psycholodzy Fundacji ITAKA

OĞŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34248365



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

CHŁOPI

Wydawnictwo
Agora

EKSKLUZYWNE
WYDANIE POWIEŚCI

Z KADRAMI Z FILMU

CHŁOPI

W FORMIE ILUSTRACJI

Piwo już ma to do siebie, że im dalej na południe Europy, tym jest gorsze i bardziej przezroczyste.

Anna Wyrwik

Oczywiście, że koty są wszędzie, bo Stambuł to miasto kotów. Są jego pełnoprawnymi mieszkańcami, tak samo jak mężczyźni stojący z wędkami nad Bosforem, kierowcy taksówek, z których nikt nie poleca tu korzystać, dzieci z rękoma w twoją stronę czy kobiety w chustach z dziećmi na kolanach i rękoma wyciągniętymi w stronę resztek żarcia wyrzuczonego w worach przed restaurację.

Albo chłopaki ciągnące wielkie wózki, tak wielkie, że ledwo mieszczą się w uliczkach, i tak głębokie, że jakby je wkopać w ziemię i nalać do nich wody, to mogłyby służyć za ogrodowe baseny. Co w nich mają? Nie mam pojęcia. Może śmieci, może całe życie.

Wlewamy do gardel zimne piwo Efes, które nie jest dobre, ale piwo już ma to do siebie, że im dalej na południe Europy, tym jest gorsze i bardziej przezroczyste. Wlewamy je w Opia Pubie, który wygląda jak na słowo honoru złożona konstrukcja z baru, stolików, balkonu i ław na zewnątrz. Wszystko to na tak ostrym spadku, że się boimy usiąść plecami w dół, by nie polecieć. I nigdzie tu kątów prostych. Ale ja-koś siedzimy, podczas gdy stromą uliczką idzie w dół kobieta właśnie z takim wózkiem basenem, ostrożnie, by nie poleciał jej do przodu. Idzie z dziećmi, a jeden z chłopców uśmiecha się do nas i macha, a my wlewamy efes, a kobieta pręży mięśnie, by ten wózek nie poleciał jej w dół. Odmachujemy chłopcu, a koty chodzą między nami.

Koty, pełnoprawni mieszkańcy, jak hipsterscy barmani w okolicznych barach nie-wiem-jakim-cudem-trzymających-się-w-całości. Myślę, że gdyby jeden wyjąć, to cała ta dolna część dzielnicy Beyoğlu by runęła, a my razem z nią. Kiedyś znana była jako Pera, z greckiego „poza”, i w jej granicach leży słynny Pera Palace Hotel. Charles King w książce „O północy w Pera Palace” pisze, że miał to być „ostatni poszept Zachodu w drodze do Orientu, najbardziej elegancki hotel w stylu zachodnim w sercu największego na świecie islamskiego imperium”. Dziś jest po prostu hotelem, wprawdzie takim, do którego wciąż ktoś otwiera ci drzwi i nie dziwi się, że wchodzisz tylko pooglądać wnętrza, ale jednak jednym z wielu. Tu, w Stambule, wszystko jest jedno z wielu. Miasto jak miasto, bary jak bary, magnesy jak magnesy. Tfu! Stambuł nie jest już nastawiony na eleganckich pasażerów Orient Expressu, tylko na masę turystów, zarówno tych



FOT. SHUTTERSTOCK

A TU OBOK UMARŁ ADAM MICKIEWICZ

z wypukłymi kartami, jak i budżetowych. Każdy coś zostawi.

Koty są pełnoprawnymi mieszkańcami jak kelnerzy w Karaköy, a jeśli ktoś jest tak dużo w Stambule jak kotów, to kelnerów. Karaköy to dzielnica portowa i tak bardzo turystyczna, jak tylko można to sobie wyobrazić. Sklepy z pamiątkami i restauracje, w każdej kelnerzy naganające, wyszykowani, wyprężeni jak struny, mili, natrętni, zmęczeni. Wylażą z osztylowanych nazwami dań dziupli z ciężkimi menu (albo bez, bo ze względu na szaloną inflację część knajp stawia na QR kody) i naganiają. Jeden zachodzi mi drogę i macha dechą z listą realistycznie sfotografowanych potraw przed oczami. „Piwo!, wino!”, bo wyczuł, skąd jestem, i po polsku próbuje, bo coś tam zasłyszał, jak sobie jaja z nie-

go jacyś Polacy robili, jak to na wakacjach Polacy, a on przestrzeni swą ręką z tym menu ogranicza tak, że mi w niej urządzi więzienie, jakby mnie chciał odgrodzić od świata i już tylko do tej restauracji mogłabym iść. Jakby jego życie od tego zależało. Ja się coś na niego drę i na pewno nie bez przekleństw, polskich, niewykluczone, że mu znanych, i uciekam. Karaköy jest jak przedstawienie, w którym chyba nikt nie czuje się dobrze. Część aktorów gra worki z pieniędzmi, a część tych, którzy próbują je rozwiązać. Krzycząc, wymachując, zastawiając drogę, prawie szarpiąc. A kot zaklinował się między zamkniętą bramą i zamkniętą przed nią kratą i też się szarpie, o wolność. Próbuje się wydostać, wykrzywia, lepek gdzieś wsadza, gimnastykuje, przeciska i w końcu mu się udaje, bo takie też bywa życie.

Może pewnego dnia koty przejmą w Stambule władzę i wtedy nawet psy nie będą tu miały nic do gadania. Choć i dziś raczej nic nie mają. Stambulskie psy, brzydkie, grube, nieforemne, nażarte starym pieczywem albo kocią karmą. Snujące się i niechciane. Nie to co koty. Koty są święte, a im więcej islamu w Turcji, tym święte są pewnie coraz bardziej, choć tu to już jest sprawa nie religii, ale zwyczaju. Zwyczaj, że kotom podawane jest jedzenie w miseczkach, kotom robione są domki i legowiska, koty się głaszczą na schodach, pod sklepami, na dachach samochodów, koty siedzą na obrotowych biurowych krzesłach na parkingach, a wokół nich panowie w czarnych kurtkach je podziwiają i drapią po grzbietach. Statystyki podają, że w 2022 r. w Turcji żyło 4,66 mln kotów i było to o milion więcej niż w 2012.

W Stambule jakoś ze 200 tys. Przybyły tu na statkach, gdzie ich zadaniem było walczyć z myszami i szczurami. Chyba się udało, bo mimo że w Stambule śmieci i jedzenia wszędzie wokół jest naprawdę sporo, to myszy ani szczurów nie ma.

W Nişantaşı koty śpią na wystawach drogich sklepów, bo Nişantaşı to droga dzielnica, więc koty śpią u Alexandra McQueena, u Barbary Bui, u Louisa Vuittona, wylegują się w atlasach i kaszmirach, zrelaksowane i otoczone logo marek. Siedzę w fancy knajpie Midpoint, na tarasie, jasne i skórzane obicia krzeseł, jasne i z dobrych materiałów stroje ludzi, nawet jasne ich włosy i w ogóle wyraźne są tu kolory, jakby z Nişantaşı ktoś kurz odessał. Albo zamknął przed resztą miasta w bańce. Siedzę i rozmawiam z Berkayem Camu-

rem, gejem, który głównie przez to chce z Turcji wyjechać. Mówi, że jest już spakowany i jak Recep Erdoğan wygra, wyjeżdża. Mówi to na kilka dni przed drugą turą wyborów prezydenckich w maju 2023 r., gdy robię z nim wywiad do materiału dla „Wyborczej” właśnie o tych wyborach. Kiedy latem rozmawiam z nim na WhatsAppie, pisze, że jeszcze chwila, jeszcze nie ma wystarczająco dużo pieniędzy. Dwa miesiące później informuje mnie, że wypełnia wniosek o azyl z jakiejś organizacji LGBT+. Marzy o San Francisco. Choć wie, że nie będzie łatwo, bo po pierwsze, wnioski o azyl rozpatrywane są długo i nie każdy dostaje, a po drugie, tym bardziej gdy większość znanych mu w Turcji osób LGBT+ robi dokładnie to samo. Na razie jest więc nadal w Stambule i pewnie wciąż przesiaduje w Nişantaşı, bo ta dzielnica jest nie tylko bogata, ale też bezpieczna. Berkay ma tatuaże, makijaż, pomalowane paznokcie i fryzurę, po której trudno zidentyfikować jego pleć, więc stawia tylko na bezpieczne dzielnice. Taką jest też ta, w której mieszka, czyli Ataşehir – azjatycka strona Stambułu, biznesy, biura i drapacze chmur, w tym Metropol Tower Istanbul, najwyższy budynek Turcji – 301 m z iglicami.

Co do dzielnic niebezpiecznych, i to nie tylko dla gejów, to wszyscy mówią o Dolapdere i Tarlabasi. Dolapdere i Tarlabasi, Dolapdere i Tarlabasi, nie idź tam, bo na pewno cię okradną, z nożem zaatakują, zabiorą. Gdy rozmawiam z Eymenem, chłopakiem, który co noc pracuje w sklepie ojca naprzeciwko naszego noclegu niedaleko placu Taksim, i mówię mu, że byłam w Dolapdere, to przerażony tłumaczy, że nie wolno, nie można i żebym nie szła do Tarlabasi. Ale idę. Tam koty mają inaczej niż w Nişantaşı. Dzielnice te dzieli kilka kroków i 300 lat. Z sąsiednich okolic Taksim wystarczy przejść (a raczej przebiec, bo nie ma tu przejść dla pieszych, więc wszyscy przebiegają między autami i w dziurach ogrodzenia dzielącego pasy ruchu) przez Tarlabasi Blv i zaczyna się jazda bez trzymanki. Kamienice stoją jeszcze tylko na zasadzie jakiejś tajemniczej obietnicy, zwisają z nich szmaty i ludzki wzrok, zwisają resztki dachów i zeskakują koty, które tu też są wszędzie, chodzą między Kurdami – czy pełnoprawnymi jak one? Między Romami i przybyszami z Syrii, między Afrykanami. I zewsząd. Kiedyś żyli tu Grecy, Ormianie, Włosi i Polacy. Zawsze ludzie marginesu, czyli artyści i biedacy. Adam Mickiewicz mieszkał tu i jadł, a ponoć dzień przed śmiercią zjadł tu kurczaka. Umarł w 1855 r. na cholerę. Też tu. Upamiętnia go nazwa jednej z ulic i muzeum w jego byłym mieszkaniu. Koty obserwują z zakamarków zakurzoną rzeczywistość i kroczą między straganami niedzielnego bazaru, na którym pod dachem z licznych płacht można kupić przyprawę i warzywa, koszulki Levi’s, Gucci i Ralpha Laurena, oliwki można kupić i jajka, bluzę i marynarkę, lusterko, ładowarkę, lalkę Barbie, okulary przeciwsłoneczne i rurę do odkurzacza, a kobieta w nikabie sprzedaje koronkową bieliznę z wycięciami i dziurami większymi niż ma ten jej nikab.

W Dolapdere też jest kurz i też są szmaty, przesiąknięte do tego zapachem smaru, bo przy İramam Caddesi mechanik jeden przy drugim, na przemian z wulkanizacją. Szmaty zwisają z okien, zasłaniają okna, zapychają dziury kamienic, gdzieś tam ponad głowami ludzi, kobiet w chustach i wąsatych mężczyzn w marynarkach, grających w gry przy kawiarnianych stolikach, na których też leżą szmaty, a pod nimi drzemią koty. Te dzielnice także należą do nich. Są ich mieszkańcami tak samo jak kurz i gwar, jak rozklekotane motorki pomykające rozlatującymi się uliczkami, jak ciągnięte przez chłopaków wózki, są częścią tego real life, gdzie jest bieda i nie ma turystów, a burki smakują najlepiej.

Kawa też. W jednej z piekarni spotykam 18-letniego İsmaila, z którym również rozmawiam o wyborach, również do „Wyborczej”. Wtedy powiedział

śnie, za mostem Galata prowadzącym z Karaköy, jest według kartografów i przewodników centrum. Tu są turyści, tu są sprzedawcy, tu są przewodnicy, tu też wtedy, gdy byłam, były wiece wyborcze. Mam wrażenie, że były bardziej dla rozrywki turystycznej gawiedzi niż wyborów. Machanie wielką flagą, rozdawanie chorągiewek, piosenki. To, że Hagia Sophia raz jest chrześcijańska na Wschód, raz na Zachód, raz meczetem, raz muzeum, a potem znowu meczetem, to jeszcze OK, bo świat się zmienia, historia toczy czy płynie, nieważne, a wraz z nią budynki. Ale to, że Stambuł, jak tysiące innych miast, jest co kilka lat gwałcony mordami na wyborczych plakatach, flagami, billboardami, hasłami, „chodź z nami!”, „głosuj z nami!”, rozrywany jak ta flaga na wiecu Erdoğan’a, bo gdyby ktoś mocniej połopotał, toby rozerwał, jest straszne. Przypomniało mi się, jak gdzieś czytałam o piosence „Bekle Bizi Istanbul”, której słowa stanowi

które od strony tego meczetu-palaco-centrum wypchane są po brzegi sklepami. Może sprzedają tam te tony, tysiące ton butów, T-shirtów, bluz, spodni, sukienek, pasków, czapek, skarpetek i torebek udających wszystkie marki świata. Plastik, plastik, plastik. Plastikowe manekiny, wielkie i z brzuchami, i plastikowe produkty. Sprzedają tam podrobiony świat bogaczy ludziom niebogatym. Który to świat i tak w końcu legnie na wodach oceanów, zatruwając wszystko wokół, co jednak nie przekona biedaka, by w nim nie brodził w poszukiwaniu spełnienia obietnicy o życiu jak w necie. Wybierze sobie co lepsze śmieci i włoży do wózka basenu.

Cały ten ból nie poszedł na marne, Stambule/ Zaczekaj na nas/ Poczekaj ze swoim wielkim i spokojnym meczetem Sulejmana/ Z twoimi parkami, mostami, wieżami, skwerami/ Poczekaj ze swoimi białymi stołami

Pewnego dnia koty przejmą w Stambule władzę i wtedy nawet psy nie będą tu miały nic do gadania

mi, że jeśli Erdoğan wygra, to rodzina jego i reszta młodych chłopców wyśle za granicę do pracy. Nie wiedział, czy Niemcy, Francja, czy może Stany, ale cieszył się, że może ze mną poćwiczyć angielski. I tylko z tego, bo nie chciał wyjeżdżać. A ja wtedy pomyślałam, że gdy Erdoğan wygra i İsmail wyjedzie, to jeszcze pewnie tego nie wie, ale jeśli dobrze to rozegra, to też może wygrać. Bo tu co? Ale nie wiem, czy wyjechał. Gdybym miała obstawiać, obstawiłabym Niemcy i że sprawniej mu pójdzie niż Berkayowi.

Dla Berkaya bezpieczną dzielnicą jest też Kadıköy, leżąca po azjatyckiej stronie turecka wersja Berlina, w której dzieciaki próbują, jak tylko mogą. Tatuaże, kolczyki, farb kolory na włosach, skóry, dziury, kraty, rurki, fotorealistyczne obrazy z filmów Tarantino i street food, i street art, ktoś na murze napisał „Kapitalizm Öldürüyor!”. Koty biją się na dachach barów o miski z jedzeniem, a bary też bardzo chcą być berlińskie. W The Wall Bar, gdzie siedzimy, oczywiście przy efesie, wieczorem ma się odbyć oczywiście rockowa impreza. I tylko kotom zwisa ten cały Berlin. Ma się wrażenie, że Kadıköy się wali, że ściennie grafiki, kolorowe flagi i szyldy o tanim piwie oraz vintage, homemade biżuterii przykrywają gruzy miasta, a koty sprawnie po tym pomykają.

Pomykają też sprawnie w okolicach zabytków. Hagia Sophia, Błękitny Meczet, pałac sułtanów Topkapı itd. Wszystko to w centrum Stambułu, bo tu wła-

poemat Vedata Türkaliego z 1944 r., a muzykę kompozycja Onura Aki-na z 1987, bo to wtedy, w latach 80., gdy islam zaczął wlażyć w turecką codzienność, a władze sprawowali wojskowi i konserwatyści, młodzi szukali serca po lewej stronie. I te słowa mówią m.in.: „Zniszczymy panowanie złodziei/ Poczekaj, aż nadejdą te dni, niech nadejdą, Stambule/ Jesteś nas wart, my jesteśmy godni ciebie, Stambule”.

Wież Stambuł czeka, a tymczasem dalej od turystycznego centrum, w głąb dzielnicy Fatih, historia robi zwrot w czasie tureckiego średniowiecza, gdy o Mustafie Kemal’u Atatürku jeszcze nawet nikt nie marzył. Współtwórca i pierwszy prezydent Republiki Turcji oraz wielki reformator, który kraj przekształcił w państwo świeckie i nowoczesne, powiewa dziś nad głowami stambulczyków i jest na wszystkich sztandarach i wystawach sklepowych, bez względu na polityczne zapatrywania czy stopień zrozumienia kemalizmu. W islamskiej części Fatihu może jest go trochę mniej, ale też się zdarza. Kotów wciąż jest dużo. Wylegują się, leniuchują, leżą na bokach, na brzuchach, rozwalone po chodnikach, gdzieś pod czymś albo na czymś, wygodne. Albo snują się w poszukiwaniu śmieci do jedzenia albo karmy w miseczkach, albo po prostu obcająją okolicę. A okolica jest, jaka jest. Mężczyźni noszą brody, szarawary, kaftany, koszule albo inne szaty, a na głowach kufi. Kobiety nikaby albo czadory. Czasem mężczyźni są ubrani po prostu w spodnie i koszulki. Może przyszli tu z okolic,

kawiarni, które opierają się o twoje błękitne morza/ Zaczekaj na nas”.

Kobiety w tych rejonach Fatihu zwykłych strojów nie noszą. Hiperliberałką jest dla mnie dziewczyna stojąca w wejściu do sklepu o nazwie İhvan Tesettür, gdzie „ihvan” to muzułmańskie braterstwo, a „tesettür” to hidżab. Taki brand. I ta dziewczyna ma białe adidas-y, obcisłe džinsy, białą koszulę rozpiętą na białej bluzce, na rękę smartwatch, a na głowie biały hidżab. Jest znudzona, a od niej i tej witryny bije jasność na całą tę szarą, czarną, smutną dzielnicę, w której nie ma ani kolorów, ani alkohol, ani refleksji. A to ostatnie sprawia, że w dupie mam dewizę „Gdy jesteś w Rzymie, czyn jak Rzymianie” i szacunek dla kultur, bo skreca mnie ta skostniała konserwa podążająca za wyssanymi z powietrza regulami, a zazwyczaj przybyłymi z politycznych wieców i tylko tym politykom służącymi. Jak każdy kraj rządzony przez zakompleksionego macho, który kiesę nabija rzucaniem w lud poglądów wypływających z najniższych instynktów i głębokiego średniowiecza, łączących w sobie ciemnotę czasów przed powszechną edukacją z religijną tyranią, tak i w Turcji prawa kobiet mają za nic. I to widać też w Fatihu.

A ja wracam do Dolapdere i Tarlabasi, bo tu dla mnie wszystko jest najprawdziwsze. Dolapdere i Tarlabasi mogą być biedne, ale to nie znaczy, że koty nie dostają tu miseczek z jedzeniem, z wodą, nie mają swoich domków i nie są głaskane. Są.

Wspinają się po uliczkach, tak jak ja się wspinam, napinając mięśnie łydek i zastanawiając się, czym jest stambulski styl. Może to te kufi na głowach, a może podgolone z boku i postawione na czubach fryzury, przechodzące na twarzach w idealnie wystrzyżone brody. Może to te szaty, może biznesowe garnitury, może rurki porozdzierane na kolanach i obcisłe koszulki. Może to ta pewność siebie koleśki, którzy palą przed barberami i salonami tatuaży albo innymi kafejkami, a może właśnie bardzo są siebie niepewni. Spięci i napięci. A może to ta pewność siebie eleganckich kobiet w zachodnich kostiumach, w perfekcyjnych makijażach i z drogą biżuterią w uszach i na rękach. Może stambulski styl to beżowe płaszcze Everlasta dwóch kobiet, co wchodziły do meczetu, a może po prostu te chusty, hidżaby, nikaby, czarne i pozostawiające światu tylko ludzkie oczy. Mama powiedziała mi, że gdy ponad 40 lat temu była w Stambule, to nie było chust, tylko była Europa. „Poczekaj, aż nadejdą te dni, niech nadejdą, Stambule/ Jesteś nas wart, my jesteśmy godni ciebie, Stambule”. „Czekaj na nas, Stambule” – „Bekle bizi, Istanbul”.

Może stambulski styl to twarze wygładzone w photoshopach na plakatach reklamujących kosmetyki, wakacje, polityków. A może to są po prostu te koty, które tu leżą, stoją i biegną, które lażą albo siedzą na przystani w Arnavutköy. To położona z dala od centrum po europejskiej linii brzegu bogatsza dzielnica miasta. Choć i tu mężczyźni łowią ryby w Bosforze, za którym już tylko Azja. Na nim zacumowane są drogie jachty, promy, małe motorówki i zardzewiałe kutry. A po drugiej stronie ulicy, ciągnącej się wzdłuż wody, stoją wąskie i kolorowe domy, trochę jak w San Francisco z „Pełnej chaty”. Są w nich drogie apartamenty i drogie restauracje. Stambulski styl.

Atu, w Tarlabasi, stambulski styl jest w postaci kobiety, która siedzi na krawężniku. Jest małutka i pewnie biedna, może jest nietrzeźwa, a może po czymś innym, na pewno ma nieumyte włosy, zafarbowane na rudy pomarańcz, przyklejone do głowy. Może jest wesola, może jest smutna, może nie jest w ogóle. Na stopach ma klapki z napisem „Istanbul Street Comfort”. ●



„O późnocy w Pera Palace. Narodziny współczesnego Stambułu” – biografia miasta

pióra Charlesa Kinga dostępna jest w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl. Tam również książka reporterska Thomasa Orchowskiego „Rzeź na Tarlabasi.



Opowieść o nowej Turcji” (w wydaniu klasycznym na Kulturalnysklep.pl)

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA



weekendówka
73

TARANTINO SIĘ NALEŻAŁO

Autorem wielu haseł jest **Piotr Guskowski**

W 1995 roku, 27 marca, w Shrine Auditorium w Los Angeles po raz 67. wręczono Oscary – najcenniejsze nagrody filmowe. I kto wie, czy nie była to najmocniej obsadzona w kategorii najlepszy film rywalizacja... Statuetkę za najlepszy film odebrał „Forrest Gump” – przepyszny obraz z Tomem Hanksem w roli tytułowego cierpiącego na lekką odmianę autyzmu człowieka uczestniczącego w przełomowych wydarzeniach historii USA i świata drugiej połowy XX wieku.

Rywalizował z dość powszechnie uważanym za najlepszy film, który nie dostał Oscara, czyli „Skazanymi na Shawshank”, kochanymi na całym świecie „Czterema weselami i pogrzebem” oraz „Quiz Show” ze świetną reżyserią Roberta Redforda. I tym piątym.

„Pulp Fiction” był drugim pełnometrażowym filmem, który wyreżyserował Quentin Tarantino. Rok wcześniej Tarantino zrealizował „Wściekle psy” – które pomógł mu nakręcić zakochany w koncepcie Harvey Keitel – opowieść o liżących rany po nieudanym napadzie gangsterach o kolorowych pseudonimach.

Debiut reżyserski Tarantino dorobił się miana kultowego, ale co w takim razie powiedzieć o tych kilku opowieściach, w których przeplatają się losy gangsterów Vincenta Vega i Julesa Winnifielda, dziewczyny ich bossa, Mii Wallace, boksera Butcha Coolidge’a, a także pary złodziei, Yolandy i Ringa, którzy postanawiają okraść klientów pewnej śniadaniowni.

Narracja, scenariusz, realizacja, prowadzenie aktorów, zapożyczenia i filmowe nawiązania, doskonała obsada... w tym filmie udało się wszystko. „Pulp Fiction” zdobył Złotą Palmę festiwalu w Cannes – przy gwiazdach części publiczności – oraz siedem nominacji do Oscara. Rywalizację w tej kluczowej przegrał, jako się rzekło, z „Forrestem Gumpem” (dalbóg, absolutnie niezasłużenie, bo tenże powinien znaleźć się na trzecim stopniu podium), reżyserię Tarantino przegrał z Robertem Zemeckisem (też „Forrest Gump”), a wracający w glorii i chwale John Travolta jako Vincent Vega także musiał obejść się smakiem – w kategorii najlepszy aktor triumfował, drugi rok z rzędu, Tom Hanks. Swoją drogą Tarantino w głównej roli – tylko Vincent Vega pojawia się we wszystkich czterech wątkach fabuły – widział początkowo Michaela Madsena, którego znał ze „Wściekłych psów”, ale ten wołał zagrać w „Wyatcie Earpie”. Czego długo potem żałował.

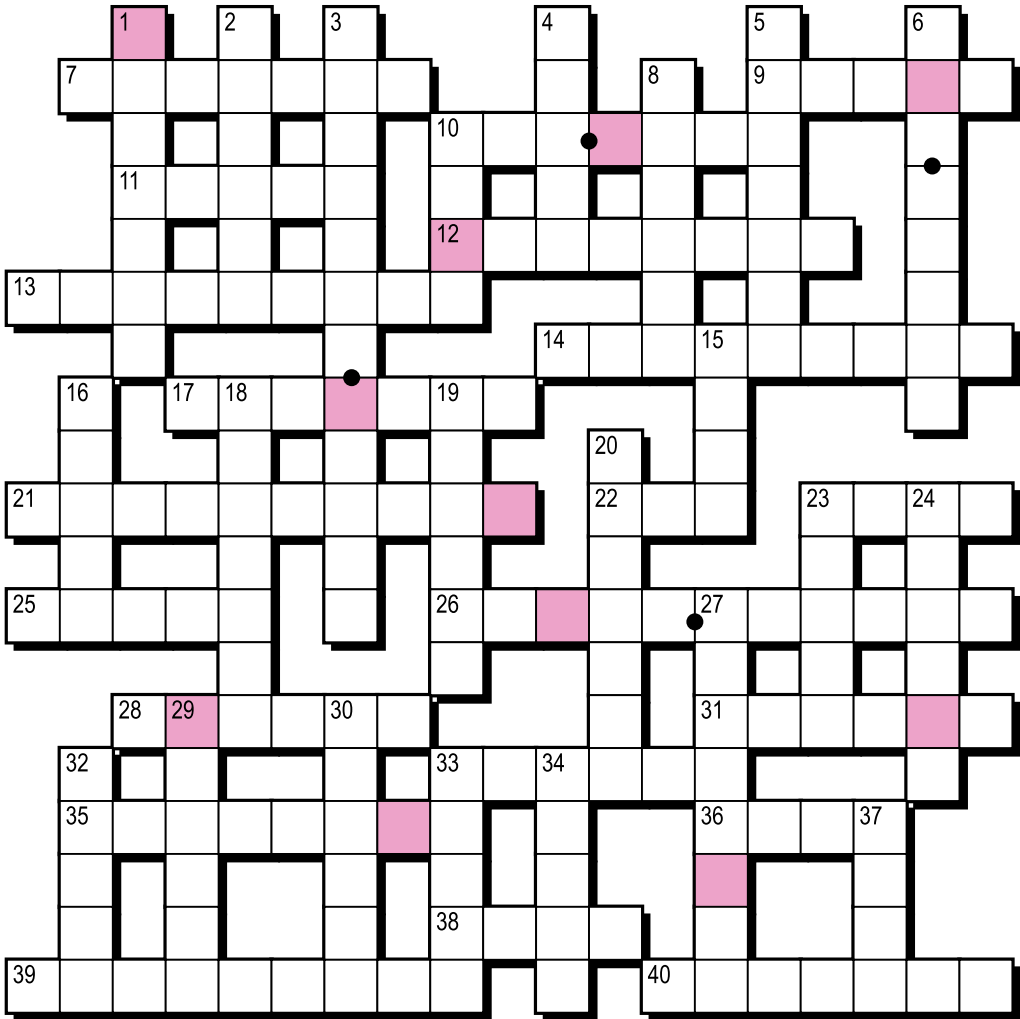
Tarantino dostał Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny (współ z Rogerem Avarym). Szczerze? Zdecydowanie za mało.

Film miał oficjalną premierę kinową 14 października 1994 roku. Przy budżecie 8,5 mln dolarów zarobił na całym świecie 213 mln dol. I zdobył miliony fanów. Cytaty z „Pulp Fiction” przeniknęły do codziennego języka, a przebojowa ścieżka dźwiękowa rozbrzmiewała w wielu radiach samochodowych.

A my z okazji niemal okrągłej rocznicy premiery „Pulp Fiction” zapraszamy Państwa na „Weekendówkę – Tarantinówkę”. A o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy Piotra Guskowskiego, dziennikarza działu kultury „Gazety Wyborczej” i uznanego krytyka filmowego. I rzecz jasna człowieka, który Quentina Tarantino lubi i się na jego twórczości zna.

Zapraszamy zatem! Nie tylko tych, którzy wiedzą, kim jest Zed! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 73 z 7.10:

Poziomo:

- 1) Sztokholm 7) Abba 9) Voulez-Vous 11) Bajm 12) Queen 13) Nina 15) Anni 16) rytm 18) Minogue 19) Richard 21) disco 24) Szwecja 27) próba 28) Andersson 31) Erasure 33) utwór 35) scena 36) Agnetha 37) Universal 38) musicale

Pionowo:

- 2) tournée 3) oda 4) Mamma Mia! 5) muzeum 6) Fernando 8) Benny 10) Voyage 14) Arrival 17) Madonna 20) Hep Stars 22) Cher 23) kariera 24) S.O.S. 25) Winner 26) Chiquitita 29) Europe 30) Waterloo 32) Ulvaeus 34) wesele

HASŁO:
THE VISITORS

TARANTINÓWKA

Hasła Piotra Guskowskiego oznaczono inicjałami (PG). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, tworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 7) cenna pamiątka rodzinna boksera z „Pulp Fiction”, którą jego ojciec w obozie jenieckim schował w „jednym pewnym schowku” (PG)
9) dla Tarantino, za scenariusz do filmu „Django”
10) Pan Orange we „Wściekłych psach”, boy hotelowy Ted w „Czterech pokojach” (PG)
11) tańczony na konkursie w Jack Rabbit Slim’s (PG)
12) John w obsadzie „Pulp Fiction”
13) nazwisko odtwórcy roli Billa w filmie „Kill Bill”
14) czarny samochód kaskadera 36 poziomo z filmu „Grindhouse: Death Proof” (PG)

- 17) Samuel L., gwiazda „Pulp Fiction” i „Django”
21) zawód Jackie Brown (PG)
22) ... Thurman, nazywana muzą Tarantino
23) ... Pitt, zdobył Oscara za rolę w „Pewnego razu... w Hollywood”
25) Hans nazywany „Łowcą Żydów” („Bękarty wojny”)
26) w roli niemieckiej aktorki Bridget von Hammersmark
28) trofea Bękartów
31) zabijani przez Amerykanów („Bękarty wojny”)
33) Jamie Foxx jako ... Freeman
35) niejedna w „Sin City”
36) Kaskader ..., gość w barze Texas Chili Parlor
38) uwielbiany aktor, artysta
39) w tytule ostatniego filmu bohatera tej krzyżówki
40) imię 15 pionowo

Pionowo:

- 1) gatunek, z którym wchodzi w dialog „Nienawistna ósemka” (PG)

- 2) wybucha we francuskim kinie podczas propagandowego seansu dla szczył III Rzeszy
3) tak nazywa się panna młoda, główna bohaterka filmu „Kill Bill” (PG)
4) Czarna ..., członkini Plutonu Śmiercionośnych Żmij
5) główna postać filmu
6) wcieliła się w rolę Jackie Brown
8) „Cztery ...”, z Madonną i Antoniem Banderasem w obsadzie
10) Sharon ..., rola Margot Robbie
15) nazwisko gangstera, który opiekuje się Mią – żoną swojego szefa, ale też pewnego polskiego reżysera (PG)
16) w ruch idą samurajskie miecze i leje się krew, czyli „Wielka ... w Domu Błękitnych Liści” (PG)
18) imię dziewczyny na telefon i głównej bohaterki filmu „Prawdziwy romans” (według scenariusza Q.T.) (PG)

- 19) gwiazdorska ... filmu
20) bohater naszej krzyżówki dostał to imię po półkrwi Indianinie granym przez Burtę Reynoldsa w serialu „Strzały w Dodge City” i bohaterce „Wściekłości i wrzasku” Faulknera (PG)
23) imię odtwórcy roli Butcha Coolidge’a („Pulp Fiction”)
24) złożyli Jackie Brown propozycję nie do odrzucenia
27) wielbiciele talentu Tarantino
29) Harvey, Pan Białe we „Wściekłych psach”
30) Al, wystąpił w „Pewnego razu... w Hollywood” jako agent Ricka Daltona (PG)
32) miejsce pracy Jungle Julii („Grindhouse: Death Proof”)
33) imię aktora z pozycji 13 poziomo
34) Rick Dalton (rola Leonarda DiCaprio)
37) jednooka ... Driver, rola Daryl Hannah w filmie „Kill Bill”

OGŁOSZENIE

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play

OGŁOSZENIE 34225722